W LABIRYNCIE NIEWOLI

Dymitr Szatyłowicz

W LABIRYNCIE NIEWOLI

Białystok 2016



Z CZEREMCHY W ŚWIAT

W niniejszych wspomnieniach poeta białoruski, urodzony i mieszkający w Polsce, Dymitr Szatyłowicz opisuje swoje przeżycia i okres swoich młodzieńczych perypetii z lat od1943 r. do końca 1945 r. w czasie okupacji niemieckiej na robotach przymusowych w byłych Prusach Wschodnich, a po wyzwoleniu w Armii Czerwonej, do której został przymusowo wcielony i skierowany na front oraz pobyt w tej armii po zakończeniu wojny aż do czasu demobilizacji.

Dymitr Szatyłowicz urodził się 08 listopada 1926 r. we wsi Czeremcha w pobliżu stacji kolejowej węzłowej Czeremcha. Do połowy 1936 r. uczył się w miejscowej czteroklasowej szkole polskiej, ukończył trzecią klasę tej szkoły. W celu uniknięcia zbędnego powtarzania klas, kiedy to przed wojną na wsi trzeba było uczęszczać dwa lata do klasy trzeciej i trzy lata do klasy czwartej, rodzice zapisali Dymitra Szatyłowicza do sześcioklasowej szkoły powszechnej na stacji Czeremcha i w 1939 r. ukończył on tam szóstą klasę szkoły powszechnej. Po włączeniu we wrześniu 1939 r. terenów wschodnich w skład Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, zaczął od września uczyć się w technikum kolejowym w Brześciu, a pod koniec listopada ze względu na daleki dojazd do Brześcia, przeszedł do szóstej klasy średniej szkoły białoruskiej w Bielsku Podlaskim. Poziom szkoły białoruskiej był wyższy od powszechnej szkoły polskiej, bo już od klasy piątej był tam jako przedmiot język obcy (niemiecki), a w szóstej klasie uczono algebry i geometrii, więc dlatego uczniów, którzy ukończyli w szkole polskiej klasę szóstą przyj-

mowano w szkole białoruskiej do klasy szóstej. W maju 1941 r. D. Szatyłowicz zakończył 7-mą klasę szkoły białoruskiej. Już w tych czasach oczarowała go poezja białoruska, zwłaszcza jej ludowe pierwiastki, tak bardzo pokrewne folklorowi podlaskiemu, że w 7-ej klasie umieszczał drobne wiersze do szkolnej gazetki ściennej po sprawdzeniu i po poprawkach nauczycielki języka białoruskiego.

Wojna niemiecko-radziecka rozpoczęta agresją hitlerowską w dniu 22 czerwca 1941 r. stanowiła początek faszystowskiej okupacji Podlasia Północnego wraz z jego wcieleniem pod administracyjny zarząd Prus Wschodnich. Zamiast nauki w szkole – od połowy marca 1943 r. przymusowa praca u bauerów w Prusach Wschodnich aż do wyzwolenia. Pobyt ten dosyć obiektywnie opisuje autor w swoich wspomnieniach. Na szczęście Dymitr trafił do niedużego niemieckiego bauera, u którego nie głodował. Głód i straszną poniewierkę odczuł dopiero w czasie trzymiesięcznego przymusowego pobytu przy kopaniu okopów pod koniec 1944 r. pod Rastenburgiem, z którego udało mu się uciec. Głodowali tylko ci pracownicy, którzy trafili do pracy przymusowej w dużych majątkach ziemskich oraz w zakładach przemysłowych i fabrykach, nie mówiąc już o obozach pracy.

Po zwycięskim marszu Armii Czerwonej i zdobyciu 5 lutego 1945 r. wioski Pomehren, obok Heilsbergu (obecnie Lidzbark Warmiński), w której przebywał autor, Szatyłowicz został w Seeburgu (dzisiejsze Jeziorany) wcielony do niej i skierowany na front, gdzie został ranny niedaleko Braunsberga (dziś Braniewo). Leczył się w szpitalu wojskowym w Seeburgu, następnie pracował tam jako sanitariusz. Przejechał ze szpitalem do Wehlau (obecnie Znamiensk w kaliningradzkim obwodzie), skąd został przerzucony pod Berlin, gdzie krótko w pierwszych dniach maja brał udział w walkach o Berlin. Później wraz z jednostką przeniesiony do Allensteina (Olsztyna), skąd w pierwszych dniach listopada 1945 r. trafił do Bobrujska na Białorusi i dopiero 9 stycznia 1946 r. wrócił do rodzinnej Czeremchy.

Zarówno w latach przymusowej pracy w byłych Prusach Wschodnich, jak i podczas pobytu w Armii Czerwonej – przez cały ten okres – marzył o kontynuowaniu swego wykształcenia. Więc po powrocie do swojej Małej Ojczyzny natychmiast rozpoczął naukę w Białoruskim Gimnazjum i Liceum w Bielsku Podlaskim i w czerwcu 1946 r. skończył czwarta klasę tego Gimnazjum, otrzymując tam małą maturę. Po zamknięciu przez ówczesne polskie władze Białoruskiego Gimnazjum i Liceum, D. Szatyłowicz przeszedł do polskiego Liceum im T. Kościuszki w Bielsku Podlaskim i w czerwcu 1948 r. otrzymał dużą maturę. Zaraz potem zdał egzaminy i został przyjęty na Politechnikę Gdańską, a w październiku 1948 r. jako polskiego stypendystę skierowanego na studia wyższe w Leningradzkim Instytucie Elektrotechnicznym, które odbył w latach 1948-1953. Był nie tylko pilnym i wyróżniającym się studentem, ale też uważnym obserwatorem powojennego życia Leningradu, jego odbudowy i problemów rozwoju. Nic też dziwnego, iż jego twórczość poetycka zawiera różnorodne leningradzkie motywy, wątki, fabuły, nawiązania, impresje i doznania.

Po ukończeniu studiów w grudniu 1953 r. i otrzymaniu dyplomu magistra inżyniera automatyka, Dymitr Szatyłowicz został skierowany do pracy w Warszawskim Biurze Siłowni Wodnych, a później przeniesiony do Warszawskiego Biura Projektów Energetycznych „Energoprojekt", gdzie opracowywał projekty dla elektrowni cieplnych w Koninie, Pątnowie, Adamowie, Ostrołęce, Turoszowie koło Bogatyni, w Kozienicach, w Bełchatowie i w elektrociepłowniach w Warszawie na Żeraniu i Siekierkach, w Łodzi i w innych miejscowościach. W 1973 przygotowywał projekty dla elektrociepłowni w Tuzli w Jugosławii i w 1973-1974 pracował tam na kontrakcie ramach nadzoru autorskiego. Projektował też automatykę, zabezpieczenie bloków w elektrociepłowni Bokaro w Indii i w latach 1986-1988 zatrudnionego tam na kontrakcie w charakterze nadzoru autorskiego przy rozruchu polskich bloków. Za projekty elektryczne

w „Energoprojekcie" D. Szatyłowicz został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz medalami jak np. medalem Zasłużony dla Zespołu Elektrowni Pątnów, Adamów, Konin.

Coraz bardziej fascynował go świat i ludzie, uwielbiał podróże. Nic też dziwnego, iż w w 1975 r. dał się namówić na pilota wycieczek zagranicznych i w wolne dni od pracy oraz w czasie urlopu (a jako kombatant wojenny miał o 10 dni więcej urlopu wypoczynkowego) współpracował z „Orbisem". Powstało wiele wierszy związanych z jego podróżami po Grecji, Turcji, Francji, Jugosławii, Węgrzech, Rumunii, Gruzji.

Dymitr Szatyłowicz swoje wiersze w języku białoruskim zaczął drukować w tygodniku białoruskim „Niwa" wydawanym w Polsce. Później publikowane były jego wiersze w kalendarzach białoruskich, wydawanych przez BTSK w Białymstoku, w tygodnikach białoruskich ukazujących się na terenach byłej BSSR i obecnej Białorusi jak „Literatura i Mastactwa" „Hołas Radzimy" i innych, w zbiorkach poezji, jak „Ruń", „Białowieża" i inne .

Parę wierszy Dymitra Szatyłowicza zostało przetłumaczonych na język rosyjski: **Генадий Римский в Анталогии белорусской лирики XIX – XX веков.**

Dymitr Szatyłowicz był jednym z założycieli Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża", jest członkiem Związku Literatów Polskich i członkiem Związku Pisarzy Białorusi.

Dymitr Szatyłowicz wrażeń życiowych miał co nie miara. Pamięcią sięgał do czasów przedwojennych, do urokliwie pięknej poezji białoruskiej, wspomniał też swoją pracę u bauera, frontowe przeżycia, kiedy to napisał w szpitalu w Seeburgu w kwietniu 1945 r trzy następujące wiersze o tematyce wojennej „**Першая ноч на фронце", „Начная перастрэлка", „Першая атака"**, które przechował w prywatnym archiwum i dopiero je ogłosił w 2005 r. w zbiorku „**Струмені лёсу"**

D. Szatyłowicz wydał już dziewięć zbiorków wierszy: osim w języku białoruskim i jeden w języku polskim:

1. **Эцюды падарожжа**, Бельск–Падляшскі 1992, ss. 72.

2. **Маё Падляшша,** Выдавецтва БГКТ, Беласток 1993, ss. 70.

3. **Хвалі часу,** Бібліятэка Беларускага літаратурнага аб'яднання ,,Белавежа", кніжка трыдцаць першая, Беласток 2000, ss. 44.

4. **Вясёлка за імглою,** Бібліятэка Беларускага літаратурнага аб'яднання ,,Белавежа",кніжка сорак восьмая. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2004, ss. 59..

5. **Струмені лёсу,** Бібліятэка Беларускага літаратурнага аб'яднання ,,Белавежа",кніжка пяцьдзесят другая. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2004, ss. 98.

6. **Rezonanse pamięci,** Бібліятэка Беларускага літаратурнага аб'яднання ,,Белавежа" książka pięćdiesiąta trzecia. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2006, ss. 82.

7. **Асеннія промні,** Бібліятэка Беларускага літаратурнага аб'яднання ,,Белавежа", кніжка пяцьдзесят пятая. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2006 ss. 98.

8. **Янтарныя віры,** Бібліятэка Беларускага літаратурнага аб'яднання кніжка пяцьдзесят сёмая. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2007 ss. 100

9. **Гронкі надзеі,** Бібліятэка Беларускага літаратурнага аб'яднання ,,Белавежа", Кніжка шэсцьдзесятая. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2008, ss.102

O twórczości Dymitra Szatyłowicza pisałem w swoich studiach: „**Poznawcze wartości w dokonaniach poetyckich Dymitra Szatyłowicza"** wydanych w książce: „**Polsko-białoruskie związki językowe, literackie, historyczne i kulturotwórcze"** na str. 113-134, w 2006 r. w Wydawnictwie Uniwersytetu

w Białymstoku pod redakcją Michała Kondratiuka i Bazylego Siegienia. Materiały XIII Międzynarodowej Konferencji Naukowej „Droga ku wzajemności” Białystok 15-16 VII 2005.

Tutaj chcę tylko wymienić tytuły wierszy nawianych jego frontowymi przeżyciami.

Oprócz trzech wyżej wspomnianych białoruskich wierszy napisanych w szpitalu, w zbiorku „**Струмені лёсу**” są wiersze „**Астрог” i „Уласавец”,** których treść stanowi w poetycką formę zdarzeń opisanych we wspomnieniach.

Jeden z jego wierszy „**Koszmar**” przetłumaczonych przez autora na język polski w jego zbiorku „**Rezonanse pamięci**” niżej przytaczam in extenso:

KOSZMAR

Sklepienie niebieskie bez chmur i bez ptaków
Wciąż dźwięczy i huczy żelazem motorów,
Salwami katiuszy, armatnich ataków…
Ten huk nieustannie mi wpada do uszu,
Przygniata i głuszy
Piekielnym naporem.
        To polem bezkresnym pełzniemy po śniegu,
        To z głośnym okrzykiem wbiegamy w doliny,
        Przez linie okopów skaczemy z rozbiegu,
        Gonimy z rutyną
        Jak dziką zwierzynę,
        Rozbite szeregi niemieckiej machiny.
I leżą, jak snopy rzucone na polu,
Żołnierze we wrogich myszatych ubraniach,
Ktoś zamilkł na zawsze, ktoś jęczy od bólu,
Przeklina swą dolę,
O pomoc się modli,
Lecz nam tam na chwilę nie wolno przystanąć.

Stanowczo wbiegamy w ulicę miasteczka,
Na których już pożar część domów ogarnął,
I dachy na domach się palą, jak świeczki,
I wicher ze strony
Zagwizdał szalony,
I w niebo popłynął czerwoną fontanną.
I z piekła pożarów ze złością, lawiną
I gradem stalowym nas zły wróg opluwa,
A my bezustannie,
Forsując zaułki, ulice ruiny –
Choć każdy ten dom jest fortecą i miną,-
Faszystów z miasteczka musimy usuwać.
I oto w momencie ataku i boju
Z ruiny wybiegła maleńka dziewczynka –
Z oczyma, jak węgle
I z rudym warkoczem –
I w strzępach sukienki dziecięcego kroju-
Ma może lat cztery, czyjaś kruszynka.
I prawie pod lufy biegną jej nogi,
Ze strachu drży niema-
Coś szuka na ziemi…
Nam serce zadrżało ze strachu i trwogi.
Choć kule dość trafnie leciały od wroga,
To nasze wstrzymała na moment w nas trema.
Pędzimy w cwał za nią przez ruin szkielety…
Do lochu sklepienia
Dziewczynka wraz wpada,
I tam do leżącej podbiega kobiety
I – „Mamo?" – jej krzyczy, na ciało jej pada-
A matka jest martwa, we krwi leży blada.

Przeżycia okupacyjne i reminiscencje frontowe, lata nauki w Bielsku Podlaskim i studiów wyższych w Leningradzie, praca w Energoprojekcie w Warszawie i na kontraktach zagranicznych, liczne podróże po wielu krajach świata permanentnie znajdowały swój pełen wdzięku wyraz w bogatej jego twórczości uosobionej w urokliwej poetyce białoruskiej, kontynuującej jej najlepsze wzory. Na szczególne podkreślenie i wyróżnienie zasługuje ten właśnie fakt, iż całą jego twórczość przenikają motywy „kraju lat dziecinnych", który mówiąc słowami A. Mickiewicza „pozostał na zawsze święty i czysty jak pierwsze kochanie". Tutaj przez całą jego twórczość prześlizgują się motywy, wątki i nawiązania do ziemi rodzinnej, do ojczystego Podlasia i Czeremchy, poświadczającej zakorzenienie poety w glebie ojczystej, w jego Małej Ojczyźnie, w jej wielokulturowości, w urokliwym pięknie podlaskich skrzyżowań tradycji słowiańskich. Nieodparty głód autentyczności, połączony z bogatym i różnorodnym doświadczeniem życiowym, stanowił sui generis imperatyw twórczy, swoisty nakaz wewnętrzny w jego dokonaniach poetyckich, tak pięknie wzbogacających osobowość twórczą poety.

Praca zawodowa i działalność społeczna Dymitra Szatyłowicza, jego osiągnięcia i sukcesy, a także twórczość poetycka, wyrastająca z gleby podlaskiej, należą do dwóch narodów, polskiego i białoruskiego, stanowią honor i chlubę kulturowego pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego.

Prof. zw. dr hab. Bazyli Białokozowicz (1932-2010)
07 czerwca 2007 r.


D. Szatyłowicz w 1954 r.

W LABIRYNCIE NIEWOLI

ROK 1943

1. Pierwsze miesiące przed wyjazdem ze wsi Czeremchy

Dochodziły już do wsi Czeremchy wiadomości, że armia niemiecka pod dowództwem generała, a od 30 stycznia 1943 r. feldmarszałka, Friedricha Paulusa została okrążona przez wojska radzieckie pod Stalingradem. Żołnierze niemieccy, którzy przychodzili do nas ze stacji Czeremchy po jajka, przestali chwalić się, jak to robili dwa miesiące wcześniej, że ,,Sztalingrad ist kaput”. I chociaż armia niemiecka jeszcze była dosyć silna, ludzie zaczęli wierzyć, że zbliża się konie niemieckiej okupacji.

Jan Kierdelewicz, który miał sklepik we wsi Czeremsze, od czasu do czasu jeżdżąc po towar, kupował gazetę w języku rosyjskim „Nowoje Słowo”, wydawaną w Berlinie. Z niej wiedzieliśmy o ciężkich walkach okrążonej armii niemieckiej pod Stalingradem. I chociaż 2 lutego feldmarszałek F. Paulus skapitulował, a Rosjanie wzięli do niewoli 92 tysiące żołnierzy niemieckich, gazeta o tym nawet nie wspomniała.

Pod koniec stycznia kolega przyniósł potajemnie partyzancką gazetkę w języku rosyjskim, odbitą na powielaczu. Gazetka informowała, że zlikwidowano blokadę Leningradu, a umierający z głodu mieszkańcy tego miasta zaczęli otrzymywać więcej żywności. Został również przerwany niemiecki front pod Woroneżem.

Niemcy zmobilizowali i posłali na front ogromną masę swoich obywateli. Zostawili tylko niezdolnych do służby wojskowej starców, kobiety i dzieci. Brakowało im ludzi do pracy w fabrykach i w rolnictwie. Dlatego coraz więcej chłopców i dziewcząt z okolicznych wsi Niemcy zabierali do przymusowej pracy w Niemczech i w Prusach Wschodnich.

Pragnąc obronić mnie od wywiezienia do Niemiec, mój ojciec szukał pracy dla mnie na stacji Czeremsze na kolei. Pierwszą pracę znalazł mi w 1942 roku, lecz nie mogłem jej podjąć, ponieważ zachorowałem na zapalenie płuc. Powołując się kłamliwie na rekomendację mego sponsora, prace tę w chytry sposób zabrał mój szkolny kolega Antoni Leszczyński.

W styczniu 1943 roku wysłał mnie ojciec na stację Czeremchę do nauczyciela matematyki, Misiewicza, który w tym czasie pracował w biurze. Znalazłem go w jednym z pokoi na pierwszym piętrze dworca kolejowego. Przywitałem się z nim, a on zawiadomił swego przełożonego Niemca o moim przybyciu. Miałem pracować razem z panem Misiewiczem w kolejowej kancelarii.

Naczelnik zaczął mnie egzaminować z języka niemieckiego. Zapytał, gdzie się uczyłem i którą klasę ukończyłem. Odpowiedziałem, iż dwa lata uczyłem się w szkole białoruskiej w Bielsku Podlaskim, od listopada 1939 do czerwca 1941 roku i tam miałem lekcje z języka niemieckiego. Udawało mi się z trudem odpowiadać po niemiecku na jego pytania i wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie zapytał, dlaczego tak późno zgłosiłem się do pracy, dlaczego nie w ubiegłym roku. Niepotrzebnie wyjaśniłem, że w zeszłym roku chorowałem na zapalenie płuc. Wtedy naczelnik zmienił się na twarzy. Widocznie przestraszył się, że mogę mieć gruźlicę i od razu poinformował Misiewicza, że nie zgadza się, abym u niego pracował.

Wkrótce przyszedł do mego ojca leśniczy Kraśko i zaproponował, że wraz z Mikołajem mogę pracować w jego lesie. Obiecał, że obroni mnie od wywózki do Niemiec. Ojciec wyraził zgodę i podją-

łem tę pracę. Praca była lekka. Ścinaliśmy oznakowane przez leśniczego sosny, cięliśmy na metrowe kawałki i składaliśmy w stosy, a Kraśko sprzedawał drewno rolnikom. Nikt nad nami nie stał i nikt nas nie poganiał.

Pewnego dnia przyszli partyzanci, którym daliśmy swoje śniadanie. Rozwiesili oni antenę na sośnie i włączyli radioodbiornik zasilany ciężką baterią. Posłuchaliśmy wiadomości nadawanych z Moskwy, że po kapitulacji niemieckiej armii Friedricha Paulusa do radzieckiej niewoli dostało się 34 niemieckich generałów i że Rosjanie zajęli miasto Kursk i Biełgorod. W lutym podczas naszej pracy partyzanci przychodzili jeszcze dwa razy. Dzięki ich radiu mieliśmy świeże wiadomości z frontu. Za posiadanie czynnego radioodbiornika, groziła kara śmierci. Naturalnie o spotkaniu z partyzantami nigdy nie wspomnieliśmy leśniczemu w obawie, że mógłby zameldować o tym niemieckiej żandarmerii. Chodziły wieści, że leśniczy wydał już Niemcom radzieckiego jeńca, któremu udało się uciec z niewoli. Jeniec ten przyszedł do wsi, ukrywał się w ogródkach i codziennie zgłaszał się do któregoś z domów prosząc o jedzenie. . Widocznie ktoś doniósł leśniczemu, a ten z kolei niemieckiej żandarmerii, która rozstrzelała nieszczęśnika obok wsi Poźniaki.

W styczniu wezwano mnie do Kleszczel w celu wyrobienia „ausweisu” (niemieckiego dowodu osobistego). Zrobiono mi na miejscu zdjęcie, kazano wysmarować czarnym tuszem palec wskazujący, przycisnąć do dokumentu, aby zostawić odcisk. W drugiej połowie lutego odebrałem dokument, który potem miałem we Wschodnich Prusach. Tam otrzymałem również inny i miałem dwa niemieckie „ausweisy”.

W styczniu przyjechał na urlop z Zachodnich Niemiec Mironik, chłopiec ze wsi Czeremchy, który dużo wcześniej był wywieziony do pracy przymusowej. Był to jedyny wypadek, że Niemcy wypuścili z przymusowej pracy kogoś na urlop. Chłopak był niskiego wzrostu i dlatego we wsi nazywali go Mironikiem, a nie Mironem. W zimie

wieczorem dziewczyny - prządki zbierały się codziennie po kolei w wyznaczonej chacie i tam przędły len lub wełnę na kołowrotkach. Do dziewczyn przychodzili chłopcy, aby pożartować i pogadać. Mironik także codziennie pojawiał się na tych spotkaniach. Pamiętam, że Antoni Leszczyński, który pracował wtedy na stacji Czeremcha i chciał się pochwalić znajomością języka niemieckiego, starał się mówić z nim po niemiecku, a Mironik odpowiadał mu także w tym języku. Któregoś wieczoru dziewczyny naśmiewały się i kpiły z urlopowicza. Nie wiem o co im chodziło, tam mnie wtedy nie było, ale Mironik strasznie obraził się na swoje wiejskie młode sąsiadki i niektórych sąsiadów. Z zemsty poszedł na żandarmerię w Kleszczelach i przekazał im listę dziewczyn i chłopców, którzy mogą być wywiezieni do Niemiec. Żandarmom było to na rękę. Ucieszyli się wielce i wysłali do sołtysa otrzymaną listę, aby wyznaczył wyszczególnione w niej osoby do wyjazdu w lutym 1943 roku do Prus Wschodnich. Nie wiem, czym kierował się Mironik, przynosząc do żandarmerii spis swych kolegów i koleżanek, zazdrością czy chęcią zemsty za żarty, czy może jakąś obietnicą ze strony Niemców. Niewątpliwie był to czyn haniebny. Opuściło rodzinną wieś kilku jego kolegów i koleżanek, którzy potem męczyli się na obczyźnie. Po wojnie Mironik wrócił do domu, ale już dawno umarł na raka.

Według listy zrobionej przez Mironika wywieźli do Prus Wschodnich między innymi Jana Panasiuka, Stefana Lewczuka, Lubę Mirkowską oraz Wierę i Lubę Wnuczko.

Luba Wnuczko szybko wróciła chora do domu. Okazało się, że weszła jej do ręki drzazga, dziewczyna dostała zakażenia krwi i Niemcy zwolnili ją z przymusowej pracy. Pamiętam, jak odwiedziłem ją chorą. Luba leżała prawie nieprzytomna w łóżku. Jednak po jakimś czasie wyzdrowiała i więcej już Niemcy jej do pracy nie zabrali.

Matka jednej z dziewczyn wysłanych do Niemiec, (przypuszczalnie była to matka Luby Mirkowskiej) w lutym 1943 roku, gdy dowiedziała się, że Mironik wydał jej córkę, poszła do żan-

darmów w Kleszczelach z listą innych chłopców i dziewczyn ze wsi Czeremchy, którzy jeszcze nie zostali wywiezieni. Powinna ona czuć się bardziej winną od Mironika, bo wywiezieni nic jej złego nie zrobili. Trudno zrozumieć, jak można dojść do takiego upodlenia. Na liście przekazanej Niemcom, znajdowało się też moje nazwisko. Byłem najmłodszym z tych osób, skończyłem 16 lat. W piątek 13 marca, przyszło do sołtysa zawiadomienie z żandarmerii o wyznaczeniu mnie na wyjazd 16 marca do pracy przymusowej w Niemczech. Na tej liście znalazła się także siostra Aleksandra Szatyłowicza, za którą zgodził się jechać jej brat, ponieważ był pewny, że zwolnią go ze względu na zły stan zdrowia. Była też na liście moja sąsiadka Wiera Kierdelewicz, córka Teodora i chłopak Mikołaj, którego razem z rodzicami Niemcy wypędzili z okolic Puszczy Białowieskiej i osiedlili w naszej wsi u Sołościuka. Byli też wywiezieni i inni chłopcy i dziewczyny.

Poszedłem w sobotę do leśniczego Kraśki i prosiłem, zgodnie z obietnicą, by zawiadomił żandarmów w Kleszczelach, że pracuję u niego w lesie. Ale on odmówił. Był to pijak, człowiek nieżyczliwy.

Rankiem z soboty na niedzielę dnia 15 marca zapaliła się stodoła Makara i jego braci Piotra i Michała, która stała przy łące. Pożar trwał godzinę. Ludzie pobiegli z wiadrami, ale nie było czego ratować. Na szczęście ogień nie przerzucił się na inne zabudowania. W pobliżu stały jeszcze trzy stodoły.

Niedzielę spędziłem z przyjaciółmi i wtedy przyszła wiadomość od sołtysa, że wydała nas dziewczyna, czy matka dziewczyny, którą w lutym wywieźli do Prus Wschodnich, ale nie podano jej nazwiska. Sąsiad przygotował mi drewnianą walizkę, zbitą z dykty, włożyłem do niej niezbędne rzeczy. Ostatni wieczór z niedzieli na poniedziałek spędziłem u Jewdokii Harasimowej razem z Wanią, chłopcem, który po 1939 roku przyjechał do nas z ZSRR i został, zamieszkałym w Czeremsze oraz Mikołajem Kierdelewiczem, moim szkolnym kolegą. Czas minął bardzo przyjemnie, bo Mikołaj, którego ojciec miał

sklepik, przyniósł butelkę wódki moskiewskiej, którą ludzie jeszcze mieli z sowieckich wagonów zostawionych na stacji Czeremsze 22 czerwca 1941 roku, gdy zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. Na następny dzień rano pożegnałem się z matką oraz siostrą i z oj- cem pojechałem furmanką na dworzec kolejowy w Kleszczelach, gdzie był wyznaczony punk zbiorczy.

2. Droga do Prus Wschodnich

Na peronie dworca w Kleszczelach zobaczyłem ogromny tłum. Byli tam z Czeremchy i z pobliskich okolic chłopcy i dziewczyny wyznaczeni do wyjazdu i odprowadzający ich członkowie rodzin oraz znajomi. Żandarmi sprawdzili nas wszystkich według różnych list i uprzedzili, aby nikt nie próbował uciekać, ponieważ nie tylko znajdą i wyślą do obozu pracy, ale i zostaną ukarane ich rodziny. Jednocześnie poinformowali, że do wagonów, które wkrótce przyjadą, mogą wsiadać tylko osoby wyznaczone do wyjazdu, a odprowadzający powinni wrócić do domów.

Gdy pociąg podjechał ze stacji Czeremchy w kierunku Bielska Podlaskiego, podniósł się straszny lament, płakały przeważnie dziewczęta, które żegnały się ze swymi rodzicami czy braćmi i siostrami. Ja nie płakałem, gdy żegnałem się z ojcem, gdyż nie przypuszczałem, że nigdy więcej już go nie zobaczę. Miałem nadzieję, że prędko wrócę do domu. Jechać jednak do niewoli nawet na krótki okres czasu było niezmiernie przykro. Nie wiedziałem wtedy, że będę prawie trzy lata błąkać się wbrew woli po cudzej ziemi.

Nadjechały stare niemieckie wagony pasażerskie, jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Wzdłuż każdego wagonu z jednej i z drugiej stronny ciągnęły się długie podwójne, jedna nad drugą, deski schodów, a do każdego przedziału w wagonie z jednej i z drugiej strony były drzwi wejściowe. Wsiadłem do przedziału z Aleksandrem i Mikołajem.

Pociąg dowiózł nas do dworca kolejowego w Bielsku Podlaskim. Wyszliśmy wszyscy z wagonów. Niemcy sprawdzili nas według listy, ustawili w czwórki, jak żołnierzy, i popędzili ulicami miasta. Zaprowadzili nas na podwórze, oddzielili dziewczyn od chłopców i każdą grupę zapędzili do innego pomieszczenia. Trafiliśmy do dużej sali ze sceną teatralną, gdzie kazali nam pokotem kłaść się na podłodze. Było tam już wiele innych osób przywiezionych wcześniej. Niektórzy z nich ulokowali się na scenie teatralnej i zabawiali wszystkich wesołymi żartami, a nawet piosenkami. Czas do wieczora przeszedł dosyć szybko. Jedliśmy tylko wzięte z domu jedzenie.

Pod wieczór kazali nam rozebranym do pasa i iść do sąsiedniego domu po schodkach na górę, do dużego oświetlonego pokoju na badania lekarskie. Przyjmował nas niemiecki lekarz i tłumacz z języka polskiego na niemiecki. Pokazałem lekarzowi receptę i poświadczenie, że chorowałem w 1942 roku na zapalenie płuc. Lekarz odniósł się do tego z niedowierzaniem, postukał mnie ręką w pierś i powiedział: Aber jetzt bist du gesund. (Ale teraz jesteś zdrowy)

U Aleksandra, który wyglądał na zdrowego chłopca, stwierdzili jakąś chorobę i odesłali go do domu. Nie nocował już z nami, zabrali go w inne miejsce.

Noc spędziliśmy na podłodze w swoich ubraniach, na swoich walizkach. Rano nas wypędzili, ustawili oddzielnie dziewczyn i chłopców w cztery szeregi i popędzili w stronę dworca kolejowego do stojącego dalej od dworca pociągu i grupami kazali wsiadać do czerwonych towarowych wagonów. Drzwi wagonów zamknęli i z zewnątrz zasunęli na zasuwy, które okręcili jeszcze drutem. Czekaliśmy z godzinę zanim pociąg ruszył w stronę Białegostoku.

Pociąg jechał dosyć szybko. Z przodu i z tyłu pociągu w budkach konduktorskich zasiedli policjanci niemieccy z automatami. I gdzieś w połowie drogi między Bielskiem Podlaskim, a Białymstokiem, parę osób zauważyło, że drzwi od naszego wagonu nie są szczelnie domknięte. Po odsunięciu ich, udało się rozkręcić drut na

zasuwie i drzwi całkowicie otworzyć. Kilka osób postanowiło uciec. Gdy pociąg jechał po wysokim nasypie, wyrzucali oni na zewnątrz swoje bagaże, wchodzili na schodki wagonu, wyskakiwali i koziołkowali skuleni aż na sam dół nasypu. Niemcy nie od razu zauważyli uciekających i dopiero, gdy wyskoczył czwarty uciekinier usłyszeliśmy strzały z automatu z tyłu wagonu. Wtedy reszta przestraszyła się, bo stało się niebezpiecznie tym bardziej, że za nasypem ciągnęło się puste pole pokryte jeszcze puchem białego śniegu. Szybko zostały przez nas zamknięte drzwi wagonu. Niemcy zatrzymali pociąg dopiero na najbliższej stacji. Słychać było, jak podeszli pod drzwi naszego wagonu i nie otwierając ich, szczelniej zakręcili drutem zasuwę od drzwi, tak żeby już nie można było odsunąć ich w bok. Tak dojechaliśmy do Białegostoku.

Na dworcu w Białymstoku żandarmi kazali nam wyjść z wagonów. Odnotowali nieobecnych, ustawili wszystkich w czwórki i poprowadzili na nocleg. Przy dworcu udało mi się kupić od gazeciarza rosyjską gazetę wydawaną w Berlinie ,,Nowoje Słowo", w której przeczytałem o śmierci pod Stalingradem niemieckiego feldmarszałka F. Paulusa (co było nieprawdą). Zakwaterowali nas w małych drewnianych domkach kempingowych, ogrodzonych drutem kolczastym. Spać musieliśmy na gołych narach, nieco lepszych od betonowej podłogi. W nocy było zimno, ale ratowała mnie ciepła kurtka podszyta kożuchem, którą przykrywałem się podczas snu. Spałem w jednym domku z Mikołajem. Jeszcze w dzień rozlokowali nas w domkach. Po wyjściu z domku Mikołaj zaczął mnie namawiać do ucieczki pod drutem kolczastym, akurat w pobliżu nikogo nie było. Nie chciałem jednak ryzykować, bo nie miałem miejsca, gdzie mógłbym się ukrywać od Niemców. W domu Niemcy szybko by mnie znaleźli i wysłaliby do obozu pracy. Mogliby też aresztować mego ojca. Mikołaj samotnie nie odważył się uciekać, był on w bardzo złym nastroju psychicznym. Żałował, że nie wyskoczył z pociągu wraz z innymi uciekinierami. Doszły do mnie później wieści, że on

u jakiegoś bauera w pobliżu Heilsbergu utopił się w rzece, prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

Nazajutrz, w środę, zebrali nas rankiem przed domkami kempingowymi, sprawdzili obecność i poprowadzili do wagonów towarowych na dworcu w Białymstoku. Ulokowali nas w czerwonych wagonach, po 20-30 osób, zamknęli mocno drzwi i powieźli w niewiadomym kierunku. Po pewnym czasie przez małe okienko w wagonie czytaliśmy nazwy niemieckich dworców. Zorientowaliśmy się, że wiozą nas nie do Generalnej Guberni do Niemiec Zachodnich, lecz do Prus Wschodnich. Po kilku godzinach przeczytałem nazwę dworca Allenstein (Olsztyn). Pod wieczór zatrzymaliśmy się na peronie jakiegoś dworca. Niemcy otworzyli drzwi wagonów i kazali nam wychodzić na peron. Tam w czwórkach, dziewczyn z przodu, a chłopców za nimi, poprowadzili ulicami miasta Wormditta (Orneta), jak przeczytaliśmy na budynku dworca kolejowego. Zapędzili nas do dwóch dużych ciemnych sal w wysokim budynku z czerwonej cegły, dziewczyn do jednej, a chłopców do drugiej sali i zakomunikowali, że będziemy spać na betonowej podłodze. Każdy otworzył swoją walizkę, żeby zjeść to, co zostało wzięte z domu, potem położył pod głowę swoje bagaże i próbował zasnąć.

Rankiem w czwartek dali każdemu po kubku zbożowej kawy bez cukru i zapędzili gołych pod chłodny prysznic. Wcześniej kazali nam zwinąć w węzełki, związać sznurkiem każdy węzełek naszego ubrania i oddać je do dezynfekcji w gorącym piecu. Gdy wyszliśmy z łaźni, wydano nam nasze ubrania. Ubraliśmy się w nagrzane w piecu ubrania i wyszliśmy z walizkami na plac przed budynkiem. Niemcy zażądali, abyśmy się gromadzili w grupy zgodnie z naszymi profesjami, oddzielnie krawcy, szewcy, stolarze itd. Wyselekcjonowane według zawodów grupy zostały wcześniej wyprowadzone z placu. Z reszty stworzyli sześć grup po 30 osób według nazwisk. W każdej grupie byli chłopcy i dziewczyny. Wyprowadzano oddzielnie każdą grupę i pędzono czwórkami w różnych kierunkach. Naszą

grupę poprowadzili po wilgotnych chodnikach w stronę dworca kolejowego, a na dworcu umieścili nas w normalnym wagonie pasażerskim z siedzącymi miejscami. Usiadłem koło okna wagonu. Wkrótce pociąg ruszył. Pogoda się poprawiła i gdzieś jechaliśmy. Śniegu już nie było na polach. Od czasu do czasu ukazywały się murowane folwarki z drewnianymi stodołami i przeważnie z niedużymi sadami owocowymi.

Przyjechaliśmy na dworzec kolejowy Heilsberg (Lidzbark Warmiński). Nie znalazłem teraz na mapie linii kolejowej między Ornetą, a Lidzbarkiem Warmińskim. Jednak wtedy między Wormdittem, a Heilsbergiem taka linia kolejowa istniała. Na starych mapach Prus Wschodnich jest ona zaznaczona. Widocznie po wojnie ją zlikwidowano.

Z dworca kolejowego w Heilsbergu żandarmi poprowadzili nas do arbeitsamtu w centrum miasta i kazali czekać w dużej kwadratowej sali. Przy długim stole na podwyższeniu siedział jakiś urzędnik niemiecki, który sprzedawał nas niemieckim bauerom. Przeważnie starsi Niemcy, czasami z żonami podjeżdżali pod urząd bryczkami, oglądali i wybierali nas. Szukali mocnych, zdrowych i wysokich. Gdy ktoś spodobał się, przyprowadzali go do urzędnika i uzgadniali cenę. Gospodarze płacili sprzedającemu jakąś niedużą sumę marek i odchodzili z nabytkiem. Działo się to tak, jak kiedyś w amerykańskich filmach na targu Murzynów-niewolników. Zauważyłem, że Niemcy sortowali nas według wyznania. Nawet nie pytali nas czy jesteśmy prawosławnymi czy katolikami, wszystko mieli zanotowane w swoich dokumentach. W naszej grupie część osób rozmawiała między sobą po polsku, inna po białorusku albo po ukraińsku, a najczęściej dialektem wiejskim. Ale wrogości pomiędzy nami nie było. Niemcy uważali katolików za Polaków i każdemu z nich dawali przy stole żółty znaczek z materiału z literą „P", który trzeba było przyszyć do ubrania z lewej strony piersi i z tym znaczkiem stale chodzić. Bez tego znaczka nie wolno było pokazać się na dworze czy na ulicy, bo

groziła kara. Prawosławnych Niemcy uznawali za Białorusinów i nie dawali im żadnych znaczków. Później jednak osobom z głębi Rosji, prawosławnym, katolikom i muzułmanom, kazali nosić znaczek niebieski z napisem „OST". Ukraińcom zaś nawet z głębi Rosji nie trzeba było nosić żadnego znaczka.

Dosyć długo stałem i czekałem, aż mnie ktoś wybierze. Niebawem podszedł stary mężczyzna w kapeluszu, wyglądający na około 65 lat w towarzystwie dwóch kobiet, które były też w kapeluszach; jedna starsza (około 60 lat), widocznie żona mężczyzny, i druga młoda, nie więcej niż lat 30. Początkowo oglądali mnie z daleka, rozmawiając, a potem podeszli i zapytali: Wie alt bist du? (Ile masz lat?) Zrozumiałem i odpowiedziałem: Sechzehn (szesnaście). Nie uwierzyli. Podprowadzili mnie do urzędnika przy ladzie i gdy on zajrzał do papierów - potwierdził moje słowa - ździwili się. Jak na szesnaście lat byłem wysokiego wzrostu, wyższy od Niemca i kobiet. Odeszli na chwilę, jakiś czas się naradzali, ale już nie było w czym wybierać. Czekało tylko parę starszych chłopców, ale niższych i słabszych ode mnie .Młoda kobieta podeszła do lady zapłaciła urzędnikowi jakąś sumę marek, coś podpisała, otrzymała do ręki papierek. Zawołali, żebym szedł za nimi. Szliśmy przez plac centralny miasta, gdzie stał pomnik jakiegoś huzara na koniu i weszliśmy do piwiarni. Tam przy stole zamówili sobie i mnie po dużym kuflu ciemnego piwa. Powoli pili to piwo i rozmawiali o czymś, czego nie mogłem zrozumieć. W tym czasie słabo znałem język niemiecki, ponadto rozmawiali oni pruskim dialektem, którego nigdy nie słyszałem.

Wyszliśmy na wąską ulicę, gdzie czekała bryczka i dwa konie. Pokazali, żebym siadł z bagażem z tyłu bryczki, a oni usiedli z przodu. Mężczyzna trzymał lejce oraz bicz i prowadził konie. Jechałem i oglądałem miasto. Z daleka widziałem czerwony stary zamek i małe murowane domki po obu stronach ulicy. Z miasta wyjechaliśmy na asfaltową szosę, drogowskaz wskazywał kierunek na Guttstadt (Dobre Miasto). Wzdłuż szosy rosły wysokie drzewa, a za nimi cią-

gnęły się głębokie rowy bez wody. Od czasu do czasu, z jednej, i z drugiej strony szosy ukazywały się murowane domy gospodarstw kryte czerwoną dachówką. Nie widziałem żadnego drewnianego domu, ani słomianego dachu, tak charakterystycznych dla naszego podlaskiego krajobrazu. Był początek wiosny. Po wilgotnych polach błąkał się chłodny wiatr, byłem jednak w kurtce na kożuchu, więc nie odczuwałem zimna.

Przejechaliśmy szosą siedem kilometrów, skręciliśmy na drogę w lewo i zajechaliśmy na podwórze niedużego gospodarstwa. Z lewej strony znajdował się mały murowany dom, z prawej – murowana obora, a naprzeciwko - wysoka, lecz nieduża drewniana stodoła. Z domu wybiegło troje małych dzieci, dwie dziewczynki, trzyletnia i pięcioletnia, i siedmioletni chłopiec. Za nimi wyszedł przystojny mężczyzna w niemieckim oficerskim mundurze. Wysiadłem z bryczki, wziąłem swoją walizkę, a młoda kobieta dała mi znak, abym szedł za nią. Weszliśmy do sieni i po ominięciu z prawej i z lewej strony drzwi do pokojów, weszliśmy do niedużej kuchni, a z niej na prawo do wąskiego pokoju. Za drzwiami z lewej strony znajdowała się nieduża szafa na ubranie, a za nią żelazne łóżko z pościelą, za łóżkiem zaś naprzeciwko przy oknie stał mały stół i przy nim krzesło. Z prawej strony była pusta ściana z zamkniętymi drzwiami do sąsiedniego pokoju. Kobieta wytłumaczyła mi, że jest to mój pokój, szafa i łóżko, a myć się będę w kuchni w miednicy, napełniwszy ją wodą albo z pompy, która stała przy ścianie niedaleko okna, albo odkręciwszy kran od rurki z baku przy suficie. Miednica stała na stołku przy pompie. Wodę też trzeba będzie od czasu do czasu pompować ręcznie do baku, który wisiał pod sufitem, naciągając na kran pompy gumową rurę zwisającą z baku i odkręcając u góry przejście na wodę do baku. Dalej w kuchni za oknem przy ścianie znajdował się stół z krzesłami, a naprzeciwko kaflowy piec kuchenny, a nad nim na ścianie wisiała szafka z garnkami, talerzami i innymi kuchennymi przyborami.

Gdy kobieta wyszła zacząłem w swoim pokoju rozpakowywać przywiezione rzeczy i chować je do szafy. Wkrótce do pokoju wszedł niemiecki oficer, przywitał się, podając mi rękę, co mnie bardzo zdziwiło: – „Ich bin Herman Lipmann. Sprechen Sie Deut- sch?” (Jestem Herman Lipmann. Czy mówi pan po niemiecku?) – zapytał.

– „Sehr schlecht. Aber ich etwas verstehe. Bitte, sprechen Sie langsam”. (Bardzo źle. Ale trochę rozumiem. Proszę mówić powoli) – odpowiedziałem.

– Dobrze, że chociaż trochę pan rozumie. Tutaj będzie miał pan dobrą praktykę i szybko się pan nauczy. Służę w wojsku we Francji, przyjechałem na urlop, ale za dwa dni wracam z powrotem. Wtedy pan zostanie tutaj z moją żoną, Gerlinde, i z dziećmi. Na wschodzie nigdy nie byłem i nie wiem, jak tam ludzie żyją.

– A ten mężczyzna z kobietą, którzy nas przywieźli? – zapytałem.

– To sąsiedzi – odpowiedział. – Mam mało ziemi, tylko dwie krowy oraz konia i jak pan widział troje dzieci. Dlatego proszę pomóc żonie w pracy. Dzisiaj proszę odpocząć, a jutro od rana proszę przystąpić do pracy.

Zapytałem go o adres i on w moim zeszycie, który wyjąłem z walizki, napisał: Dorf Wossenden, Kreis Heilsberg (wieś Wossenden, powiat Heilsberg) – (dzisiaj Nowosady, powiat Lidzbark Warmiński).

Napisałem wówczas list do domu i przekazałem gospodyni, która obiecała jutro oddać listonoszowi. Rano obudziłem się, zjadłem w kuchni śniadanie i oficer Herman zaprowadził mnie do stajni, gdzie pokazał, jak mam karmić i poić konia, skąd brać owies i ile sypać do żłobu. W stajni była ręczna pompa, którą pompowało się wodę do wiadra i wlewało do kamiennego żłobu. Ponadto dał mi szczotkę i pokazał, jak mam czyścić konia. Powiedział o której godzinie jakie czynności mam wykonywać.

W sobotę rano mąż gospodyni Gerlinde wyjechał i musiałem według jego wskazówek wykonywać wszystkie czynności, karmić krowy i konia, czyścić go i sprzątać na podwórku.

W niedzielę po obiedzie byłem wolny, wtedy w swoim pokoju napisałem listy do rodziców i znajomych. Wziąłem też z gazety rosyjskiej „Nowoje Słowo" jej berliński adres, zaadresowałem kopertę, do której włożyłem określoną ilość niemieckich marek i napisałem po rosyjsku kartkę, że wysyłam im pieniądze na półroczną prenumeratę tygodnika, podając mój adres niemiecki. Włożyłem kartkę do koperty, kopertę zakleiłem i na odwrotnej stronie koperty napisałem mój adres zwrotny. Kiedy gospodyni przyszła wołać mnie na kolację, oddałem jej listy. Zobaczyła leżący na stole mój podręcznik radziecki z 6 klasy do języka niemieckiego. Wzięła książkę, otworzyła na lekcji o radzieckich komsomolcach, potem przewertowała pobieżnie, zaśmiała się i stwierdziła: ,,Du lernst Deutsch" (Uczysz się niemieckiego). W taki sposób zaczęły biec moje dni niewolnika u niemieckiego bauera.

3. Praca u Frau Gerlinde Lipman

Pracy w gospodarstwie starczało na cały dzień, chociaż nie było ciężko. Frau karmiła mnie dobrze, głodny nie byłem nigdy. Jeść dawała mi w kuchni przy stole. Ona zaś jadła z dziećmi oddzielnie, gdy wychodziłem do pracy. Wszystko było przyjemne do czasu, gdy przyszedł jej krewny z prośbą wypożyczenia mnie na kilka dni. Mieszkał on jakieś 600 metrów od domu Gerlinde. Szło się do niego dróżką przez pola I przez wąską rzeczkę. Był bogatszszym bauerem od mojej gospodyni, miał trzy pary koni, 18 krów, owce, świnie, gęsi, kury i wiele rolniczych maszyn. Chyba owdowiał, bo w domu żony nie miał. Był nieprzyjemny i szorstki zarówno do mnie, jak i do innego swego pracownika, francuskiego jeńca. Bauer był niskiego

wzrostu, chudy, łysy, ze złym spojrzeniem, a ponadto skąpy. Obiad i kolację jadł ze mną i Francuzem przy jednym stole. Posiłki przygotowywała mu pobliska sąsiadka, która przychodziła do niego. Miał ponad 55 lat, ale był jeszcze żwawy, pracował w polu i w domu. Jeniec, były żołnierz francuski, wydał mi się nieciekawy; niskiego wzrostu, chudy, ze sterczącym nosem. Staraliśmy się rozmawiać po niemiecku. Język niemiecki znał trochę lepiej ode mnie, ale z bauerem rozmawiał rzadko, bo bauer był małomówny. Przeważnie wydawał tylko polecenia. Czasami podczas obiadu czy kolacji wykrztusił parę zdań.

Francuz karmił i doił krowy, karmił również konie, trzodę, gęsi i kury. Natomiast gospodarz kazał mi zaorać kawałek mokrego jeszcze pola, a na drugi i trzeci dzień wyrzucać z obory nawóz. W kolejnych dniach polecił, abym razem z Francuzem ciął drewniane kłody na kawałki, a potem je rąbał na polana i składał przy ścianie obory. W piątym dniu pracy wbiła mi się w lewą dłoń niewielka drzazga. Wydawało się, że ją wyciągnąłem, ale widocznie nie całkowicie.

W sobotę i w niedzielę, gdy pracowałem u Frau Gerlinde zobaczyłem, że na dłoni robi mi się wrzód. Z niedzieli na poniedziałek, gdy usłyszałem, że moja pani krząta się w kuchni, wstałem z łóżka, ubrałem się, wszedłem do kuchni i pokazałem swoją dłoń. Zdenerwowała się i powiedziała, że za dwie godziny jest autobus do Heilsbergu, więc zawiezie mnie do lekarza. Po śniadaniu odprowadziła swoje dzieci do sąsiadki, a ja ubrałem się do wyjazdu.

O godzinie dziewiątej wyszliśmy na przystanek autobusowy. Było zimno i pochmurno, wiał nieprzyjemny wiatr. Na przystanku byliśmy tylko we dwoje. Wkrótce przyjechał autobus. Frau znalazła miejsce siedzące, ja natomiast poszedłem naprzód i stanąłem przy oknie w pobliżu kierowcy, tyłem do okna, trzymając się górnego pręta. Z lewej strony na przednim siedzeniu siedziało dwóch starszych mężczyzn, a dalej kobiety. Jeden z mężczyzn długo mi się przyglądał, i zapytał :

– Wohin färst du? (Dokąd jedziesz?)

– Nach Heilsberg zum Arzt (do Heilsbergu do lekarza) – odpowiedziałem spokojnie.

– Bist du der Verwundete? (czy jesteś ranny?) – zapytał spojrzawszy na zabandażowaną rękę.

– Nein, ich habe nur die kranke Hand. (Nie, mam tylko chorą rękę) – odpowiedziałem.

Nie chciałem z nim rozmawiać po niemiecku. Gdy o coś jeszcze się pytał, odpowiedziałem, że nie rozumiem. Była to moja pomyłka. Zmienił się na twarzy i ze złością zapytał:

– Bist du Polak? (Czy jesteś Polakiem?). Nie powiedział po niemiecku „Pole" tylko słowo „Polak", które wycedził z oburzeniem.

– Nein – szybko odpowiedziała za mnie Frau Gerlinde, – er ist nicht Pole, sondern Belorusse. Er ist in Südostpreussen geboren. (Nie, on nie jest Polakiem, tylko Białorusinem. On się urodził w Południowo-Wschodnich Prusach).

Rozpoczęła się miedzy pasażerami krzykliwa sprzeczka, której sensu nie mogłem zrozumieć.

Autobus wjechał już do miasta i zatrzymał się na centralnym placu w pobliżu pomnika. Wyszedłem pierwszy, a za mną inni, dziwnie na mnie spoglądający. Frau Gerlinde zaprowadziła mnie do lekarza, który przyjął nas życzliwie. Rozmawiał poprawnie bez mazurskiego akcentu po polsku. Lekarz natychmiast rozciął mi wrzód na dłoni, zalał ranę spirytusem i jodyną, posmarował maścią i mocno zabandażował całą dłoń. Dał mi 7 dni zwolnienia od pracy, o czym poinformował moją gospodynię. Nie odpowiedziała nic, ale zauważyłem na jej twarzy niezadowolenie. Lekarz powiedział jej, żeby za tydzień znowu mnie przyprowadziła.

Gdy podeszliśmy razem do autobusu, kierowca zagrodził mi wejście do środka przy drzwiach wejściowych.

– Nur die Dame kann mit diesem Autobus fahren! (Tylko pani może jechać tym autobusem) – powiedział kierowca z uśmiechem na twarzy.

Gospodyni zaczęła mu tłumaczyć, że nie może zostawić mnie samego, bo niedawno przyjechałem i nie znam drogi do jej domu, a poza tym jestem chory. Kierowca był jednak bezwzględny i nie dawał się przekonać. Twierdził, że nie może mnie wpuścić do autobusu, bo straci pracę.

– Jest takie prawo, że Polak nie może jechać w autobusie razem z Niemcami. Gospodyni rozpłakała się, twierdząc, że nie jestem Polakiem, nie noszę znaczka ,,P" na piersi i że na pewno mam prawo jechać w autobusie razem z Niemcami. Czułem się źle, stojąc przed nim, ale jednocześnie to mnie śmieszyło. Wcale nie miałem przyjemności jechać razem z Niemcami w jednym autobusie i chętnie bym poszedł pieszo do domu, gdybym znał drogę. Zresztą, gdybym poszedł wzdłuż szosy, znalazłbym jej dom. Stałem przy szoferze i ze zdziwieniem patrzyłem mu w oczy. Widziałem, jak mu ze złości drżały szczęki. Dookoła nas zebrali się pasażerowie, Niemcy. Jedni, przyglądając się milczeli, drudzy bronili kierowcy przed kobietą. Tylko dwie kobiety popierały moją gospodynię, twierdząc, że nie wolno bezdusznie podchodzić do prawa, bo przynosi to krzywdę Niemcom. Kierowca był uparty i nie chciał ich słuchać. Podczas tej sprzeczki podszedł żandarm i wtrącił się do rozmowy. Wysłuchał płaczącą gospodynię, obejrzał mój ausweis wydany jeszcze w Kleszczelach i zażądał od kierowcy, aby mnie wpuścił do autobusu i odwiózł do domu gospodyni.

– Jeżeli tak, to proszę mi dać pisemne zezwolenie – odrzekł szofer. – Żadnego zaświadczenia nie będę ci dawał, masz tutaj dużo świadków, iż zażądałem, abyś zabrał go do autobusu. – wściekał się żandarm. Jednak kierowca kategorycznie twierdził, że bez pisemnego zezwolenia z kancelarii żandarmerii mnie do autobusu nie wpuści. Żandarm kazał zaczekać, na chwilę odszedł i wrócił ze swoim szefem, który kazał mi pokazać ausweis.

– Nie znasz dobrze prawa – powiedział do kierowcy – gdy nie nosi znaczka ,,P" może jechać tym autobusem. Jeżeli nie ma znaczka, to skąd możesz wiedzieć, że nie jest Niemcem?

– Gdybym nie wiedział, że nie jest Niemcem, to bym go zabrał. Niemieccy pasażerowie zwrócili mi uwagę, że jest cudzoziemcem i nie wezmę go bez waszego pisemnego zezwolenia – odpowiedział kierowca.

– Dobrze – stwierdził żandarm – dostaniesz zezwolenie na piśmie – ale ciebie zapamiętam.

Szef żandarmerii zabrał mnie do swojej kancelarii, która była w pobliżu przystanku autobusowego po drugiej stronie ulicy. Tam kazał mi usiąść, wziął mój ausweis i na maszynie do pisania napisał mi w dwóch egzemplarzach zezwolenie na jazdę autobusem, podpisał je i postawił pieczątkę. Przekazując powiedział, że jeden egzemplarz mam oddać kierowcy, a drugi zachować na wypadek, jeżeli powtórzy się podobna sytuacja. Podszedłem do kierowcy i wręczyłem mu pozwolenie od żandarmerii. Czerwony ze złości kierowca, przeczytał je, i powoli włożył do swojej torby. Pozwolił mi wejść do autobusu i pokazał z tyłu miejsce, gdzie miałem usiąść. Siedziałem sam jeden. Moja pani była szczęśliwa, że udało się mnie zabrać do autobusu i nie musiała ze mną iść pieszo siedem kilometrów.

Oglądałem z siedzenia pasażerów i byłem zdziwiony, że faszyzm w czasie takiego krótkiego czasu mógł zmienić mózgi tym starym ludziom. Uwierzyli oni, ze są wyższą rasą ludzi i czują krzywdę, gdy ktoś z innej narodowości będzie jechał razem z nimi. Wiadomo, że większość z ich była zniemczonymi Mazurami. Gdy zaczęli dzielić narody na lepszych i gorszych, to zaplątali się tak, że już nie wiedzą, który naród jest lepszy, a który gorszy. Ten szowinizm, jak wrzód wyrósł raptownie w ich duszach i zniszczył u nich poczucie moralności i człowieczeństwa. Nie pozwalał im trzeźwo myśleć i teraz tylko ostry skalpel wojny może wyciąć im ten wrzód i ich wyleczyć. Wychodząc powoli z autobusu z uśmiechem popatrzyłem na nich, żeby zrozumieli, jak imi pogardzam.

Frau Gerlinde była smutna i zła, chociaż starała się ze mną nie mówić na ten temat. Widocznie przeżyła ten incydent po swojemu. Była też niezadowolona z tego, że otrzymałem 7 dni zwolnienia

z pracy. Nie mogła teraz posłać mnie do pracy do swego krewnego. Pomimo zwolnienia chodziłem do stajni i czyściłem jedną ręką konia. Rano w czwartek zauważyłem w oborze jakiegoś jeńca francuskiego, który zaczął pracować u Frau Gerlinde. Był on co najmniej o 10 lat starszy ode mnie. Początkowo myślałem, że dali go jej do pracy na czas, póki ja nie wyzdrowieję, póki nie zagoi się moja ręka. W piątek Frau Gerlinde powiedziała mi, że w poniedziałek odwiezie mnie do arbeitsamtu i może odeślą mnie do domu. W sobotę i niedzielę odpoczywałem i pisałem listy do rodziców i znajomych, a 5 kwietnia, w poniedziałek, Francuz zaprzągł konie do bryczki. Frau usiadła z przodu, a ja z tylu, wzięła lejce i pojechaliśmy do miasta. Zawiozła mnie do Heilsbergu i tam przekazała mnie do arbeitsamtu. Lecz gdy tylko ona wyszła, zjawił się inny bauer, którego widocznie wcześniej o moim przybyciu powiadomili, popatrzył na mnie, nie przestraszył się, że mam chorą rękę, zapłacił za mnie, zabrał i zaprowadził do lekarza. Lekarz zdjął bandaż, posmarował miejsce, gdzie był wrzód jakąś maścią, zabandażował znowu rękę i dał mi pudełko z maścią i bandaż. Powiedział po polsku, abym codziennie rano rozwijał bandaż i smarował ranę maścią. Nowemu bauerowi oświadczył, aby przez tydzień nie zmuszał mnie coś robić chorą ręką. Potem nowy bauer zaprowadził mnie do swojej bryczki i zawiózł mnie do wioski Pomehren (teraz nazywa się Pomorowo, a w 1950 roku była – Pomorzem), oddalonej o 5 km, od poprzedniej gospodyni i o 7 km od Heilsbergu. Bauer nazywał się Josef Spannenkrebs.

4. Pobyt w kwietniu w majątku Josefa Spannenkrebsa

Bauer Josef Spannenkrebs skończył już 62 lata. Był niskiego wzrostu, ale jeszcze dosyć żwawy. Samodzielnie zaprzęgał swoje dwa konie do pługa, orał pole, chociaż kulał na jedną nogę. Miał

trzech synów z pierwszą żoną, która umarła; najstarszego, prawie 17-letniego Josefa, o rok młodszego Erharda i najmłodszego Bruno, który jeszcze chodził do szkoły. Druga jego żona, córka sąsiedniego bauera, była o jakieś 20 lat od niego młodsza. Miał z nią trzyletnią córkę, którą wychowywali rodzice żony w sąsiednim gospodarstwie. Jego żona miała młodszą 35-letnią siostrę, starą pannę, która mieszkała ze swymi rodzicami.

Bauer Josef Spannenkrebs miał ponad 30 hektarów ziemi, niedużą łąkę i kawałek własnego lasu sosnowego. Od strony zachodniej jego posiadłość sięgała do drogi, która prowadziła do wsi Wossenden, a od północy jego ziemia dochodziła do drogi do Heilsbergu, którą przyjechaliśmy. W odległości 150 metrów od tej drogi przy prostopadłej drodze na Wossenden znajdowały się jego budynki. Rzucała się w oczy wielka drewniana stodoła z placykiem, na którym rosły drzewa i trawa. Placyk od strony zachodniej sięgał do tej drogi, a od strony północnej do dróżki prowadzącej na podwórko jego gospodarstwa. Po stronie północnej podwórka stała długa murowana obora dla krów i koni, a po południowej – też murowana obora dla trzody chlewnej, królików, kur i gęsi oraz pomieszczenie, gdzie cięło się, rąbało i składało drwa na opał.

Po stronie wschodniej podwórka stał duży murowany, parterowy dom, kryty czerwoną dachówką z pięcioma pokojami i kuchnią, do których wchodziło się przez nieduża sień. Po stronie południowej domu był sad owocowy, gdzie rosły jabłonie i grusze. Pod domem znajdowała się duża piwnica, gdzie bauer trzymał kartofle, buraki i inne jarzyny. Tam stała w klatce centryfuga, na której żona bauera ściągała śmietanę z mleka i ze śmietany robiła masło. Do piwnicy można było wejść z sieni po schodkach na dół.

Na poddaszu, od strony południowej znajdowało się ciemne pomieszczenie, w którym bauer przechowywał ziarno pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia. Obok stał duży komin z drzwiami, w którym bauer wędził mięso. Od strony północnej znajdował się duży hol

z dwoma oknami na północ, a od stronie wschodniej ciemny pokoik, w którym spałem.

W sieni przy drzwiach z prawej strony były drzwiczki, za którymi schodki prowadziły na dół do piwnicy, i do góry na poddasze, a dalej były drzwi z lewej i z prawej strony do pokoi mieszkalnych, a prosto - do kuchni. W kuchni z lewej strony stał duży piec kuchenny opalany drzewem, a dalej duży stół aż do okna, przy którym jadłem śniadania, obiady i kolacje. Z prawej strony na ścianie wisiały szafki z garnkami i talerzami. Dwa pokoje z lewej strony sieni były niezamieszkałe: jeden pokój był od zachodu i z niego wchodziło się do pokoju wschodniego. Tam później mieszkały Niemki zza Berlina, które uciekły przed bombardowaniem. Po prawej stronie sieni były trzy pokoje, jeden duży, z dwoma oknami na podwórko, gdzie spali synowie bauera i z niego wchodziło się do dwóch mniejszych pokoi. W jednym pokoju z oknem na wschód przy ścianie kuchennej spał bauer z żoną, a drugi pokój z oknem do sadu był wolny.

Rodzina bauera jadła w dużym pokoju, gdzie spali jego synowie, przy dużym stole, który stał na środku pokoju. Nie wiem, gdzie bauer z żoną i jego synowie się myli. U bauera nie było ani wanny, ani pokoju kąpielowego. Nie było nawet szaletu i za swoją potrzebą chodziło się za obory, a żona bauera widocznie chodziła do obory.

Każdy dzień myłem ręce i twarz w miednicy w kuchni i raz w tygodniu zabierałem miednicę do swego pokoju na górze, żeby tam dokładniej się umyć. Latem w niedzielę chodziłem kąpać się do rzeki Alein (Łyna), która płynie kilometr od drogi do miasta po drugiej jej północnej stronie. Rzeka nie jest szeroka i przepływałem ją wielokrotnie.

Przydzielony mi pokój był po wschodniej stronie poddasza, Wchodziłem do niego codziennie po schodkach na górę, a potem obok szerokiego komina przechodziłem przez duży jasny hol z dwoma oknami na północ, zapełniony starymi gratami. W pokoju pod spadzistym dachem przy ścianie do holu stało duże dwuosobowe

drewniane łóżko z pościelą i dwoma pierzynami, a z przodu przy ścianie duży drewniany stół z dwoma szufladami i jedno krzesło. Okna w pokoju nie było. Gdy pisałem listy, to otwierałem na oścież drzwi do jasnego holu, z którego docierało światło z okien. W zimie na podłogę przy dachu czasem wiatr nawiewał trochę śniegu.

Światła elektrycznego nie było w całej wsi Pomehren, jak i poprzednio w Wossenden. W nocy trzeba było zapalać dużą lampę naftową, która w kuchni stała na stole, gdzie jadłem posiłki. W moim pokoju lampy naftowej nie miałem.

W stajni z końmi była ręczna pompa i wodą z tej pompy poiło się dwa konie i cztery krowy, które słały w osobnej oborze obok końskiej. Każda krowa stała oddzielnie na drewnianym pomoście. Wodę dla krów trzeba było od pompy nosić wiadrem. W domu pompy nie było i wodę do mieszkania nosiło się dwoma wiadrfmi na nosidłach z rzeczki, która płynęła około stu metrów od domu.

Stodoła była szeroka i wysoka. Bauer trzymał tam zwiezione z pola pszenicę, żyto, owies i jęczmień oraz młockarnię z oddzielnym motorem do niej i inne rolnicze maszyny, jak koparkę do kartofli, kosiarkę do trawy i siewnik. Żniwiarkę do zboża bauer pożyczał u swego teścia. Traktora nikt w Pomehren nie miał. Zmłóconą słomę składano w stodole. Wcześniej zwiezione siano z łąki, koniczynę dla krów i koni składowano na poddaszu w oborze nad końmi i krowami. Potem przez otwór w suficie z góry zrzucano im paszę na drabinki umieszczone nad ich głowami. Krowy i konie podnosiły pyski i z drabinek jadły paszę. Sieczkarni w bauera nie było i sieczki zwierzętom nie dawał. Konie karmiono też owsem.

Codziennie rano zrzucało się na bok z drewnianych pomostów odchody spod krów i ścieliło się pod nimi świeżą słomę. Zanim przysłali do bauera dziewczynę, krowy doiła jego żona. Ona też karmiła świnie, gęsi, kury i króliki.

Na następny dzień poznałem dwóch starszych synów bauera, z nimi jedną prawą ręką wynosiłem suche gałęzie z sadu i pompowałem wodę dla koni i krów, czyściłem konie szczotką. Byli oni

w stosunku do mnie grzeczni i pracowali na równi ze mną przez cały czas. Musiałem z nimi od początku rozmawiać po niemiecku. Mówili do mnie wyuczonym w szkole językiem niemieckim, a nie dialektem pruskim, dzięki temu szybko nauczyłem się niemieckiej mowy.

Parę dni po moim przyjeździe, gdy rana na ręce się zagoiła, bauer powiadomił mnie, ze muszę na piechotę iść do Heilsbergu do arbeitsamtu, żeby wyrobić nowy ausweis. Poszedłem do miasta oddalonego o 7 kilometrów drogą, którą zapamiętałem w czasie jazdy bryczką z bauerem. W mieście znalazłem arbeitsamt i tam przedstawiłem się. Urzędnik odszukał moje nazwisko w swoich papierach, znalazł moje dane, kazał posmarować palec wskazujący czarnym tuszem i przyłożyć go do dokumentu. Potem dał mi karteczkę i kazał iść do fotografa. Fotograf zrobił mi zdjęcie i powiedział, że mogę już wracać do bauera, ale za tydzień muszę przyjść do arbeitsamtu po odbiór nowego ausweisu. Po tygodniu czy po dwóch znowu poszedłem do Heilsbergu i otrzymałem w arbeitsamcie nowy niemiecki ausweis.

Jak już wspomniałem, w Wossenden wysłałem na adres rosyjskiej gazety ,,Nowoje Słowo" do Berlina włożone do koperty papierowe marki na prenumeratę tej gazety i napisałem po rosyjsku w jakim celu wysyłam te pieniądze. Już o tym zapomniałem, gdy pewnego dnia listonosz przyniósł mi tę gazetę. Bauer i cała jego rodzina była zdziwiona, że do mnie z Berlina zaczęła przychodzić gazeta w języku rosyjskim. Gazeta wydawana przez rosyjskich emigrantów pod niemiecką cenzurą była bardzo ciekawa. Miałem ocenzurowane wiadomości z frontu, ciekawe felietony i różne opowiadania z życia rosyjskiej emigracji w Niemczech, a także z życia ludzi w Związku Radzieckim. Opisywali też zbrodnie stalinowskie. Tygodnik ten otrzymywałem prawie do połowy listopada 1944 roku. W drugiej połowie listopada 1944 roku przejęła ten tygodnik armia gen. Andrzeja Własowa, zmieniając tytuł na ,,Wola Naroda", którą przysyłali prawie do połowy stycznia 1945 roku. Widziałem później

jeszcze inne gazety wydawane przez Rosyjską Armię Wyzwoleńczą (ROA) pt. „Krylja Swobody”, „Za Rodinu”, „Dobrowolec”, ale ich nie prenumerowałem.

Potem, gdy opanowałem lepiej język niemiecki, zacząłem czytać także gazety niemieckie, które prenumerował bauer. Nie zabraniał mi ich przeglądać, a nawet chętnie wypożyczał na niedzielę.

W kwietniu pracy w polu jeszcze nie było, i gdy ręka wygoiła się, bauer budził mnie o godzinie szóstej rano. Z jego dwoma starszymi synami karmiliśmy konie owsem i sianem, a krowy sianem i koniczyną. Poiliśmy je wodą z pompy w chlewie, zmienialiśmy krowom starą słomę na świeżą i szliśmy na śniadanie, ja do kuchni, a oni do swego pokoju. Na śniadanie przeważnie otrzymywałem kawę zbożową z mlekiem, bez cukru, chleb przeważnie żytni z masłem i wędliną, a czasem jajecznicę z chlebem i masłem. Żona bauera karmiła mnie tak dobrze, że nigdy nie byłem głodny. Po śniadaniu szedłem z synami bauera do pakamery, gdzie cięliśmy na małe kawałki przywiezione z lasu drzewo albo rąbaliśmy te polana i układaliśmy je przy ścianach szopy.

O godzinie 12 był obiad. Na obiad otrzymywałem zupę czy barszcz, a na drugie danie kawałek kurczaka albo mięsa gęsiego, czasami świninę z gotowanymi i potłuczonymi na miękko kartoflami, oblanymi tłuszczem czy sosem, często też otrzymywałem ciasto.

Pracowaliśmy prawie do zmroku, wtedy karmiliśmy konie i krowy i szliśmy na kolację, która była podobna do śniadania. Po kolacji miałem czas wolny.

Bauer otrzymywał na mnie kartki na cukier, jednak cukru nigdy nie oglądałem, chyba że w czasie święta na pierogach, które żona bauera posypywała cukrem. Kawę zbożową piłem zawsze bez cukru.

W niedzielę rano bauer zaprzęgał konie do bryczki i jechał z żoną do kościoła katolickiego w Wossenden, czasami brał ze sobą synów. Wtedy zostawałem sam w domu; czytałem gazetę lub uczyłem się języka niemieckiego z podręczników radzieckich od 5 do

7 klasy, które przywiozłem ze sobą, pisałem listy do rodziców i kolegów. Tak przeleciał cały kwiecień.

1 maja było święto państwowe w Niemczech, a po nim niedziela, więc dwa dni miałem wolne od pracy. Wtedy synowie bauera karmili oraz poili konie i krowy. W niedzielę i w święta nigdzie nie wychodziłem, bo nie miałem znajomych.

Trzeciego maja pojechałem z Jozefem i Erhardem furmanką do lasu po drzewo na opał. Ścięliśmy wtedy kilka cienkich sosen, oczyściliśmy je z gałęzi, pocięliśmy na drobniejsze kłody i wrzuciliśmy je do wózu wraz z gałęziami. Wtedy niespodziewanie podeszło do mnie dwóch chłopców i przywitało się po rosyjsku słowem: Zdrawstwuj!

Zrozumiałem, że są to tacy sami jak ja pracownicy przysłani do pracy przymusowej. Synowie bauera ich dobrze znali, bo pracowali oni u teścia bauera, którego las był w pobliżu tego, do którego myśmy przyjechali. Starszy i tęższy mężczyzna, około 26 lat, przedstawił się jako Michaił, zaś młodszy, chudy, około lat 19 – Wania.

Dowiedzieli się od swego bauera, że pracuję u Spannenkrebsa i byli zdziwieni, że już tak dobrze rozmawiam po niemiecku z synami bauera i zapytali, skąd znam język niemiecki? Odpowiedziałem, że uczyłem się w szkole, a tutaj doskonalę go w rozmowie z synami bauera. Zapytali się, dlaczego nie przychodzę do nich, gdy mam wolny czas. Stwierdziłem, ze chętnie do nich przyjdę, gdy dowiem się, gdzie oni mieszkają. Wania wtedy obiecał mi, że wieczorem w sobotę przyjdzie po mnie.

Bauer był niezadowolony, że poznałem przymusowych pracowników jego teścia i że wolny czas będę z nimi spędzał, ale nie mógł mi tego zabronić.

Gdy spotkałem się z nimi dowiedziałem się, że Michaił był Rosjaninem, a Wania – Ukraińcem.

W kwietniu rozpoczęły się prace w polu, trzeba było orać, siać jęczmień i owies oraz sadzić kartofle. Jednak do pracy z końmi bauer mnie nie zmuszał. Widocznie nie dowierzał mi, tym bardziej, że

początkowo miałem chorą rękę. Nie wiedział, że już we wsi Czeremsze orałem pole pługiem, ale o tym go nie informowałam. Tylko bauer i jego starszy syn orali pole i siali siewnikiem owies oraz jęczmień. Sadziłem tylko z jego synami kartofle. Josef orał koniem w polu bruzdę, a ja z Erhardem wrzucaliśmy do tej bruzdy kartofle, które wcześniej pocięła żona bauera.

5. Nowi przyjaciele i znajomi na obczyźnie

W sobotę wieczorem 8 maja po pracy przyszedł Wania i zabrał mnie do siebie. Mieszkał na kolonii, odległej 1,5 km od naszej. W gospodarstwie tym stal parterowy dom kilkupokojowy, w którym teść mojego bauera mieszkał ze swoją żoną i córką oraz z małą jeszcze córeczką Spannenkrebsa. Naprzeciwko stała drewniana stodoła, mniejsza od stodoły mojego gospodarza, a z prawej strony obora, w której pośrodku znajdował się nieduży pokoik z dwoma łóżkami i stołem, gdzie mieszkali Michaił i Wania. Ich kolonia znajdowała się na końcu wsi Pomehren.

Serdecznie przywitali się oni ze mną i opowiedzieli o chłopcach i dziewczynach, przywiezionych ze wschodu, mieszkających w pobliżu i pracujących u różnych bauerów. Sąsiednia kolonia należy już do Launau (Łaniewo) i tam u dwóch różnych bauerów pracują Ukrainki, Tania i Naścia. Michaił stwierdził, że ładniejsza jest Tania, która jest jego dziewczyną.

Opowiedziałem im o sytuacji na Białostocczyźnie, o tym że Niemcy spalili wieś Rajsk i rozstrzelali wszystkich mężczyzn i część kobiet za to tylko, że partyzanci w pobliżu tej wsi zastrzelili jakiegoś Niemca. Gdy wychodziłem, poprosili, abym przyszedł do nich jutro po południu.

9 maja bauer rano pojechał z żoną bryczką do kościoła do Wossenden, zostałem z jego synami. Prędko napoiliśmy i nakarmiliśmy

krowy, synowie poszli do swego pokoju, a ja na poddasze. Gdy Bauer z żoną wrócili, zawołali mnie na obiad.

Po obiedzie przebrałem się w lepsze ubranie i powoli, znając już drogę, poszedłem do Michaiła i Wani. Byli już wolni od pracy i zmienili ubrania robocze na wyjściowe. Wkrótce przyszły do nich Tania z Naścią i Łorą. Tania była niskiego wzrostu, ale ładna i wesoła. Miała ciemne włosy, brązowe oczy i nie więcej niż 20 lat. Naścia była wyższa, grubsza i starsza od Tani, miała rude włosy i była brzydsza. Najmłodsza i najwyższa z ich była Łora (Łarysa). Miała nie więcej niż 17 lat, była blondynką o kędzierzawych włosach i z twarzą jeszcze dziecinną. Michaił i Wania przedstawili mnie dziewczynom, które serdecznie się ze mną przywitały. Były zaskoczone, że mieszkam tutaj ponad miesiąc i dotychczas ich nie spotkałem. Łora bardzo się ucieszyła, gdy dowiedziała się, że przyjechałem ze wsi Czeremchy, ponieważ ona mieszkała w Kleszczelach.

Po 20 minutach przyszła jeszcze Katarzyna, którą zdrobniale nazywano Katią. Była ładna, z żywymi oczami i miłym uśmiechem. Kiedy dowiedziała się od Łory, że pochodzę z Czeremchy serdecznie uścisnęła mi dłoń, bo razem z Łorą przyjechała tutaj z Kleszczel. Dowiedziałem się, że Katia pracuje we wsi Pomehren, a Łora w Launau. Posiedzieliśmy około godziny, pożartowaliśmy, a potem poszliśmy na spacer w stronę wsi Launau. Tam Tania, Naścia i Łora pokazały mi swoje domy, w których mieszkają na koloniach. Centrum ich wsi znajduje się o 4 kilometry dalej, gdzie jest mały dworzec kolejowy, z którego można pociągiem dojechać do Heilsbergu. Od Tani dowiedziałem się, że z nią razem pracuje jakiś Polak spod Suwałk. Potem go poznałem osobiście, nazywał się Włodek i później czasami odwiedzał naszą kompanię. Dowiedziałem się, że po sąsiedzku z moją kolonią przy drodze na Heilsberg mieszkają Białorusin Kostek, który pochodzi ze wsi leżącej na południe od wsi Czeremchy, oraz Litwin Peter. Oni jednak nie przychodzą do naszej grupy, bo im nie pozwala ich wredny bauer, który zmusza ich do pracy w niedzielę, a czasem nawet ich bił.

Pod wieczór wróciliśmy do domów na kolację. Odprowadziłem Katię, która mieszkała na kolonii przy drodze w odległości 400 m. od mego bauera W domu jej bauera drzwi jej pokoju i jedno okno wychodziły na drogę Pomehren - Reichenberg (teraz – Kraszewo), równoległą do drogi na Wossenden, przy której znajdowało się gospodarstwo mego bauera. Jedna droga od drugiej była oddalona o około 400 metrów. Pokój Kati był maleńki. Naprzeciwko drzwi pokoju przy ścianie stało jej jednoosobowe żelazne łóżko na sprężynach, a z lewej strony były drzwi do pokoju bauera, z prawej zaś stał maleńki stolik i krzesło. Zobaczyłem tylko jej pokój i musiałem iść do domu, bo gospodarz zawołał ją na kolację. Za domem było podwórko, na którym z dwóch stron stały dwie nieduże obory, a równolegle do nich stodoła. Bauer nie był jeszcze stary, ale widocznie nie zabrali go do wojska ze względu na jego zły stan zdrowia.

Z Katią zacząłem się spotykać wieczorami po pracy, a szczególnie w sobotę i niedzielę.

Następnego dnia, w poniedziałek rano, bauer wysłał mnie pierwszy raz, abym zaniósł dużą bańkę z mlekiem do centrum wsi Pomehren. Miałem postawić ją na drewnianej półce, gdzie stawiali bańki z mlekiem inni gospodarze, albo ich pracownicy. Wcześniej nosił tam bańkę z mlekiem Erhard. Bauer nie wysyłał mnie tam widocznie dlatego, żebym nie zapoznał się z innymi pracownikami. Mleko, które się zostawiało w centrum wsi, zabierał wóz konny i odwoził do mleczarni w mieście. Wieczorem przywożono w tych samych bańkach i zostawiano na półkach mleko odtłuszczone, którym bauerzy karmili świnie. Gdy niosłem bańkę z mlekiem wyszedł z sąsiedniego gospodarstwa przy drodze na Heilsberg niewysoki krępy trzydziestoletni mężczyzna z bańką na plecach i zapytał po polsku: ,,Pan chyba nowy?"

Był zdziwiony, gdy mu odpowiedziałem, że już tutaj mieszkam drugi miesiąc, wskazując swoją kolonię. Zapytał, czy jestem Polakiem. Gdy mu odpowiedziałem, że jestem Białorusinem z Polski,

wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się: „Jestem polskim Litwinem, nazywam się Peter. Mieszkałem przed wojną przy samej granicy z Litwą.”

Dobrze mówił po polsku, ale z jego akcentu wywnioskowałem, że nie jest Polakiem. Podałem swoje imię i powiedziałem mu, że słyszałem o nim od znajomych. Zdziwił się, że mam już znajomych i poskarżył się na swego bauera, który nie pozwala mu na dłuższy czas wychodzić w niedzielę z domu.

Po drodze do półki, na której są stawiane bańki z mlekiem, spotkaliśmy Polaka, który pracował u bauera mieszkającego w gospodarstwie na północ od drogi na Heilsberg przy rzece Alein. Przywitał się z nami, bo znał już Petera, ale z naszą grupą się nie spotykał. Widywałem go tylko jak nosił rano bańki z mlekiem do wsi Pomehren. Nawet nie podał swego imienia.

Centrum wsi Pomehren było małe. Stało tam tylko sześć domów z oborami i stodołami. Domy były nieduże, ale murowane. Ziemia tego centrum znajdowała się na północ od drogi Launau – – Heilsberg, w stronę rzeki. Bauerom tego centrum jeszcze nie przydzielili przymusowych pracowników. Tylko gospodarz, którego kolonia znajdowała się na południe od centrum wsi, miał dwóch francuskich jeńców.

Wracając z Peterem już bez baniek z mlekiem, Peter poprosił mnie, abym zatrzymał się przy jego kolonii, poszedł i zawołał Kostka, z którym się przywitałem. Podał mi nazwę swojej wsi, która leży na południe od Czeremchy w kierunku na Wysokie w pobliżu granicy z Białorusią. Jednak teraz już tej nazwy nie pamiętam. Później często spotykałem Petera, albo Kostka, gdy nieśli rano bańki z mlekiem.

W sobotę 15 maja po kolacji poszedłem do Michaiła i Wani. Przyniosłem ze sobą gazetę rosyjską „Nowoje Słowo”. Przyszły również Tania, Naścia, Łora i Katia. Czytałem im wiadomości z frontu i ciekawe felietony z tego tygodnika. Potem Michaił z Wanią poszli

odprowadzić do domu Tanię, Naścię i Łorę, a ja Katię. Z Katią zatrzymałem się trochę dłużej i gdy wróciłem do domu było już dosyć późno.

Drzwi wejściowe do domu były zamknięte. Stukałem do drzwi i do okien, lecz nikt nie wyszedł. Widocznie bauer chciał mnie ukarać za to, że tak późno wróciłem. Już zamierzałem przespać się w sianie, ale stojąc pod drzwiami zauważyłem, że jedna połowa podwójnych drzwi wejściowych jest spaczona i u góry widać było metalową zasuwkę od drzwi. Sięgnąłem palcem do góry, zasuwkę przesunąłem na dół i drzwi się otworzyły. Tak się wtedy ucieszyłem, że zamykając drzwi, nie zasunąłem zasuwki do góry i drzwi widocznie otworzył wiatr. Następnego ranka bauer złośliwie głośno mnie obudził, ale nic mi nie powiedział. Dopiero jego syn zapytał się, dlaczego nie zamknąłem drzwi, gdy wróciłem w nocy. Gdy mu oświadczyłem, że zamknąłem, to pokiwał głową i powiedział, że rano w sieni było pełno psów. Bauer miał sukę, która w nocy zostawała na podwórku. Tej nocy miała cieczkę i do niej przyleciało kilka psów z okolicy, które weszły przez otwarte drzwi do sieni. Od tej pory mogłem przychodzić do domu późną porą, sam otwierałem drzwi wejściowe, ale już pilnowałem, żeby je dobrze zamknąć za sobą.

Na następny dzień, w niedzielę, Michaił mi powiedział, że z jakimś znajomym ze wsi Wossenden postanowili uciec na Białostocczyznę. Zapytał, czy nie chcę dołączyć do ich kompanii, bo Wania odmówił. Michaił stwierdził, że zrobili już zapas artykułów żywnościowych na drogę, mają mapę, i jest pewien, że ucieczka się uda. Powiedziałem, że życzę im powodzenia, ale nie mam zamiaru uciekać, bo nie chcę narażać rodziny na prześladowania. Rzeczywiście za parę dni dowiedziałem się od Wani, że Michaił uciekł. Dopiero w lipcu Wania otrzymał od niego list spod Łomży, że udało im się tam dotrzeć z Prus Wschodnich i że teraz pracuje u jakiegoś polskiego chłopa na wsi. Po drodze mieli oni nieprzyjemne spotkanie z radzieckimi partyzantami, po którym odeszła mu chęć iść do radziec-

kiej partyzantki. Potem przysłał Wani jeszcze ze trzy listy do lipca 1944 roku.

W drugiej połowie maja syn bauera Jozef powiadomił mnie, że w sąsiednim południowym gospodarstwie, leżącym przy drodze do Wossenden, jest nowy przymusowy pracownik. Była to kolonia niebogatego bauera. Wieczorem poszedłem tam i na podwórku spotkałem młodego 18-letniego chłopca, który rozmawiał po polsku z jakąś kobietą. Przywitałem się z nimi po polsku i powiedziałem chłopcu, że przyszedłem go odwiedzić z sąsiedniego gospodarstwa, gdy dowiedziałem się o jego przyjeździe. Ucieszył się i podał swoje imię - Włodek. Kobieta też podeszła i przywitała się ze mną. Początkowo myślałem, że ona też jest przymusową pracownicą, bo była w roboczym ubraniu. Ale ona natychmiast zaprosiła nas do swego domu. Poprosiła usiąść przy stole, przyniosła talerze, widelce i noże oraz chleb, wędlinę, masło i herbatę, którą szybko przygotowała w kuchni i siadła razem z nami przy stole. Z sąsiedniego pokoju wyszła kobieta około 35 lat, ale brzydsza od starszej i też przywitała się ze mną po polsku i usiadła przy stole. Zaczęła się normalna rozmowa w języku polskim. Mówiły one po polsku z lekkim akcentem mazurskim. Pytały mnie skąd przyjechałem i jak do mnie odnosi się mój bauer Spannenkrebs. Okazało się, że kobiety były siostrami, starsza była mężatką, a młodsza starą panną. Mąż starszej pani był w armii niemieckiej i służył gdzieś na Białostocczyźnie. Potem zobaczyłem jeszcze starego kulawego 78-letniego mężczyznę, który był ich ojcem. Włodek został tutaj przywieziony z centralnej Polski. Gdy wychodziłem, zapraszali, abym ich częściej odwiedzał. Później gdy od czasu do czasu przychodziłem do Włodka, zawsze zapraszały mnie do stołu na poczęstunek. Włodek też przychodził do mnie na kolonię, ale nie do naszej kompanii, bo nie znał ani rosyjskiego, ani białoruskiego języka, którymi posługiwaliśmy się

Włodek przypuszczalnie współżył ze starą panną, bo dawał mi to lekko do zrozumienia. Nawet pokazał mi kiedyś paczkę prezerwa-

tyw, które te siostry mu kupiły, ponieważ przymusowym robotnikom prezerwatyw nie sprzedawano. Mimo że władze hitlerowskie karały przymusowych pracowników śmiercią za współżycie płciowe z Niemkami, a Niemki były wysyłane za karę do obozu, to młode Niemki czasem ryzykowały i po cichu współżyły płciowo ze swymi pracownikami, gdyż młodych Niemców było jak na lekarstwo.

We wsi Wossenden przyłapali Niemcy młodą rodaczkę, która przyjechała z Zachodnich Niemiec w 1943 roku, uciekając od bombardowań, na współżyciu płciowym z radzieckim niewolnikiem. Była ona taka naiwna, że zaczęła się chwalić znajomym Niemkom, że cudzoziemcy są lepszymi kochankami niż Niemcy. Zaczęli ją śledzić i złapali ich znienacka na współżyciu płciowym. Jego i ją aresztowali, ostrzygli jej włosy i pędzili ich przez wieś na oczach innych. Co z nimi było dalej, nie wiadomo.

Na początku czerwca, wychodząc od Włodka, zobaczyłem na łące po drugiej stronie drogi dwóch radzieckich jeńców w wojskowych ubraniach, którzy kosili trawę kosami. Podszedłem do nich i przywitałem się. Wyższy i cieńszy nazywał się Aleksiej, a niższy – Michaił. Aleksiej był z Biełgorada, a Michaił – z Iwanowa. Zebrali skoszoną trawę, związali ją, wzięli na plecy i zaproponowali, abym poszedł z nimi. Weszliśmy na podwórko ich gospodarstwa. Z lewej strony stał dosyć duży murowany dom bauera z szerokimi oknami, naprzeciwko od strony zachodniej – duża drewniana stodoła, a po prawej północnej stronie – długie murowane obory. W oborze naprzeciwko domu bauera znajdował się pokój podobny do pokoju Wani, z dwoma łóżkami, dwoma szafami i dużym stołem z krzesłami.

Gdy zanieśli skoszoną trawę do obory weszliśmy do ich pokoju. Powiedzieli mi, że trafili do niemieckiej niewoli w okrążeniu pod Smoleńskiem, długo błąkali się po różnych obozach jenieckich i rok temu znaleźli się tutaj. Nie powinni odchodzić daleko od gospodarstwa bauera, bo mogą ich odesłać do obozu. Tutaj mają nie najlepiej, ale nie głodują.

Dowiedziałem się także, że ich znajomy, też radziecki jeniec, który mieszka po drugiej stronie drogi bliżej wsi Wossenden, ma lepiej od nich, bo mieszka u młodej wdowy, która ma dwóch małych chłopców. Jej mąż zginął na wojnie i gospodyni w nocy przychodzi do jeńca i kochają się na sianie. W pokoju kochać się boją, żeby ktoś ich nie przyłapał. Nie słyszałem, żeby zostali wydani Niemcom do przyjścia Armii Czerwonej.

Czasem w niedzielę przychodziłem po południu do Aleksieja i Michaiła, przynosiłem im rosyjski tygodnik „Nowoje Słowo", który otrzymywałem z Berlina. W czerwcu Niemcy się przyznali do klęski w Afryce. Później Aleksiej zrobił i podarował mi bałałajkę, na której brzdąkałem aż do wyzwolenia. Zostawiłem ją w swoim pokoju, gdy w lutym 1945 roku opuściłem Pomehren.

W połowie czerwca przysłali do Pomehren dwie białoruskie dziewczyny spod Hajnówki. Marysię przydzielono do majątku bauera, u którego pracował Wania. Dali ją na miejsce Michaiła, który uciekł. Mieszkała ona w pokoiku w domu razem z rodziną bauera i do niej nikt nie mógł wejść. Gdy byliśmy u Wani, to ona przychodziła do nas do pokoiku w chlewie. Drugą dziewczynę, zdaje się Kłaudię, oddali do majątku w pobliżu centrum wsi Pomehren, gdzie dawno już pracowali dwaj jeńcy francuscy. Pochodziła ona chyba z tej samej wsi koło Hajnówki co i Maria. W wolny od pracy dzień przychodziła często do pokoju Wani. Lecz ani jedna, ani druga dziewczyna nie miały do wyzwolenia chłopaka, z którym by oddzielnie spędzały wolny od pracy czas. Z Marią chciał zaprzyjaźnić się Wania, lecz ona odnosiła się do niego z rezerwą. Stwierdziła, że jest cnotliwa i nie ma zamiaru współżyć z kimkolwiek, bo cnotę swoją chce podarować kiedyś swemu mężowi.

Może ta nieprzystępność ją i zgubiła, bo jak dowiedziałem się w 1946 roku ona do domu nie wróciła. Kłaudia wróciła i napisała list do Kleszczel do Kati, że Marysia gdzieś zginęła. Może któryś z pijanych radzieckich żołdaków ją zastrzelił, gdy chciał ją zgwałcić, a ona

kategorycznie mu odmówiła. O takich wypadkach słyszałem, gdy byłem w wojsku na froncie. Ale to tylko moje przypuszczenia.

Pod koniec czerwca, gdy rano niosłem bańkę z mlekiem do centrum wsi Pomehren, spotkałem nowego chłopaka, wyższego wzrostem ode mnie. Gdy zapytałem skąd on pochodzi, odpowiedział że spod Białegostoku ze wsi Downiewo, niedaleko Królowego Mostu, urodził się w 1923 r. Podał mi swoje imię i nazwisko – Walenty Kozłowski i powiedział, że jest prawosławnym Białorusinem. Znał dobrze język polski, białoruski i rosyjski. Szybko się z nim zaprzyjaźniłem. Niemcy przywieźli go do bauera, którego folwark był położony na wschód od domu, w którym mieszkali Peter i Kostek, przy drodze na Heilsberg. W niedzielę zaprowadziłem go do Wani, gdzie on poznał wszystkie dziewczyny. Przypadła mu do gustu Łora, z którą zaczął się spotykać i z którą przyjaźnił się aż do wyzwolenia. Nasza przyjaźń trwała do 9 lutego 1945 roku, gdy żołnierze radzieccy nas rozdzielili w pobliżu Seeburgu (teraz-Jeziorany). Mnie zabrali do Armii Czerwonej, a jego razem z innymi wywieźli gdzieś aż pod Kujbyszew do obozu.



Walenty Kozłowski

6. Przesyłka pocztowa

W czasie obiadu 9 czerwca przyszedł do mnie bauer i powiedział:

– Du mußt gleich nach Wossenden zur Post gehen und dort dein Paket zunehmen. (Ty musisz zaraz iść do Wossenden i tam zabrać swoją przesyłkę).

– Was für ein Paket? (Jaką przesyłkę?) – zapytałem się.

– Dein Paket, aus Tscheremcha, von deinen Eltern. (Twoją przesyłkę, z Czeremchy, od twoich rodziców).

Byłem zdziwiony. Nigdy wcześniej nie chodziłem na pocztę po przesyłkę. Zawsze listonosz zanosił moją paczkę do domu szwagra mego bauera, który mieszkał w Wossenden, a bauer, gdy jechał w niedzielę do kościoła zabierał ją, przywoził do domu i mi oddawał.

– Gut (dobrze) –powiedziałem mu – ich werde gleich fertig sein (będę zaraz gotowy).

Szybko zjadłem obiad i poszedłem do swego pokoju, żeby przebrać się w nowe ubranie. Gdy przebierałem się na górze, bauer otworzył na dole drzwi na poddasze i krzyknął:

– Aber du mußt schnell geheh , sonst kommst du zu spät. (Ale, musisz szybko iść, bo zbyt późno wrócisz).

– Dlaczego on mnie tak popędza? – pomyślałem – mam jeszcze dużo czasu. Wkrótce byłem już gotowy i zszedłem szybko na dwór. Obok chlewa i stodoły wyszedłem na drogę do Wossenden. Nigdy jeszcze na poczcie w Wossenden nie byłem. Pracowałem u bauera w Wossenden, ale na kolonii przy szosie na Heilsberg. Do centrum wsi nigdy nie chodziłem. Pogoda była słoneczna, niebo czyste, słońce już mocno przygrzewało. Z dwóch stron drogi złociły się dojrzewające łany pszenicy, jęczmienia i owsa, a miejscami zieleniła się koniczyna. Przeszedłem obok wzgórza, gdzie z lewej strony na folwarku mieszkał i pracował Włodek, do którego często przychodziłem. Dalej z prawej strony był duży majątek, gdzie pracowali ra-

dzieccy niewolnicy Aleksiej i Michaił. Niedaleko tego gospodarstwa spotkałem z kosą na ramieniu Aleksieja.

– Zdrawstwuj, kuda idiosz? – zapytał.

– Chaziain wysłał mienia na pocztu zabrat' posyłku ot roditielej. Nie znaju, czto jemu priszło w goławu wysyłat' mienia w budionnyj dień.

– Widna on nie chocziet, cztoby ty był swidietielem cziewo to – powiedział Aleksiej – a ja wot kasił trawu na gorkie, tam kasiłku nie w siłach wtianut'. Zachadi w subbotu wieczieram. Siejczas ja spieszu.

Pożegnaliśmy się. Dalej przeszedłem obok gospodarstwa, gdzie mieszkał radziecki niewolnik z Niemką, o którym już pisałem. Z drogi był widoczny na wzgórzu niewielki sad i ładny dom, którego okna spoglądały na drogę. Za nim jeszcze było kilka gospodarstw i pokazało się centrum wsi Wossenden. Stały tam jeszcze cztery domy przy samej drodze, która dochodziła do asfaltowanej szosy Heilsberg – Guttstadt. Przy szosie stało kilka domów, poczta i kościół. Na poczcie w okienku pokazałem swój ausweis i wydano mi nieduża paczkę. Nie otwierając jej ruszyłem z powrotem do domu. Wróciłem jeszcze za dnia. Zmieniwszy na górze ubranie na robocze wróciłem do kuchni i spojrzałem przypadkowo na wiadra. Dwa wiadra były tłuste. W tym czasie podszedł syn bauera, Erhard.

– Ich weiß, was iht habt gemacht. (Wiem, co zrobiliście) – powiedziałem.

– Was? (co?) – z przerażeniem spojrzał na mnie.

Pokazałem mu tłuste wiadra:

– Ihr habt ein Schwein abgeshlachtet (Zabiliście świnię).

– Pst – odpowiedział Erhard i przyłożył dwa palce do ust – Niemand kann das wissen. (Nikt nie może o tym wiedzieć).

– Ich werde schweigen, wenn ich das gute Essen bekommen werde. (Będę milczał, gdy będę miał dobre jedzenie) – powiedziałem mu z uśmiechem. Gdybym doniósł do żandarmerii, że mój

bauer zabił bez pozwolenia świnię, groziłoby mu zesłanie do obozu. Wiedziałem, że miał w piwnicy centryfugę i na niej otrzymywał z mleka śmietanę i robił masło. Resztę mleka oddawał do mleczarni. Wiedziałem, że potajemnie woził pszenicę do znajomego, który miał motorowy młyn i przywoził mąkę. Wszystko to robił nielegalnie, ale tak robili dookoła wszyscy.

Żona bauera karmiła mnie dobrze. Każdego dnia miałem mięso na śniadanie, na obiad i na kolację. Oprócz świń miał on kury, gęsi i króliki. Wędził szynkę w kominie na poddaszu w pobliżu mego pokoju. Na drzwiach do komina wisiała potężna kłódka, ale gdybym był głodny i dał najmłodszemu synowi bauera Bruno parę marek, sprzedałby mi kawałek wędzonej szynki. Sam mi to proponował po cichu, ale nie byłem głodny. Pieniędzy od bauera prawie nie otrzymywałem, ale nie było na co wydawać nawet tych marek niemieckich, które przywiozłem ze sobą z domu w Czeremsze.

7. Kłopoty z wódką

Od czasu do czasu od rodziców otrzymywałem pocztowe przesyłki. Wysyłałem im swoją brudną bieliznę, a nawet poszewki na pierzynę i otrzymywałem od nich czyste. Żona bauera bielizny mi nie prała. Jedzenia nie przysyłali, bo go nie potrzebowałem. Ale czasami w paczce otrzymywałem w aluminiowej, mocno zakręconej menażce wódkę moskiewską, którą rodzice kupowali od kogoś, kto parę dni po 22 czerwca 1941 roku zabrał ją w dużej ilości z radzieckich wagonów stojących na stacji w Czeremsze. Kto był odważny, moskiewską wódkę z radzieckich wagonów woził wtedy furmanką. Nie tylko wódkę, ale wełnę z angor, ubrania itp.

W niedzielę przysłaną wódkę zanosiłem do Wani i wszystkich częstowałem. Walenty też czasami otrzymywał od rodziców dosyć dobry samogon i go przynosił na nasze spotkania. Nie było tego tak

dużo, aby ktoś z nas tym przysyłanym alkoholem od razu mógł się upić.

W połowie lipca otrzymałem od rodziców list, w którym mi napisali, że w paczce wysłali lekarstwo. Wiedziałem jakie to „lekarstwo", ale go w przesłanej paczce nie było. Niemiecka poczta pracowała nawet w czasie wojny bardzo sprawnie. Listy i paczki dochodziły do mnie szybko i nigdy nic nie zginęło. Pamiętam, że kiedyś na pocztówce wysłanej do rodziców przez roztargnienie zapomniałem napisać nazwę wsi Czeremcha i pocztówka doszła do rodziców. Rodzice mi ją przysłali w liście z adnotacją, abym następnym razem podawał dokładny ich adres. A niespodzianie przyszła paczka w której wysłanego „lekarstwa" nie było. Napisałem do rodziców list z zapytaniem, czy rzeczywiście wysłali mi to co obiecali, czy może zapomnieli. Potwierdzili, że wysłali. Myślałem że w drodze ktoś ukradł gdzieś na poczcie z paczki wysłaną mi wódkę. Nagle 11 sierpnia, kiedy przywieźliśmy z pola do stodoły owies i szliśmy już na obiad, na podwórze na rowerze wjechał żandarm z Heilsbergu. Zatrzymał nas i pomachał mi palcem, żebym do niego podszedł. W tym czasie też wyszła z domu i podeszła do nas młoda Niemka z córeczką, która przyjechała na wakacje aż z okolic Berlina, uciekając od bombardowań i mieszkała w północnej części domu bauera. Gdy byłem już obok żandarma i wszyscy go z ciekawości okrążyli wyjął ze swojej torby aluminiową menażkę i pokazując mi przy wszystkich powiedział: „Schreib deinem Vater, daß er dir ein Gift gesand hat". (Napisz swojemu ojcu, że on ci truciznę przysłał) – odkręciwszy pokrywkę nad korkiem i wyciągnąwszy korek z menażki zaczął wylewać wódkę na trawę.

– Bitte, nicht bis zu Ende! – (Proszę nie wylewać do końca!) – raptem powiedziała kobieta z okolic Berlina. Żandarm przestał wylewać, spojrzał na nią i zapytał: „Wollen Sie trinken?" (Chce pani pić?)

– Nein, ich trinke keinen Alkohol, aber es ist zu schade auszugießen (Nie, ja nie piję alkoholu, ale szkoda wylewać) – odpowiedziała.

– Warum denken Sie, daß ich den Alkohol gieße? (Dlaczego pani myśli, że ja alkohol wylewam?) – Zaciekawił się żandarm.

– Ich fühle (Czuję) – pokazała ona na swój nos.

– Schon Gut! (Dobrze!) – powiedział i oddał mi jeszcze nie całkiem pustą menażkę z wódką.

Odchodząc powiedział wszystkim:

– „Auf wiedersehen! (Do widzenia!) – i odjechał na rowerze.

Mnie nie wypadało z wdzięczności, że nie wylał wszystko, nie zaprosić wszystkich, a tym bardziej kobiety z okolic Berlina i poczęstować ocalałą wódką. Zaprosiłem wszystkich do kuchni. Synowie bauera i jego żona odmówili picia. Żona bauera przyniosła z pokoju trzy cieniutkie na długiej nóżce kieliszki. Niemka spod Berlina też nie chciała wejść do kuchni, ale bauer zaproponował jej, żeby chociaż powąchała, to co uratowała. Niemka zgodziła się nalać jej pół kieliszka. Wypiłem z bauerem po kieliszku, a Niemka tylko spróbowała. Wszyscy stwierdzili, że wódka jest mocna i więcej nie chcieli pić. Resztę wódki, a było jej więcej niż pół menażki, zaniosłem potem do Wani i tam poczęstowałem wszystkich.

Wówczas napisałem rodzicom, żeby wstrzymali się z wysyłaniem wódki, bo mogą jeszcze raz sprawdzić paczkę. I przez trzy miesiące rodzice mi wódki nie wysyłali. Przysłali dopiero na moje urodziny w listopadzie. Wódka przyszła w tej samej menażce, którą po incydencie z żandarmem im zwróciłem. W 1944 roku otrzymałem ze dwa razy w tej samej menażce ale już nie monopolówkę, lecz samogon produkowany we wsi Czeremsze. Widocznie wódki moskiewskiej już zabrakło.

8. Wyjazd syna bauera do niemieckiego wojska

Gdzieś w pierwszych dniach czerwca przyszło do syna bauera Josefa wezwanie do komisji wojskowej w Heilsbergu. Skończył już 17 lat. Bardzo smutny wrócił z komisji, bo lekarze stwierdzili, że jest zdolny do wojska i teraz czekał, kiedy go powołają. Powiedział mi, że nikt z jego rodziny nie wierzy w zwycięstwo Niemców i Włoch w tej wojnie. Wiedział już, że większa część niemieckiej i włoskiej armii złożyła broń w Afryce, poszła do amerykańskiej lub angielskiej niewoli i tylko małej grupie wojsk udało się uciec do Włoch. Na początku lipca znowu Josefa wezwali na komisję i oświadczyli, że zakwalifikowali go do oddziałów SS. Pomimo tego, że się nie zgadzał, zakomunikowali, że on nie ma nic do gadania, bo taki jest rozkaz. Pytał się mnie: Co robią Rosjanie, gdy złapią SS-mana? Odpowiedziałem, że na pewno rozstrzelają. Bardzo się tym denerwował.

Około 8 lipca niemieckie gazety zaczęły się chwalić, że 5 lipca faszystowskie wojska rozpoczęły energiczną ofensywę na dwóch frontach koło Kurska, że przerwały radziecką obronę i weszły 30 km na terytorium radzieckie. Jednak w ciągu kilku następnych dni entuzjazm ze zwycięstwa niemieckich wojsk zaczął znikać. Potem gazety napisały, że Armia Czerwona przeszła do kontrofensywy, a armia niemiecka zaczęła się cofać.

Byłem zdziwiony, że Josefa biorą do oddziałów SS, gdyż nie był on nordyckim typem. Miał ciemne włosy i piwne oczy, a Niemcy wybierali do oddziałów SS blondynów z niebieskimi oczami. Widocznie z braku ludzi na froncie brali już żołnierzy do SS nie zwracając uwagi na ich wygląd. I żadne protesty Josefa nie pomogły. 22 sierpnia, w niedzielę, zabrali go do armii do oddziałów SS. Rano odwiózł go bryczką bauer z żoną i z dwoma synami. W domu zostałem tylko z Niemką zza Berlina i jej córką. Pojechał Josef do wojska smutny i przestraszony, bo gazety niemieckie już podały, że Niemcy

opuścili Kursk i Biełgorod, a Anglicy i Amerykanie wysadzili swoje desanty na Sycylii i do 15 sierpnia prawie cała Sycylia była w ich rękach.

Po jego wyjeździe przyszła wiadomość, że we Włoszech został odsunięty od władzy Benito Mussolini i władzę przejął włoski król. Jednak niemieckie gazety pisały, że nowa władza we Włoszech obiecała wspólnie z niemieckimi wojskami walczyć przeciwko Amerykanom i Anglikom. W listopadzie Josef, widocznie po ćwiczeniach, przyjechał na dwutygodniowy urlop. Na jego miejsce przysłali białoruską dziewczynę spod Sokółki, Lidkę. Sytuacja Niemców na wszystkich frontach jeszcze się pogorszyła. 8 września alianci wysadzili desant we Włoszech i Włosi skapitulowali. Niemcy zaczęli rozbrajać włoską armię i brać ją do niemieckiej niewoli. 1 października alianci zajęli we Włoszech Neapol, a Armia Czerwona 6 listopada – Kijów. Ale teraz w rozmowie z Josefem nie widać było takiego smutku, jak wcześniej. Widocznie w armii dodali mu otuchy, że Niemcy jeszcze są silni i mogą wojnę wygrać. Chodził po podwórku i śpiewał niemieckie wojskowe piosenki i odpoczywał. Ojciec go nie zmuszał do pracy. Nawet Erhard patrząc na niego, stukał przy mnie palcem w czoło, pokazując, że jest on nienormalny. Więcej już Josef nie przyjechał na urlop, a gdzie on był w wojsku nikt z rodziny nie mówił. Listy przysyłał, ale w ich podawał tylko pocztę polową.

9. Przyjazd Lidki we wrześniu 1943 roku

Po wyjeździe Josefa do armii niemieckiej bauer zaczął narzekać, ponieważ brakowało rąk do pracy. Trzeba było kopać kartofle i buraki. Bauer dalej nie pozwalał ani mnie, ani swemu synowi Erhardowi pracować z końmi. Sam orał pole, sam poganiał konie siedząc na żniwiarce, którą wypożyczał na czas żniw od teścia, i na swojej koparce przy kopaniu kartofli. Koparka była prosta, bo rozrzucała wy-

kopane kartofle razem z ziemią na boki. Z Erhardem zbieraliśmy rozrzucone ziemniaki do koszy, z których je wsypywaliśmy do worków. Czasem pomagała nam zbierać ziemniaki żona bauera. Praca była nieprzyjemna, bo prawie przez cały dzień z przerwą na posiłki pracowało się w zgiętej pozycji. Po pracy bolał kręgosłup. Kopanie ziemniaków trwało prawie cały tydzień. Potem trzeba było kopać buraki, ale ich bauer sadził niewiele. Nie zbieraliśmy buraków cukrowych, a tylko zwykłe czerwone.

W połowie września bauer otrzymał zawiadomienie, że ma przyjechać do arbeitsamtu w Heilsbergu, tam na miejsce Josefa otrzyma nowego pracownika. Pojechał on rano swoją bryczką i po południu przywiózł nie chłopca, lecz dziewczynę. Spotkałem się z nią na obiedzie. Była nieśmiała, zastraszona, trochę niższa ode mnie, zgrabna czarnowłosa, z czarnymi brwiami i ładną twarzą. Powiedziała, że jest Białorusinką z małej wsi koło Sokółki. Nazwała siebie Lidką. Mówiła dobrze po białorusku, znała język rosyjski i polski. Czytała rosyjską gazetę, ale pisała tylko po polsku, chociaż w 1941 roku skończyła piątą klasę radzieckiej szkoły. Do domu listy pisała tylko po polsku, i po polsku podpisała mi zdjęcie, które zachowało się do tej pory.

Ucieszyłem się, że już nie będę sam, że chociaż podczas posiłków i w wolny czas będę mógł z kimś porozmawiać i nawzajem sobie pomóc. Lubiła słuchać, jak czytałem jej z tygodnika rosyjskie felietony i wiadomości z frontu, opowiadała mi o swoim życiu na wsi. Urodziła się w 1926 roku i była tylko parę miesięcy starsza ode mnie. Zrobiło mi się lżej, bo żona bauera kazała jej prać bieliznę nie tylko rodziny bauera, ale również i moją. Nie musiałem teraz wysyłać bielizny do prania mojej matce. Lidka pomagała w pracy żonie bauera, doiła wszystkie cztery krowy, karmiła świnie, gęsi, kury i króliki. Zaprowadziłem ją w niedzielę do Wani by poznała dziewczyny i chłopców z Pomehren i Launau, jednak ona później nie chciała tam chodzić. Kiedy w niedzielę z Walentym chodziłem do Wani, ona

zostawała w domu sama. Bauer dał jej maleńki pokoik po stronie południowej z oknem wychodzącym w sad. Żeby dojść do tego pokoju musiała przejść przez duży pokój, gdzie spali Erhard i Bruno. Mieli oni przy ścianie dwa łóżka. Wcześniej z nimi spał też Josef. W tym dużym pokoju jedli też śniadania, obiady i kolacje.

Prawie w tym samym czasie bauer, u którego pracował Walenty Kozłowski, otrzymał prawosławną dziewczynę Białorusinkę spod Wołkowyska. Miała na imię Nastia. Była niedużego wzrostu, sympatyczna, ale brzydsza od Lidki. Kiedy poznała ją Lidka, przypadły sobie do gustu i zaprzyjaźniły się W niedzielę spotykały się razem i spędzały wolny czas. Były niezadowolone, że je w niedzielę opuszczamy i chodzimy do innych dziewczyn.

Naprzeciwko domu bauera, u którego pracowali i mieszkali Walenty i Nastia znajdowało się małe gospodarstwo, w którym nie było żadnego obcego przymusowego pracownika. W tej rodzinie niemieckiej mieszkały dwie młode piękne Niemki - córki bauera. Jedna miała 15, a druga 13 lat. Erhard twierdził, że zakochał się w młodszej i był pewny, że gdy podrośnie, to z nią się ożeni. Jednak wojna pokrzyżowała jego plany, o czym napiszę później.

Po pewnym czasie zaczęła mnie bardziej przyciągać swoją serdecznością Lidka niż Katia. Między nami nawiązała się z czasem serdeczna przyjaźń. W następnym roku coraz rzadziej zacząłem spotykać się z Katią i w końcu z nią zerwałem. Często wieczorem po pracy i w niedzielę przychodziła Lidka do mnie na górę i razem byliśmy w pokoju.

Pamiętam wielki szum w niemieckich gazetach w 1943 roku na temat znalezionych przez Niemców w Katyniu pod Smoleńskiem zwłok polskich oficerów, wziętych w 1939 roku do radzieckiej niewoli i rozstrzelanych w 1940 roku przez radzieckie NKWD, a potem znów na temat konferencji w Teheranie w listopadzie 1943 roku. Wtedy Niemcy krzyczeli, że wrogowie zawczasu dzielą skórę na żywym zwierzu.

Potem wszystko ucichło, przyszło Boże Narodzenie i Nowy 1944 Rok. Boże Narodzenie i Nowy Rok gospodarze świętowali bar- dzo skromnie. W domu nie było żadnej choinki, nikt z nich nie śpie- wał kolęd. Nie chodzili po wsi kolędnicy. Bauer z żoną rano podczas świąt jeździł bryczką do kościoła do Wossenden, a gdy wrócił do domu czas spędzał z żoną i synami jak w zwykłą niedzielę. Jedzenie tylko na obiad i na kolację dali trochę lepsze. Było słodkie ciasto posypane cukrem, które nazywali Kuchen. W podobny sposób świętowali Boże Narodzenie i Nowy Rok inni rolnicy we wsi. Dlatego też żadne ciekawsze wspomnienie z tych świąt nie zachowało się w mojej pamięci.



Lidka B.

ROK 1944

1. Aresztowanie przez żandarmerię niemiecką Walentego

W drugiej połowie stycznia bauer Josef Spannenkrebs powiadomił mnie, iż mego kolegę z sąsiedniego folwarku Walentego Kozłowskiego aresztowała niespodziewanie niemiecka żandarmeria. Wieczorem Naścia, dziewczyna z którą Walenty pracował u bauera, opowiedziała mi i Lidce, że w jego pokoju żandarmi przeprowadzili rewizję, zabrali wszystkie jego rzeczy, a szczególnie szukali u niego listów przysłanych z jego rodzinnej wsi, które zabrali razem z nim. Przestraszyłem się, że i do mnie mogą przyjść z rewizją, bo z Walentym się przyjaźniłem, a w swoim pamiętniku pisałem negatywnie o Niemcach, a nawet o Hitlerze. Więc szybko zebrałem wszystkie moje listy, zdjęcia oraz pamiętnik i zaniosłem wieczorem do Ukraińca Wani, żeby on to gdzieś schował. Czekałem z obawą przez tydzień, dwa, trzy, a żandarmi nie przychodzili. Więc się uspokoiłem.

Nikt, nawet jego bauer, nie wiedział za co go aresztowali, bo nic złego w Pomehren nie zrobił. Bauer był z niego i z jego pracy zadowolony. Czekaliśmy w napięciu parę miesięcy, że może przyjdą jakieś wieści od niego. Było jednak cicho w lutym, i w marcu. Dopiero w połowie kwietnia wypuścili go i wrócił do swego bauera. Gdy zobaczyłem go, przestraszyłem się. Miał głowę ogoloną do skóry, był chudy i blady z twarzą pomarszczoną. Okazało się, że oskarżali go o pisemną łączność z partyzantką radziecką na Białostocczyźnie.

Opowiedział, ze zabrali go do więzienia w Königsbergu, trzymali go tam przez cały czas w celi i tylko trzy razy w ciągu tego czasu przyprowadzili na przesłuchanie. Stawiali go oczyma do ściany i zadawali pytania, jaką miał łączność z partyzantką radziecką z terenów, z których przyjechał, i gdy twierdził, że nie miał żadnych

znajomych w radzieckiej partyzantce, często go bili. Walenty był gadułą, lubił opowiadać, co wolno i co nie wolno. Poznał on Polaka z sąsiedniej wsi, idąc w stronę Heilsbergu, który pracował u niemieckiego Mazura. Mazur znał dobrze język polski i włączał się często do ich rozmowy. Z tym Mazurem, do którego przychodził, dyskutował na różne polityczne tematy. Mazur zaczął więc go podejrzewać, że ma jakieś kontakty z partyzantką sowiecką w swojej wsi koło Białegostoku i zameldował o tym żandarmerii.

Na przesłuchaniach czytali mu listy pisane od kolegów z Downiewa koło Królowego Mostu, które znaleźli u niego podczas rewizji i kazali mu tłumaczyć ich sens. Na przykład zapamiętałem jedno zdanie, które napisał jego kolega w swym liście, do którego się przyczepili: „Siedzę przy ognisku pasąc konie, ołówek mam, jak figę, i do ciebie nim piszę". Żandarmi żądali od niego, aby wytłumaczył, co to znaczy „ołówek, jak figa". Twierdzili, że to na pewno był pistolet, a osoba, która pisała ten list, jest bandytą. Gdy zaprzeczał, twierdząc, że był to tylko maleńki ołówek, to nie wierzyli mu, bili go i zmuszali, żeby się przyznał, że był to pistolet. Kiedyś dałem Walentemu swój napisany po polsku jakiś komiczny wiersz. I on trafił w ich ręce. Walenty opowiadał, że jeden śledczy tłumaczył go drugiemu na język niemiecki i razem się śmieli z treści tego wiersza. W tym wierszu nic negatywnego o Niemcach nie napisałem.

Kiedy go pobili na trzecim przesłuchaniu, dlatego że nie przyznawał się do kontaktów z sowiecką partyzantką, nerwowo nie wytrzymał i ze łzami w oczach zapytał: „Co będzie, jak się przyznam do nieprawdziwych faktów i potem mi udowodnicie, że okłamałem was? Czy wtedy mnie znowu będziecie bili, że was oszukałem?" Żandarmi nie znaleźli żadnych dowodów o jego współpracy z sowiecką partyzantką, zwolnili go z więzienia i przywieźli z powrotem do bauera, u którego pracował. Bauer chwalił się, że niby pomógł mu jego syn, który pracował w Königsbergu w gestapo. Bauer nie wierzył w jego winę i napisał o tym do swego syna gestapowca, żeby mu po-

mógł wyjść z więzienia. Prawdopodobnie interweniował u śledczych, ale wątpię, żeby to była prawda.

Gdy wrócił Walenty z więzienia, zabrałem od Wani wszystkie przechowywane przez niego moje listy, fotografie i mój pamiętnik, który pisałem od przyjazdu do Prus Wschodnich.

W lutym przyszło zawiadomienie do Erharda, żeby zgłosił się na komisję wojskową w Heilsbergu. Gdy wrócił z miasta powiedział, że w kwietniu zabierają go do wojska. Ale biorą go do Wehrmachtu, a nie do oddziałów SS, jak zabrali jego brata Josefa, chociaż wyglądał bardziej na typ nordycki, niż Josef, bo był blondynem z niebieskimi oczyma. 1 kwietnia ojciec odwiózł bryczką syna do miasta. Ani macocha, ani jego brat nie pojechali razem z nim.

Nadeszła wiosna i zaczęliśmy pomagać bauerowi siać owies i jęczmień, koniczynę, seradelę, a później sadzić kartofle.

Walenty po więzieniu szybko wrócił do normalnego wyglądu. Zrobił się grubszy, nabrał siły, a na głowie wyrosły mu włosy.

2. Przyjazd do Pomehren nowych pracowników ze wschodu

Wiadomości z frontów były smutne dla Niemców, widać było że się boją, że wkrótce dotrze i tutaj wojna. Nawet gospodarz Petera i Kostka przestał znęcać się nad nimi. Kostek zaczął przychodzić w niedzielę do Wani, a Peter do Walentego.

Do bauera, który mieszkał w centrum wsi Pomehren przysłali niskiego wzrostu, ale sympatyczną i ładną młodą dziewczynę, Wierę, którą przywieźli ze wsi leżącej kilka kilometrów na południe od Czeremchy, ale już nie pamiętam jej nazwy. Wiera szybko zaprzyjaźniła się z Naścią oraz Lidką i wieczorami często razem się spotykały. Do sąsiedniego bauera, u którego mieszkała Wiera w centrum Pomehren przywieźli starszego o osiem lat ode mnie Ukraińca, Pio-

tra. Mieszkał on u bauera, który bardzo dobrze mówił po rosyjsku, bo kiedyś mieszkał jako osadnik na Ukrainie. Do Piotra przychodziłem od czasu do czasu, bo strzygł mi włosy na głowie. Był bardzo sympatycznym mężczyzną, chudym i wysokim. Miał ładny pokoik w domu bauera. Poznałem wtedy bauera i jego żonę. Żona bauera mówiła tylko po niemiecku. Kiedyś Piotr zaczął mi udowadniać, że w języku rosyjskim nie ma słowa „śmierdzi", bo, jak twierdził, wszystko u Rosjan „pachnie". Był zdziwiony, gdy mu powiedziałem, że to nieprawda, bo są słowa rosyjskie „smierdit i waniajet", które oznaczają to samo co po .ukraińsku „smerdyt". Początkowo nie wierzył mi, twierdził, że tego nie słyszał u Rosjan, ale potem sobie przypomniał.

Do sąsiedniego folwarku przywieźli też Białorusina aż spod Pińska, który nazywał się Fama. Dom jego bauera stał w pobliżu lasu, po sąsiedzku z gospodarstwem, gdzie mieszkał Polak Włodek. Bauer Famy był dosyć stary i Fama miał dużą swobodę działania. Miał pokój przy oborze i kiedyś wieczorem zaprosił mnie i Walentego do siebie. Pokazał, jak pędzi samogon w chlewie w pobliżu swego pokoju. Sam wykonał aparat do pędzenia bimbru z bańki do mleka i wymurował piec w chlewie. Gdy bauer spał on rozpalał ogień w piecu i podgrzewał przygotowany zacier do bimbru w bańce do mleka i w miedzianych rurkach płynął śmierdzący bimber do szklanej butli. Potem ten bimber jeszcze raz podgrzewał, przepuszczał przez rurki i otrzymywał mocny, ale śmierdzący przypalonym zacierem bimber. Nie mogłem go pić. Często przychodził późno w nocy do mnie, przynosił ten bimber i sam go pociągał z butelki. Siedzieliśmy przy stodole i rozmawialiśmy. Bardzo mu się podobała Lidka i twierdził, że jest najpiękniejszą dziewczyną ze wszystkich dziewczyn, które spotyka we wsi Pomehren.

Pod koniec kwietnia zaszedłem do mieszkania, w którym mieszkali rosyjscy jeńcy, Aleksiej i Michaił i dowiedziałem się, że Michaił postanowił wstąpić do Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii

(ROA) nazywaną armią generała Własowa. Byłem zdziwiony jego decyzją do tego stopnia, że nawet nie zapytałem o przyczynę tego postanowienia. Może myślał, że z armią Własowa uda mu się uciec na zachód, bo bał się, że gdy przyjdą żołnierze radzieccy, to mogą go albo rozstrzelać, albo wysłać do GUŁAG-u. Pochodził z miasta Iwanowa, ale w rozmowie ze mną nie słyszałem nigdy, żeby wypowiadał się przeciwko Związkowi Radzieckiemu, czy komunizmowi. Wszystkim żołnierzom radzieckim, którzy trafili do niemieckiej niewoli groziły po wyzwoleniu stalinowskie represje, ale żołnierzy Własowa czekała śmierć. Gdyby był zagorzałym antykomunistą i zgodnie ze swym sumieniem postanowił walczyć z komunizmem, byłaby jego decyzja zrozumiała. Gdyśmy się spotykali ani jednego słowa przeciwko komunizmowi nie powiedział. Wkrótce Michaił poszedł do armii Własowa, a Aleksiej pracował dalej, jak radziecki jeniec u niemieckiego bauera.

3. Przygnębienie wśród Niemców w Pomehren

Pod koniec czerwca Erhard przyjechał do ojca na dwutygodniowy urlop przed wysłaniem go na front. Był przygnębiony, bo zaczęła się duża radziecka ofensywa na Białorusi i Niemcy cofali się na całym froncie. Przyszła też wiadomość, że angielskie i amerykańskie wojska wylądowały w Normandii, we Francji, a wcześniej w gazetach Niemcy odgrażali się, że nie wpuszczą aliantów na teren Francji, bo całe wybrzeże francuskie jest mocno ufortyfikowane. Mimo fatalnej sytuacji Niemców, urlopu Erhardowi nie skrócili. Odchodząc do Wehrmachtu pożegnał się ze łzami w oczach ze mną i z Lidką, a ojciec odwiózł go bryczką na dworzec kolejowy w Heilsbergu, skąd pociągiem pojechał do wojska. Ani macocha, ani brat Bruno nie wyszli pożegnać się z nim na podwórku.

Od lipca przestały do nas przychodzić listy z Białostocczyzny od naszych rodziców, krewnych i znajomych. W jednej niemieckiej ga-

zecie zobaczyłem mapę linii frontu, która przechodziła w pobliżu mojej wsi Czeremchy i zacząłem się bać, aby nie stało się tam nic strasznego. Dokładnych wiadomości nie miałem i nie wiedziałem, że w lipcu w czasie walk z Niemcami została spalona prawie cała wieś, a mój ojciec zginął raniony kulą podczas ratowania domu od pożaru. Dowiedziałem się o tym dopiero w styczniu 1946 roku, gdy wróciłem do domu spod Bobrujska zdemobilizowany z Armii Czerwonej.

W lipcu, jak zawsze latem, było dużo pracy w polu. Teraz już nie było do pomocy ani Jozefa, ani Erharda. Bruno w polu nie pracował, bo chodził do wiejskiej szkoły i cała praca spadła na ręce moje i Lidki. Bauer wziął do pomocy przy żniwach jednego Polaka, robotnika przymusowego od jakiegoś bauera z Wossenden. Pomógł nam zbierać i zwozić pszenicę do stodoły. Teraz nie pamiętam nawet jego imienia, bo był tylko kilka dni, a pamiętnik, w którym to zapisałem zabrał mi 5 lutego 1945 roku sowiecki kapitan z NKWD.

Po 20 lipca podniósł się straszny szum w gazetach o próbie zamachu na Hitlera w jego Wilczym Szańcu w Prusach Wschodnich. Fotografie w niemieckich gazetach pokazywały, jak w pobliżu Hitlera w pewnym niedużym budynku wybuchła bomba podłożona przez „zdrajców" Niemiec. Zamierzali oni dokonać państwowego przewrotu i zawrzeć „hańbiący" pokój z aliantami, wrogami narodu niemieckiego. Próba zamordowania Hitlera się nie udała i pucz został zlikwidowany, dzięki Sile Wyższej, która uratowała wodza Niemiec. Dlatego trzeba mieć nadzieję, że również Siła Wyższa pomoże Niemcom zwyciężyć ich wrogów i surowo ukarać puczystów. W zamachu i puczu brało udział kilku ważnych niemieckich generałów. Jak dowiedziałem się później bomba wybuchła w kwaterze Hitlera koło Rastenburga, ale wtedy gazety miejsca wybuchu nie podawały. Po nieudanym zamachu wszyscy puczyści otrzymali telegramy, że Hitler zginął. Zaprzeczenie tej wiadomości przez radio wywołało dezorientację wśród dowódców niemieckich w armii, którzy nie wiedzieli co dalej robić. Potem gazety podawały informacje o aresztowaniach wśród dowódców, generałów i o procesie sądowym nad

nimi. Sąd wszystkich skazał na śmierć. Powiesili ich na hakach, na których wiesza się zabite świnie. Tylko Erwinowi Rommelowi, „lisowi pustyni" w Afryce, pozwolono popełnić samobójstwo.

W sierpniu dowiedziałem się z rosyjskiego tygodnika „Nowoje Słowo" i z niemieckich gazet, że w Warszawie wybuchło powstanie przeciwko Niemcom. Gazety pisały, że powstanie wybuchło bez porozumienia z radzieckim i alianckim dowództwem. Było ono skierowane przeciwko Niemcom i Związkowi Radzieckiemu, i dlatego Józef Stalin nie pomaga polskim powstańcom. Ponadto gazety podały, że w rejonie Warszawy 29 lipca Niemcy wprowadzili do walk z Armią Czerwoną trzy dywizje czołgów SS, które zostały ściągnięte z innych frontów: dwie dywizje z południowego frontu i jedna z Włoch. Wskutek kontruderzenia weszły one klinem w pozycje radzieckie i zmusiły Armię Czerwoną do cofnięcia się z rejonu Warszawy. Próbę utworzenia przez Rosjan przyczółka na Wiśle armia niemiecka zlikwidowała przy pomocy posiłków przerzuconych z Niemiec. Do końca pierwszego tygodnia sierpnia ofensywa wszystkich wojsk radzieckich była zatrzymana, z wyjątkiem ofensywy na terytorium Karpat i Łotwy. Na granicy z Prusami Wschodnimi Armię Czerwoną zatrzymała dywizja czołgów H. Manteuffla, którą Niemcy przerzucili z Rumunii.

W połowie sierpnia otrzymaliśmy zawiadomienie, że mnie, Walentego i Petera władze niemieckie wyznaczyły na sześć tygodni do kopania okopów. W niedzielę 20 sierpnia z Walentym i Wanią spotkaliśmy się początkowo u Wani, a później w pokoju u Katarzyny i pożegnaliśmy się z dziewczynami z Pomehren i Launau. Katia powiedziała, że przebacza mi, że ją ostatnio zaniedbałem i obiecała, że będzie pisała do mnie listy, jeżeli do niej napiszę. Potem pożegnałem się z Naścią i Wierą, które przyszły do Lidki. Gdy następnego dnia rano odjeżdżałem na dworzec do Heilsbergu, gdzie był wyznaczony punkt zbiorczy, Lidka ze łzami w oczach rzuciła mi się na szyję i żegnając się ze mną prosiła, abym do niej często pisał, co jej obiecałem. Na drogę żona bauera dała mi kilka kilogramów wędzo-

nej szynki, kiełbasę, masło i inne produkty żywnościowe. Przeczuwając, że mogą nas zatrzymać na dłużej niż na trzy tygodnie, a może nawet do zimy, zabrałem ze sobą moje przywiezione z Czeremchy palto na kożuchu. Josef Spannenkrebs zawiózł mnie bryczką wraz z moją walizką i paczką na dworzec do Heilsbergu. Pożegnałem się z nim i poszedłem na dworzec. Tam spotkałem się z Walentym i Peterem i z setką nieznajomych pracowników przymusowych różnych narodowości ze wschodu, Polaków, Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, Tatarów, Kazachów, a nawet Kirgizów. Żandarmi sprawdzili nas według spisów, zaglądając w nasze ausweisy. Powiedzieli, abyśmy czekali na pociąg. Gdy pociąg pasażerski przyjechał, kazali nam wsiadać do wagonów.

4. Perypetie koło Jezior Mazurskich

W wagonie pasażerskim siedliśmy do przedziału razem z jeńcami radzieckimi. Wieźli nas w kierunku Bartensteinu (Bartoszyce), a potem zawrócili na południowy wschód aż do Lötzen – (Giżycko). Sowieccy jeńcy strasznie narzekali na Niemców, chwalili Związek Radziecki i panujące tam warunki ekonomiczne. Nie wytrzymałem i powiedziałem im, że chociaż Niemcy są moimi wrogami, to jednak muszę stwierdzić, że pod względem ekonomicznym przewyższają Związek Radziecki. Spójrzcie - powiedziałem – front jest już niedaleko, ale nikt z Niemców nie umiera z głodu. W kołchozach ludzie żyją dużo gorzej niż tutaj. W ich grupie Aleksiej, który nie był jeńcem, bo był w cywilnym ubraniu, w dyskusji trzymał ich stronę. Wszyscy oburzyli się, słysząc moje wypowiedzi, gdy mówiłem, że żołnierze radzieccy, którzy przyszli do nas w 1939 roku opowiadali o głodzie w kołchozach, jaki panował w czasie pokoju, nie mówiąc już o wojnie. Wyrecytowałem im czastuszkę, którą od nich usłyszałem:

U kołchoz daroha prosta,	Do kołchozu droga prosta,
A z kałchoza kasiakom.	A z kołchozu idzie koso,
U kołchoz idiosz obutym,	Do kołchozu idziesz w butach,
A z kałchoza basiakom.	A z kołchozu wracasz boso.

To jeszcze bardziej ich rozjuszyło. Jeden z nich nazwał mnie zdrajcą. Zacząłem nawet żałować, że włączyłem się do dyskusji. Jeden z nich wyjął kawałek czarnego chleba z jakąś domieszką i pokazując mi powiedział:

– Takiego chleba w kołchozach nie znajdziesz.

Nie mogłem ich przekonać, że w tym czasie wielu kołchoźników w ogóle nie ogląda chleba. Przekonałem się o tym, gdy jechałem do Leningradu na studia w październiku 1948 roku. Gdy pociąg zatrzymał się na jakimś dworcu na Białorusi wyszedłem na peron. Tam stały dziesiątki kobiet, które pytały się czy nie mam do sprzedania chleba. Miałem bochenek białego chleba, kupionego w Warszawie, wyniosłem go z wagonu i dałem jednej kobiecie bezpłatnie. Z radości chciała ucałować mnie w rękę. Jej koleżanka, która stała obok, powiedziała zazdrośnie:

– Nie próbuj całować go w rękę, a nasyp mu do kieszeni pestek słonecznika. – I chociaż się wzbraniałem, prawie siłą ze swojej torby wsypała mi garść pestek do kieszeni mojej marynarki.

Z jeńcami szybko się rozstałem, zabrali ich do innej grupy, ale z Aleksiejem długo jeszcze razem kopaliśmy okopy. Rozmawiałem z nim na różne tematy i wyczuwałem z jego strony jakieś uprzedzenie, a nawet wrogość do mnie, chociaż się przekonał, że nie jestem ani niemieckim sługusem, ani szpiclem, a takim samym przymusowym pracownikiem, jak on. Później go spotkałem zaraz po wyzwoleniu w radzieckim punkcie zbiorczym w Seeburgu przy pompie wodnej. Przestraszyłem się, żeby niczego nie nagadał radzieckiemu śledczemu, ponieważ chwalił się, że jest tłumaczem języka niemieckiego u oficera śledczego. Zapewnił mnie, że nic nikomu o tym co mówi-

łem nie powie. Wkrótce zabrali mnie w inne miejsce i nigdy go już więcej nie zobaczyłem. Słowa widocznie dotrzymał, bo mnie nie szukali.

Wysadzili nas z pociągu na maleńkiej stacyjce za Lötzen, rozdzielili na grupy i poprowadzili każdą grupę w inne miejsce. Naszą grupę zaprowadzili na jakąś łąkę i powiedzieli, że mamy spać na trawie. Nie dali nam żadnego jedzenia. Trzeba było otwierać swoje walizki z jedzeniem. Po posiłku podłożyłem pod głowę swoją walizkę i próbowałem zasnąć na trawie. Dobrze, że wziąłem ze sobą palto na kożuchu, bo było chłodno. Pilnowali nas Niemcy w mundurach SA. Gdy zrobiło się ciemno zaczął siąpić drobny deszcz, ale po godzinie przestało padać. W naszej grupie było ponad dwieście osób.

Niemcy obudzili nas o świcie, ustawili czwórkami w szeregi i popędzili naprzód. Przeszliśmy chyba z 12 kilometrów i weszliśmy do jakiejś wsi, a potem do długiego budynku z wysokimi oknami. Stały tam w kilku rzędach drewniane gołe prycze. Możliwe, że wcześniej mieszkali tu niemieccy żołnierze. Każda osoba miała oddzielną pryczę. Z Walentym i Peterem położyliśmy się na sąsiednich pryczach. W pobliżu nas spali Polacy i Ukraińcy. Wkrótce kazali nam zostawić rzeczy na pryczach, wziąć ze sobą kociołki, kubki oraz łyżki i iść na śniadanie. Naleli każdemu z nas pełny kociołek zupy kartoflanej, a do kubków zbożowej niesłodzonej kawy, dali pół bochenka chleba, trochę margaryny i marmolady. Po śniadaniu znowu kazali nam zabrać ze sobą kociołki, kubki i łyżki i ustawili nas w szeregi. Wyprowadzili nas na odległość trzech kilometrów za wieś, dali łopaty i kazali kopać okopy, które były wąskie i głębokie na półtora metra. Niemcy w mundurach z emblematami SA i z karabinami na plecach chodzili wzdłuż okopów i poganiali: „Schnell! Schnell!”. Na obiad podjechała do nas polowa kuchnia, przywiozła zupę z brukwi i polane jakimś sztucznym tłuszczem kartofle. Wieczorem wróciliśmy do budynku. Na kolację dali nam jakąś zupę i kawę zbożową.

Tak było codziennie do połowy września. Prowadzili nas tylko do różnych miejscowości, czasami z dziesięć kilometrów od miejsca

naszego noclegu. W niedzielę pracowaliśmy tylko do południa i na obiad wracaliśmy do naszego budynku. Po obiedzie mieliśmy wolny czas. Nie pilnowali nas, ale zapowiedzieli, że daleko nie możemy odchodzić. W niedzielę napisałem listy do Lidki i Katarzyny, bo podali nam nasz adres zwrotny. Na listy nakleiłem znaczki pocztowe, które miałem przy sobie i wrzuciłem je do skrzynki pocztowej, która wisiała przy drzwiach naszego budynku.

Na początku września zaczęliśmy kopać okopy przeciwczołgowe Były to okopy o szerokości kilku metrów u góry, głębokie na trzy metry, a na dole wąskie około pół metra. Wyrzucać z takiej głębokości ziemię do góry było ciężko. A Niemcy, którzy nas pilnowali, byli okrutni. Chodzili bez karabinów ze splecionymi ze skóry nahajami i gdy zauważyli z daleka, że ktoś odpoczywa, podbiegali i bili po plecach i głowie. Po takim uderzeniu na twarzy zostawała szrama, która znikała dopiero po tygodniu, a czasami i po dwóch tygodniach.

Pod koniec września otrzymaliśmy hurtem listy, ja od Lidki i Katarzyny, a Walenty od Naści i Łarysy. Katarzyna napisała mi list chaotyczny, jakieś wierszyki o kochaniu, zazdrości, które od kogoś usłyszała, bo sama ich nie wymyśliła, a żadnych wiadomości z Pomehren w jej liście nie było. List od Lidki był szczery i konkretny, o jej uczuciach do mnie, o tym, jak tęskni za mną i jak bauer czeka mnie na powrót do pracy. Pisała, że w niedzielę nigdzie nie wychodzi z domu, Przychodzą do niej Naścia i Wiera. List mnie rozczulił. W drugiej połowie września popędzili nas w stronę Nikolajken (Mikołajki), zatrzymując się na kilka dni to w jednej, to w następnej miejscowości, przeważnie w stodołach różnych bauerów. Kopaliśmy okopy dla żołnierzy i przeciwczołgowe. Już dawno minęły trzy tygodnie od naszego wyjazdu, a zwalniać nas nie mieli zamiaru. Artykuły żywnościowe, które dostaliśmy od naszych bauerów dawno się skończyły, a z każdym dniem jedzenie było coraz gorsze. Wówczas w trójkę prawie każdej nocy wychodziliśmy po cichu dalej od naszego miejsca noclegu na pole kartoflane, rozkładaliśmy nieduże ogni-

sko i piekliśmy wygrzebane z ziemi ziemniaki i je spożywaliśmy. A później wracaliśmy na nocleg. Potem Peter znalazł gdzieś duży garnek metalowy, nabieraliśmy w nocy wody i w tym garnku na polu gotowaliśmy obrane z łupin kartofle i tam jedliśmy. Podczas gotowania ziemniaków widzieliśmy kilka razy daleko od nas na wschodzie zrzucone z samolotów na spadochronach latarnie, które oświetlały teren i powoli spadały na ziemię. Czasami słychać było dalekie wybuchy bomb. Front wtedy stał gdzieś koło Ostrołęki, Łomży i Augustowa. Słyszeliśmy, że bombardowali w nocy miejscowości w odległości 20-30 kilometrów od nas. Kartoflami zapełnialiśmy nasze żołądki i nie czuliśmy na następny dzień głodu. Tak samo robili inni, tylko każdy szedł w innym kierunku szukać pola z kartoflami.

W październiku przeszliśmy obok miasteczka Nikolajken i jeziora Śniardwy. W miasteczku nie zatrzymaliśmy się, pędzili nas na północ. Widzieliśmy tylko z daleka na jeziorze łódki i kutry. Zatrzymali nas w miejscowości Königshöhe (Użranki) przy długim budynku, w którym były prycze i nawet światło elektryczne. Kopaliśmy okopy w różnych pobliskich miejscowościach, prawie cały październik i pierwszy tydzień listopada. Ganiali nas codziennie po 10-12 kilometrów do pracy i z pracy. Nawet w niedzielę zmuszali do kopania przez cały dzień, a karmili coraz gorzej. Tutaj też każdej nocy wychodziliśmy na kartofliska i gotowaliśmy ziemniaki. Pamiętam znalazłem niemiecką gazetę, w której podawali, że Rosjanie po 9 października odsunęli Niemców na zachód w okolicach Warszawy i zajęli warszawską dzielnicę Pragę, zatrzymując się na rzece Wiśle. Po drugiej stronie Wisły trwało Warszawskie Powstanie. W listopadzie znajomy Polak otrzymał pocztą niemiecką gazetę w języku polskim, zwaną potocznie gadzinówką „Nowy Kurier Warszawski". Dał mi ją poczytać. Pisali o kapitulacji Powstania Warszawskiego w dniu 2 października. Podawali tam, że Niemcy z całej lewostronnej części Warszawy wypędzili wszystkich mieszkańców stolicy Polski, a powstańcy razem z dowództwem złożyli broń i poszli do niemieckiej

niewoli. Podali także, że po prawej stronie Wisły stoją od połowy września wojska radzieckie, ale one nie tylko nie pomogły powstańcom, ale nawet ich ostrzeliwały. Przyznali się tam, że 20 października partyzantka jugosłowiańska Broz Tita przy pomocy radzieckich żołnierzy zajęła już Belgrad, i że Niemcy zaciekle bronią się w Grecji i trwają ciężkie walki na Węgrzech, a na zachodzie niemiecki Wehrmacht opuścił już Belgię. To były pierwsze dokładniejsze wiadomości z frontów.

Około 8 listopada dali nam skromny prowiant, ustawili w szeregi i popędzili na północ. Wieczorem 400, a może i 500 osób wtłoczono do ogromnej stodoły, w której na podłodze była rozesłana zgniła już słoma. Zamknęli za nami drzwi. Zmęczeni i głodni ludzie szybko zasnęli. Gdy obudzili nas o godzinie szóstej, każdy zauważył w swojej koszuli pełno wszy. Widocznie wcześniej na tej słomie spali inni i zagnieździły się w niej wszy, które przeszły na nas i ssały naszą krew. Wszyscy, póki się nie przyzwyczaili, drapali się, ale nie było czasu zajrzeć do koszul, bo trzeba było w ciemności wychodzić na zewnątrz stodoły. Otrzymaliśmy tylko po kubku zbożowej kawy i musieliśmy szybko stawać do szeregu i iść do pracy ze 4-5 kilometrów. Tam trzeba było kopać okopy przeciwczołgowe. Po drodze dowiedzieliśmy się, że jesteśmy oddaleni o kilka kilometrów na północ od Rastenburga (Kętrzyn). Wtedy nie wiedzieliśmy, iż niedaleko od nas, 7 km na wschód od Rastenburga, w pobliżu wsi Görlitz (Gierłoż) w lesie znajdowała się kwatera Adolfa Hitlera, tak zwany Wilczy Szaniec (Wolfschanze). Tam 20 lipca była nieudana próba zamachu bombowego niemieckiego pułkownika Clausa von Stauffenberga na życie Hitlera, o którym już pisałem. Dlatego nas tutaj tak mocno pilnowali. Po południu nie przyjechała do nas żadna kuchnia polowa. Głodni pracowaliśmy prawie do samego zmierzchu. A wachmani biegali wzdłuż okopów, straszyli nas i popędzali. Jedni kopali na dole i rzucali ziemię do góry, a inni stali wyżej i wyrzucali ją na zewnątrz okopu.

Spędzili tutaj dziesiątki tysięcy ludzi. Jak później zobaczyłem, takich stodół, jak nasza zapełnionych głodnymi, zawszonymi ludźmi było tutaj dziesiątki. Wszystko to, co oni zrobili, było niepotrzebną pracą, bo te okopy przeciwczołgowe nie powstrzymały radzieckiego natarcia. Nie zatrzymały one radzieckich czołgów. Kiedy Armia Czerwona uderzyła 13 stycznia 1945 roku, i w następnym dniu przerwawszy się przez niemiecką linię frontu, w ciągu pięciu dni poszła naprzód 45 kilometrów i 23 stycznia zajęła już Rastenburg. Następnie ruszyła w kierunku Bartensteinu i była tam już 31 stycznia.

Przed zmrokiem wróciliśmy do zawszonej stodoły. Wtedy wydawano nam pół menażki zupy z brukwi, 250 gramów czarnego zmieszanego z otrębami chleba i łyżeczkę herbacianą margaryny. Każdy zjadał od razu otrzymaną porcję i cały następny dzień chodził głodny, bo rano dostawał tylko kubek zbożowej kawy bez cukru. Tak było codziennie. Rzadko kto miał tyle siły woli, żeby zostawić sobie kawałek chleba na następny dzień. Nikt nie był pewny, że w czasie snu ktoś go nie ukradnie. Do tego jeszcze obsiadły wszystkich wszy. Nie było możliwości ich zlikwidować. Nie było tu nawet wody, żeby umyć twarz. Można ją było tylko zmoczyć zbożową kawą. Gdy ktoś założył świeżą koszulę, to do niej nalazłoby jeszcze więcej wszy. Tak samo było, gdy ktoś nad ogniskiem grzał koszulę i strząsał wszy do ognia. Gdy położył się w tej koszuli spać, rano miał w niej tyle samo wszy, co wieczorem.

Brak elementarnej higieny, wszy, głód i chłód, bo w listopadzie złapały już nieduże mrozy, miały różny negatywny wpływ na psychikę ludzi. Niektórzy załamywali się psychicznie, u innych rodził się zwierzęcy stosunek do otoczenia.

Kiedy Niemcy pędzili nas do pracy i przechodziliśmy w pobliżu pola z burakami cukrowymi, wielu wyskakiwało z szeregów, rzucało się na to pole, wyrywało buraki z ziemi i od razu na surowo je jedli. Niemcy wtedy ich ganiali, bili po plecach nahajami, ale głód był silniejszy od strachu przed znęcaniem się. Dobrze, że jeszcze Niemcy nie strzelali wtedy do nich, a tylko bili.

Początkowo mieliśmy trochę wolnego czasu przed snem, po zjedzeniu kolacji, niektórzy chodzili do pobliskiej niemieckiej wsi, stukali do drzwi u bauerów i prosili o chleb. Czasem nawet go otrzymywali. Parę razy zrobił tak Walenty. Nie miałem takiej śmiałości i nie chciałem robić z siebie żebraka. Staraliśmy się, tak jak wcześniej, chodzić do kopców z ziemniakami, wybierać je i na polu gdzieś gotować czy piec. Ale to trwało tylko parę dni. Dosyć szybko nam ogłosili, że po zjedzeniu posiłku mamy tylko 30 minut wolnego czasu, wszyscy po tym czasie muszą już być w stodole. Kto przyjdzie później, będzie bity. Potem drzwi od stodoły zamykano na kłódkę, a na zewnątrz pilnował nas wartownik niemiecki z karabinem. Gdy ktoś chciał ze stodoły wyjść za swoją potrzebą, to musiał stukać w drzwi, żeby wartownik mu otworzył i wypuścił na chwilę.

Parę razy podczas kopania okopów przelatywały nad nami wysoko w niebie eskadry samolotów. Wtedy, gdzieś z lasu na wschód od nas, chyba z Wilczego Szańca odzywała się mocna kanonada z dział przeciwlotniczych. Niebo wtedy robiło się ciemne od dymu i wybuchających pocisków. Lecz samoloty leciały zbyt wysoko, żeby pocisk mógł je trafić, i z hukiem leciały przeważnie na wschód. Nigdy nie bombardowały miejsca, gdzie była kwatera Hitlera i jego świty. Chyba w tym czasie już Hitlera tam nie było. Po zamachu na niego prawdopodobnie już wrócił do Berlina, ale część z jego dowództwa mogła tam jeszcze pozostać.

Głód i chłód zmuszał niektórych do ucieczek. Jednak rzadko komu ucieczka się udawała. Wiele osób zostało złapanych w drodze i przywiezionych z powrotem. Mocno ich bili, przez trzy doby nie dawali nic do jedzenia, a potem znowu wypędzali do pracy. Jednak byli i tacy, którzy do nas z powrotem nie wracali. Widocznie udało im się uciec. 11 listopada przyprowadzili do nas grupę ludzi, których nie bili. Kopali oni okopy gdzieś w okolicy Goldapu (Gołdap) przy samym froncie i gdy radziecka artyleria zaczęła do nich strzelać, wszyscy wachmani się rozbiegli, powiedzieli wcześniej robotnikom, że mogą wracać do swoich bauerów. Grupa ta została zatrzymana

w pobliżu i przyprowadzona do nas. Wtedy zrodziła się myśl ucieczki, bo jeżeli gdzieś nas złapią i będą się pytać skąd idziemy, to można odpowiedzieć, że uciekamy spod frontu do swoich bauerów. Ważne było, aby nie przyznawać się, że kopaliśmy okopy pod Rastenburgiem. Powiedziałem o tym Walentemu i Peterowi, którzy uznali, że mój pomysł jest dobry. Zaczęliśmy przygotowywać się do ucieczki.

Gdy kopaliśmy okopy i wartownik odszedł od nas daleko, jeden znajomy ze wsi Stawiszcze koło Czeremchy zapytał mnie, czy znam Polaka, kierownika policji przy niemieckiej żandarmerii na stacji w Czeremsze, który przed wojną był polskim lotnikiem. Zapomniałem już jego nazwisko. Powiedziałem mu, że go kiedyś przed wojną widziałem, gdy wylądował na swoim samolocie na łące w pobliżu stacji Czeremchy, bo przyleciał do swojej rodziny. Wtedy była to duża sensacja, a ja jako uczeń szkoły powszechnej biegałem zobaczyć ten samolot i widziałem lotnika przy samolocie, który później odleciał. Po wojnie wrócił on do rodziny i Niemcy zrobili go kierownikiem policji stworzonej z miejscowych ochotników. Ale teraz bym go nie poznał.

– Więc chodźmy, to ci go pokażę, on tutaj w pobliżu kopie okopy – powiedział znajomy.

Pomyślałem że może z nim będą razem znajomi z Czeremchy, Gabriel Roszczenko i Michał Szatyłowicz, syn sołtysa Jakima, którzy jeszcze w 1942 roku poszli dobrowolnie do policji i razem z nim pracowali. Zobaczyłem, że wartownika nie ma w pobliżu, przeszedłem z nim jakieś 200 metrów na wschód. Znajomy mi go pokazał. Pracował łopatą już w podniszczonym mundurze niemieckiego policjanta. W pobliżu nie zauważyłem ani Gabriela ani Michała, a nie chciałem go pytać się co się z nimi stało. Po wojnie dowiedziałem się, że Gabriel trafił do radzieckiego karnego batalionu, został ciężko ranny na froncie i do Czeremchy już nie wrócił. Michał zaś wrócił, rozpił się, wyjechał do pracy do Legnicy i tam szybko umarł. Co stało się z by-

łym przedwojennym polskim lotnikiem po spotkaniu z nim przy kopaniu okopów pod Rastenburgiem, nie wiem.

12 listopada Niemcy zaczęli spisywać pracowników. Zrozumieliśmy, że pogubili stare nasze listy i wykorzystaliśmy sytuację. Podaliśmy im nasze fałszywe nazwiska i dane, bo nie żądali od nas okazania ausweisów. Wtedy postanowiliśmy uciekać do naszych bauerów, bo tam nas nie będą szukać. Uciekać zaś w stronę frontu było niebezpiecznie, bo front stał w miejscu. Postanowiliśmy uciekać do wsi Pomehren, bo chociaż tam nadal będziemy w niewoli jako pracownicy przymusowi, ale tam będzie dużo lepsza niewola w porównaniu z tą, którą teraz przeżywamy. Tam nie będziemy głodni, nie będą nas gryzły wszy i spotkamy się z naszymi dziewczynami. Będzie lżej doczekać się wyzwolenia. Akurat Niemcy wypłacili nam pieniądze za trzy miesiące poniewierki. Dostaliśmy od nich po 200 niemieckich marek. Za te pieniądze i tak nie można było nic kupić, ale w drodze mogły się przydać. Poza tym Walenty otrzymał od swojej kuzynki, która pracowała gdzieś w Prusach Wschodnich u bauera, paczkę żywnościową z mięsem, słoniną i sucharami. Zaczęliśmy przygotowywać się do ucieczki. W tym czasie zdarzył się nieprzyjemny wypadek. Nasz znajomy spod Kleszczel w czasie pracy poszedł na pobliskie pole narwać buraków cukrowych. Zauważył go z daleka niemiecki wartownik w mundurze SA, zdjął z pleców karabin, wystrzelił i został chłopiec ranny w nogę. Zrobił się szum. Rannego opatrzyli i gdzieś go powieźli. To nas jeszcze bardziej zmobilizowało do ucieczki. Postanowiliśmy, że jak wrócimy, zjemy zupę, weźmiemy prowiant, który nam dają i ruszymy w drogę.

5. Doba przed ucieczką

Dzisiejsza próba ucieczki nam się nie powiodła. Po powrocie z pracy do naszej zawszonej stodoły, szybko zabraliśmy nasz prowiant, zjedliśmy zupę z brukwi i poszliśmy zabrać nasze bagaże ze

stodoły. Peter zauważył, że ktoś ukradł mu buty z cholewami z jego walizki. Bez butów nie chciał z nami uciekać. Walenty zaczął głośno straszyć złodzieja, że jeśli nie podrzuci Peterowi skradzionych butów, poprosimy Niemców o rewizję. Buty – to nie igła, i gdy Niemcy je znajdą, złodziej zostanie mocno ukarany. Wyszliśmy na krótki okres czasu ze stodoły i gdy wróciliśmy, złodziej podrzucił buty, ale uciekać było już za późno. Niemcy dali rozkaz wyjść wszystkim na zewnątrz stodoły do przeliczenia. Myśmy wyskoczyli z bagażami i stanęliśmy w szeregu. Niemcy zauważyli nas z bagażami i szybko zapędzili wszystkich do stodoły, postawili wartownika, zamknęli drzwi stodoły i powiesili na drzwiach kłódkę. Ucieczkę trzeba było odłożyć na następny wieczór. Po takim nieudanym incydencie długo nie mogłem zasnąć.

Ze wszystkich stron słychać było chrapanie zmęczonych i głodnych ludzi. Ilu ich tam było? Może czterysta, a może i pięćset osób. Tam spali Ukraińcy, Rosjanie, Białorusini, Polacy, Litwini, Łotysze, a nawet Tatarzy i inni ludzie ze Wschodu. Wszyscy byli podzieleni na grupy po czterdzieści osób. Jak kłody drzew leżały jeden przy drugim w brudnej zgniłej słomie. Było tak ciasno, że nie można dobrze wyprostować nóg. Spróbuj w ciemności przejść do drzwi stodoły za swoją potrzebą! Na pewno nastąpisz na kogokolwiek i będzie krzyk i przekleństwo. W tym czasie było cicho, słychać było jak skrzypiał za ścianą śnieg pod butami wartownika. Nas zabrali tylko na sześć tygodni, a trzymają już trzy miesiące i nawet nic nie mówią, kiedy nas zwolnią. Widać nie mają takiego zamiaru. Złapały już mrozy, ziemia z wierzchu już zmarznięta. Dobrze że wziąłem ze sobą kurtkę na kożuchu. Pod tą kurtką spać jest ciepło. Ale co będzie dalej. Obok mnie leżał Walenty Kozłowski w cienkiej kurteczce na watolinie. Chociaż było chłodno, ale zmęczony spał. Z drugiej mojej strony leżał Peter. Był starszy od Walentego i miał długie palto i dlatego było mu cieplej. I tak zdenerwowany, rozmyślając w końcu zasnąłem. Rano wszystkich obudził wartownik.

Prędko po wypiciu ciepłej zbożowej kawy przeszliśmy grupami z pięć kilometrów kopać okopy i, jak zawsze po drodze, gdy przechodziliśmy w pobliżu pola z burakami cukrowymi, wiele osób wybiegało na pole, wyrywali z ziemi te buraki i jedli na surowo. A wartownicy biegli za nimi i bili ich pejczami czy nahajami. I tak dotarliśmy do okopów, których wczoraj nie dokończyliśmy kopać.

Około godziny dziesiątej zjawił się sadysta, niemiecki oficer i zaczął się znęcać nad pracownikami. Gdy z daleka zauważył kogoś, kto zbyt wolno wyrzucał piasek z okopu, albo nie podobał mu się z wyglądu, ze śmiechem podchodził do niego i bił go nahajką po głowie i po twarzy. Przestraszyłem się, aby mi na drogę nie zostawił na twarzy szramy od nahajki i dlatego szybko wyszedłem z okopu i położyłem się na trawie obok chorych i zacząłem udawać, że boli mnie brzuch. Do chorych on nie podchodził, a leżało nas tam sześć osób. Wkrótce zabrali nas i odwieźli do niemieckiego felczera w jednym domku. Czekałem tam w kolejce jakiś czas, dopóki nie przywieźli chorych z innych miejsc. Było nas tam około 15 osób. Gdy podszedłem do felczera wziął mnie za rękę i zaczął badać puls. Potem popatrzył na mnie i ze złością powiedział: „Willst du in das Maul bekommen?" (Czy chcesz dostać w mordę?). Udałem zdziwionego i powiedziałem mu: „Was? Ich habe nur den Bauchschmerz." (Co? Boli mnie brzuch.) „Ach so!" – zamruczał, odszedł na chwilę i przyniósł mi jakieś żółte pigułki i wypisał zwolnienie z pracy na trzy dni. Kamień mi spadł z serca. Bałem się, żeby nie wykrył mojej symulacji. Zawieźli nas samochodem do stodoły i tam przygotowałem wszystkie nasze rzeczy do ucieczki.

Wieczorem zjawili się Walenty i Peter, szybko zjedliśmy zupę, wzięliśmy skromny przydzielony nam kawałek czarnego chleba i łyżeczkę margaryny, włożyliśmy to do naszych walizek, które szybko zabraliśmy ze sobą, wyszliśmy ze stodoły i wskoczyliśmy do okopu, który był dawno wykopany przy naszej stodole i biegł na północ ze dwieście metrów.

6. Pierwsza noc ucieczki

Dobiegliśmy do końca okopu i zatrzymaliśmy się, czekając aż całkiem ściemnieje. Gdy zauważyliśmy, że koło naszej stodoły jest całkiem cicho, wyszliśmy z okopu, namoczyliśmy śliną palec ręki, wystawiliśmy go na wiatr, żeby dowiedzieć się, z której strony wieje i wybraliśmy kierunek naszej drogi na północny zachód, bo orientowaliśmy się, że gdzieś z tej strony leży Heilsberg. Szliśmy przez zamarznięte pole w wybranym przez nas kierunku. Gdy przeszliśmy ze trzy – cztery kilometry, zauważyliśmy nisko nad ziemią ciągnące się druty telefoniczne. „Tu w pobliżu musi być wojsko!" – ze strachem powiedział Walenty.

Przestąpiliśmy spokojnie kilka takich równoległych linii telefonicznych ciągnących się przy ziemi, które szły z zachodu na wschód w odstępach około 20 metrów jedna od drugiej i napotkaliśmy w ciemności płot przy drodze ze zwykłego cienkiego drutu. Kiedy przeszliśmy przez ten płot i weszliśmy na drogę, poczuliśmy czyjeś kroki. Walenty i Peter szybko przeskoczyli przez płot z drogiej strony drogi na pole i chcieli uciekać. Usłyszałem w pobliżu krzyk: „Halt!" (Stój!).

Uciekać nie było sensu, bo mogą strzelać i zrobią obławę. Zatrzymałem się i zawołałem ich do powrotu. Oni wrócili. Podszedł do nas jakiś wojskowy w pilotce na głowie. W ciemności nie było widać kim on jest. Żołnierz ostro się zapytał:

– Wohin geht ihr? (Dokąd idziecie?).

Szybko odpowiedziałem:

– Wir suchen ein Haus zu übernachten. (Szukamy jakiegoś domu, żeby przenocować).

– Wollt ihr übernachten? – powiedział. – Dann komme mit! (Chcecie przenocować? To chodźcie ze mną).

Szliśmy za nim, Walenty mocno się denerwował. Dałem palca-

mi z tyłu za żołnierzem znak, żeby milczał. Najlepiej od nich mówiłem po niemiecku. Szliśmy w milczeniu do skrzyżowania naszej wąskiej drogi z szosą. Stał tam dom, dalej widać było małą wieś. Nasz konwojent krzyknął i zza węgła domu wyszedł niemiecki żołnierz z karabinem.

– Przyprowadziłem trzy osoby, które spotkałem na drodze. Mówią, że szukają noclegu – powiedział nasz konwojent i odszedł.

Paliła się przed domem elektryczna lampka i zauważyłem, że konwojent, który nas przyprowadził, miał na sobie czarne wojskowe ubranie. Żołnierz z karabinem podszedł do nas bliżej i zapytał: Skąd jesteście? Odpowiedziałem, że przy samym froncie kopaliśmy okopy i trafiliśmy pod rosyjską kanonadę artyleryjską. Kazali nam wracać do starego miejsca pracy. Idziemy już trzeci dzień w stronę Heilsbergu i teraz szukamy miejsca, żeby gdzieś przenocować.

– Bist du der Deutsche? (Czy jesteś Niemcem?) – zapytał mnie.

Byłem zdziwiony. Mówiłem nieźle po niemiecku, ale po mojej wymowie można było poznać, że nie jestem Niemcem.

– Nein! – odpowiedziałem – Ich bin ein Belorusse (Nie! Jestem Białorusinem).

Żołnierz chwilę pomyślał, wyprowadził nas na szosę, pokazał palcem w stronę Rastenburga i powiedział:

– Idźcie tą szosą do miasta. Tam w mieście takich jak wy jest dużo. Zapytacie się i wam pokażą, dokąd trzeba iść i dadzą wam miejsce, gdzie będziecie mogli przenocować.

Byłem zdziwiony tą propozycją i serdecznie podziękowałem. Widocznie nie chciał mieć z nami kłopotów. Poszliśmy szosą w stronę Rastenburga, oglądając się czy ktoś za nami nie idzie. Szliśmy wzdłuż małej wsi, przypuszczalnie przez Galbuhnen (Gałwuny), ale ludzi nie było widać i w oknach chat nie było nigdzie światła. Odeszliśmy od żołnierza około 200 metrów i przez ogrody poszliśmy w pole, wybierając trasę naszej ucieczki na podstawie kierunku wiatru. Miałem na nogach buty z drewnianymi podeszwami i po zamar-

zniętych skibach zaoranego pola ciężko było iść. Nieraz przewróciłem się, gdy w ciemności źle stanąłem na skibę.

Wkrótce przegrodziła nam drogę dosyć szeroka rzeka, która teraz nazywa się Guber. Bardzo było zimno, żeby przez nią przejść w ubraniu. Płynęła w kierunku szosy, leżącej ze dwa kilometry od nas, na której widać było światła jadących samochodów. Tam na pewno był most, ale mogli go pilnować żołnierze. Zaczęliśmy iść wzdłuż rzeki na południe, szukając przejścia. Raptem zauważyliśmy folwark po drugiej stronie rzeki i w jego pobliżu wąską huśtającą się kładkę do tego folwarku. Przeszliśmy po kładce lekko huśtając się na drugą stronę rzeki, obeszliśmy zabudowania i weszliśmy znowu na pole, kierując się na północ. W folwarku zaszczekał pies, ale szybko zamilkł. Po godzinie trafiliśmy na szosę, która szła w kierunku zgodnym z kierunkiem przez nas obranym na podstawie wiejącego wiatru. Poszliśmy tą szosą, którą iść było dużo lżej niż po zamarzniętym polu. Z drogowskazu, który napotkaliśmy przy szosie dowiedzieliśmy się, że idziemy w kierunku Bartensteinu (Bartoszyce). Postanowiliśmy iść dalej, a potem zawrócić do Heilsbergu. Gdy zauważyliśmy, że przed nami, lub za nami jedzie jakiś samochód szosą, szybko schodziliśmy do rowu przy szosie i kładliśmy się w nim plackiem, póki samochód nie przejechał. Gdy zauważyliśmy z daleka, że szosę przecina kolej, czy przy szosie jest jakaś miejscowość, omijaliśmy ją. Szliśmy prawie przez całą noc i rankiem postanowiliśmy schować się gdzieś w stogu słomy lub siana i przespać tam cały dzień, a w nocy ruszyć dalej. Przy szosie spotkaliśmy małą wieś, ale nigdzie nie było widać żadnego stogu. Ujrzeliśmy, że ktoś w pobliżu szosy wyrzuca z chlewa nawóz, składając w dużą stertę. W chlewie paliła się lampka elektryczna. Podszedłem bliżej i zobaczyłem młodego mężczyznę z literą „P” na piersiach. Zrozumiałem, że to Polak. Widziałem go dobrze, ale on mnie w ciemności nie widział. Podszedłem do niego i po polsku się przywitałem. Trochę zdenerwowany zaczął ze mną rozmawiać po polsku, ale widać, że mu to dobrze nie

wychodziło. Zrozumiałem, że on nie zna języka polskiego. Podeszli do nas Walenty z Peterem. Nieznajomy przyznał się, że jest Rosjaninem, a nie Polakiem, że był rosyjskim jeńcem wojennym i gdy go złapali Niemcy, jak uciekał z niewoli, powiedział im, że jest Polakiem, żeby go nie zapędzili znowu do obozu jenieckiego. Skierowali go tutaj i pracuje u bauera. Zaczęliśmy z nim rozmawiać po rosyjsku. Zaprosił nas do swego pokoju w chlewie. W pokoju stało tylko łóżko, mały stół i krzesło. Usiedliśmy na jego łóżku. Powiedzieliśmy, że jesteśmy głodni i czy on nie ma mleka, mamy pieniądze i mu zapłacimy. Odpowiedział, że mleka nie ma, bo nie pracuje przy krowach, ale może ugotować nam ziemniaki. Poinformował, że pracuje u bauera Polak, który doi krowy i może on sprzedać mleko, gdy poprosicie go po polsku. Myśmy się zgodzili. Gdy przyszedł Polak i poprosiliśmy po polsku, żeby nam sprzedał trochę mleka, on nam kategorycznie odmówił. Walenty pokazał mu marki niemieckie, ale on zaśmiał się tylko i wyszedł z pokoiku. Rosjanin powiedział nam, że jest on Volksdeutschem. Szkoda, że wcześniej o tym nie wspomniał, nie prosilibyśmy go o nic. Zapytaliśmy Rosjanina, czy możemy się gdzieś przespać. Odpowiedział, że nad nami jest strych i tam możemy przespać się na sianie. Rosjanin chciał nam ugotować ziemniaki, ale nie chcieliśmy czekać, byliśmy zmęczeni. Walenty rozpakował paczkę, którą otrzymał od kuzynki i z nami podzielił się jej zawartością. Szybko zjedliśmy i Rosjanin zaprowadził nas na górę na siano i położyliśmy się spać zostawiając w jego pokoiku swoje bagaże. Nie zdążyliśmy zasnąć, gdy nasz znajomy Rosjanin wszedł do nas po drabinie i ze strachem powiedział: ,,Uciekajcie! Ten przeklęty Polak doniósł na was landwachom we wsi. Oni was aresztują. Co było robić? Walenty i Peter zerwali się, lecz ja już nie mogłem wstać. Powiedziałem: Nigdzie nie idę. Nigdzie nie uciekniemy, bo nas wkrótce złapią. Niech przychodzą i nas zabierają. Zostaliśmy w sianie. Czekaliśmy, ale nikt do nas nie przychodził i zasnęliśmy mocnym snem. Później słyszałem, że ktoś z drugiej strony chlewa

zrzucał siano na drabinki dla krów, lecz do nas nie podchodził. Gdy obudziłem się, było już całkiem widno. Walenty i Peter jeszcze spali. Na dole w chlewie było cicho. Ciekawe, dlaczego do nas nikt nie przyszedł? Widocznie bali się nas. Nareszcie obudził się Walenty, a potem Peter. Usłyszeliśmy na dole tylko fyrkanie koni.

– Zejdę na dół i popatrzę, co się tam dzieje – mówi Walenty – widocznie landwachowie przestraszyli się nas. Może myśleli, że mamy broń.

Zszedł po cichu po drabinie na dół. Za pięć minut wrócił.

– Trzeba uciekać. W pokoju Rosjanina nikogo nie ma, ale ktoś przeglądał nasze bagaże i położył wszystko z powrotem.

Zerwaliśmy się i zaczęliśmy po cichu schodzić po drabinie na dół. Z pokoju Rosjanina spojrzeliśmy na szosę. Na niej nikogo nie ujrzeliśmy. Z drugiej strony chlewa widać było duży dom bauera. Z tej strony wychodzić nie mogliśmy, bo ktoś z rodziny bauera przez okno nas mógł zobaczyć. Można tylko wyjść drzwiami z chlewa od strony szosy. Wyszedłem ostatni i od razu zauważyłem na szosie niemieckiego żandarma, który stał z dużym psem i patrzył na nas. Krzyknąłem wtedy chłopcom:

– Nie uciekajcie! Na szosie stoi żandarm z psem. – Zdążyliśmy tylko wyjść na pole, jak nas okrążyli landwachowie.

– Nie odzywajcie się do nich – uprzedziłem kolegów. – Będę z nimi rozmawiał.

Podszedł żandarm z psem:

– Kto wy jesteście – zapytał ostro.

– Idziemy spod samego frontu – zacząłem mu tłumaczyć. – Gdy kopaliśmy tam okopy w pobliżu frontu, zaczęła się kanonada artyleryjska. Rosjanie strzelali po naszych okopach i nam nasze kierownictwo powiedziało, żebyśmy wracali do swoich bauerów, gdzie wcześniej pracowaliśmy. I idziemy już trzeci dzień do nich. Spojrzeli pytająco jeden na drugiego.

– Skąd jesteście? Dokąd idziecie? – zapytał żandarm.

– Spod Heilsberga i w tamtą stronę idziemy do swoich bauerów – odpowiedziałem. Żandarm poprosił o ausweisy i zapytał o nazwiska bauerów i nasze, zaglądając do dokumentów, które mu daliśmy. Sprawdził czy odpowiedzieliśmy prawidłowo.

– Jaką drogą chcieliście dojść do Heilsbergu? – zapytał.

– Chcieliśmy dojść do Bartensteinu, a stamtąd do Heilsbergu.

– Dlaczego taką okrężną drogą? – zdziwił się żandarm i wszyscy się zaśmiali.

– Nie mamy mapy i krótszej drogi nie znamy – powiedziałem.

Odeszli na bok i naradzali się. Usłyszałem tylko, jak jeden z nich mówił, że widocznie nie jesteśmy niebezpiecznymi ludźmi, lecz takimi, którzy uciekają spod frontu i że trzeba nas zwolnić. Żandarm podszedł do nas oddał nam nasze ausweisy i powiedział, że nie trzeba nam iść do Bartensteinu, a tylko prosto na zachód przejść z 6-7 kilometrów przez pola do drogi, która prowadzi do Bischofsteinu (Bisztynku), a z Bischofsteinu jest szosa do Heilsbergu.

Podziękowałem żandarmowi i landwachom, a Walenty powiedział, że jesteśmy strasznie głodni i poprosił, żeby dali nam trochę chleba na drogę. Niedaleko przy domach stały kobiety i nam się przyglądały. Jeden z landwachów poprosił, widocznie swoją żonę, żeby podeszła do niego i coś jej powiedział. Za dziesięć minut przyszła do nas młoda i przystojna Niemka i przyniosła nam sześć kanapek z serem i mięsem, czego myśmy się nie spodziewali. Serdecznie jej podziękowaliśmy i ucieszyliśmy się, że teraz nie trzeba nam uciekać w nocy, a w dzień bez strachu powoli iść w stronę Heilsbergu, nie bojąc się, że nas złapią i skierują do obozu.

7. Następna doba ucieczki

Poszliśmy przez pola i doszliśmy do żwirowanej drogi, lecz zamiast pójść nią w lewo, poszliśmy w prawą stronę. Wkrótce doszliśmy do wsi Plausen (Paluzy). Zaraz na skraju wsi przy drodze spo-

tkaliśmy przy studni starszą Mazurkę ze swoim pracownikiem Polakiem. Bardzo dobrze mówiła po polsku, bo powiedziała, że jej prababka była Polką. Opowiedzieliśmy skąd i dokąd idziemy i oni nas poinformowali, że idziemy nie w tą stronę, do Bischofsteinu trzeba iść z powrotem. Walenty znowu zaczął narzekać, że jesteśmy głodni i poprosił kobietę o chleb. Mazurka przyniosła nam cały bochen chleba i duży kawałek wędzonej szynki. Gdy dowiedzieli się, że Peter jest Litwinem, pokazali nam w pobliżu drogi dom, gdzie mieszka litewska rodzina.

– Idźcie tam – powiedziała – oni na pewno poczęstują was obiadem.

Gdyśmy weszli do wskazanego domu i Peter zaczął mówić do nich po litewsku, przyjęli nas jak bliską rodzinę. Początkowo poczęstowali nas herbatą, a potem obiadem i po litewsku, rosyjsku i białorusku śpiewali piosenki. Rozmawiali chyba ze względu na nas po rosyjsku, albo po polsku, czasem po litewsku. Spędziliśmy z nimi ponad dwie godziny i wyszliśmy syci w stronę Bischofsteinu. Nie mogłem szybko iść, bo strasznie bolały mnie nogi. Kulejąc szedłem powoli za Peterem i Walentym, którzy mnie wyprzedzili z 50 metrów. Nagle z tyłu podjechał niemiecki bauer szerokim wozem, który ciągnęły dwa konie. Popatrzył na mnie, że kuleję, zapytał się dokąd idę. – Do Bischofsteinu – odpowiedziałem – nogi mnie bolą.

– Siadaj na wóz – zaproponował – podwiozę cię parę kilometrów, bo potem skręcam w lewo, ale stamtąd będzie już niedaleko. Podziękowałem i wsiadłem do wozu, a gdy dogoniliśmy Walentego i Petera, też ich zabrał na wóz. Gdy Niemiec skręcał w lewo zeszliśmy z wozu, zabierając swoje bagaże. Wtedy na nasze szczęście z tej strony, w którą skręcał bauer, wyjechała na drogę do Bischofsteinu cała karawana z uciekinierami spod frontu, podobna do cygańskiego taboru z przykrytymi brezentem wozami. Jechali w nich Niemcy, ale

byli też Rosjanie i Białorusini. Uciekali gdzieś spod Gołdapi. Pozwolono wrzucić nasze bagaże do jednego z wozów, na którym jechała Białorusinka i poszliśmy z tyłu za tą karawaną. W karawanie było około dziesięciu wozów. Doszliśmy z nimi do miasta. Zapadał zmierzch. Karawana skręciła na plac miejski, bo tam miała zatrzymać się na nocleg. Zabraliśmy z wozu nasze bagaże, wyszliśmy na szosę Bischofstein – Heilsberg i postanowiliśmy szukać noclegu. Za miastem weszliśmy do majątku jakiegoś niemieckiego bauera. Gospodarz był w oborze, a przy nim pracowali, karmili krowy, dwaj jeńcy francuscy. Podszedłem do Niemca i zapytałem:

– Czy możemy przespać się gdzieś tutaj na sianie, uciekamy spod frontu.

Popatrzył na nas i powiedział:

– Bez zgody landwachów nie mogę was przyjąć.

– A gdzie możemy znaleźć landwachów?

– We wsi, dwa kilometry stąd. I podał nazwę wsi.

Gdy wyszliśmy z obory podszedł do nas Francuz, który słyszał naszą rozmowę z bauerem i powiedział:

– Nie musicie iść do landwachów, podejdźcie szosą dwieście metrów, po lewej stronie, zobaczycie folwark, tam mieszkają dwie kobiety, które na pewno dadzą wam nocleg.

Tak zrobiliśmy. Podeszliśmy do niedużego domu i zapukaliśmy do drzwi. Wyszła starsza kobieta z latarką i zapytała:

– Was wollt ihr? (Czego chcecie?)

Powiedziałem jej, że uciekamy przed frontem i prosimy o pozwolenie na przenocowanie gdzieś na sianie w stodole. Kobieta zaprosiła nas do pokoju. Weszła do nas dużo młodsza jej krewna, Mazurka, która bardzo dobrze mówiła po polsku z mazurskim akcentem. Nakryły szybko stół obrusem i podały nam obiad. Starsza kobieta płakała, bo jej mąż zginął na froncie rosyjskim.

– Może on tam, tak jak i wy, gdzieś błąka się głodny. – mówiła ze łzami w oczach.

Zapytały nas, gdzie byliśmy i co robiliśmy. Walenty miał dar do opowiadania, mówiąc o naszej męczarni w czasie kopania okopów. Opowiadał po polsku, a Mazurka wszystko co powiedział Walenty tłumaczyła swojej krewnej na język niemiecki. Kiedy już najedliśmy się, Mazurka zaprowadziła nas do stodoły na siano i tam zmęczeni szybko zasnęliśmy. Do Heilsbergu zostało nam jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów, ale już nie musieliśmy się śpieszyć.

Obudziłem się pierwszy. Obok na sianie chrapali Walenty i Peter. Światło przechodziło przez szczeliny stodoły. Chociaż noc była zimna jednak spać w sianie było ciepło. Leżałem i cieszyłem się, że odpocząłem i ból nóg przestał mi dokuczać. Teraz była już inna sytuacja. Wczoraj Niemcy mogli nas aresztować i skierować do obozu pracy. Teraz już byłem spokojny, że nas nikt nie zatrzyma. Nasza metoda, żeby mówić Niemcom, iż uciekamy od frontu, od Rosjan sprawdziła się. Niemcy byli już w takim stanie, że nie zwracali uwagi na osoby uciekające od frontu. Nasze dokumenty wydane w Heilsbergu były prawdziwe i nawet żandarm nie mógł się domyśleć, że uciekliśmy od kopania Niemcom okopów. Dzisiaj spokojnie pójdziemy szosą w kierunku Heilsbergu.

Obudził się Walenty i zobaczył, że już nie śpię powiedział:

– Ale mieliśmy szczęście, że nam udało się oszukać Niemców.

Zerwał się i Peter, słysząc głos Walentego.

– Więc wstajemy i idziemy – popatrzył na nas.

– A po co mamy się śpieszyć – odpowiedział Walenty – przyjdziemy do bauera, to zagoni zaraz do pracy.

– Rzeczywiście – potwierdziłem – pójdziemy teraz powoli. Do Heilsberga jest nie więcej niż 25 kilometrów. Jeżeli dzisiaj przejdziemy ze 20 kilometrów, to będzie dobrze. Po drodze gdzieś przenocujemy na sianie. A jutro dojdziemy do Pomehren.

Wstaliśmy i poszliśmy podziękować Niemkom za nocleg. Czekały na nas ze śniadaniem: jajecznica, chleb z masłem i wędliną i zbożowa kawa. Kobiety jadły śniadanie razem z nami przy jednym

stole. Starsza kobieta mówiła tylko po niemiecku, młodsza, sympatyczniejsza, mówiła do nas po polsku. Powiedziała, że jest kuzynką męża gospodyni i uciekła aż spod Gołdapi, dalej od frontu. Kobiety były ciekawe, skąd jesteśmy, jak tutaj trafiliśmy i dlaczego nie nosimy żółtego znaczka z literą „P” Powiedziałem, że ja i Walenty jesteśmy Białorusinami a Peter Litwinem. Mieszkaliśmy przed wojną w Polsce i dlatego znamy język polski. Białorusini i Litwini nie noszą znaczka. Znaczek noszą tylko Polacy. Starsza kobieta powtarzała ciągle po niemiecku, że boi się, że jej mąż, który zaginął na wschodnim froncie, mógł trafić do niewoli radzieckiej i tam męczy się tak samo, jak my, albo jeszcze gorzej. Wierzyła, że mąż żyje i jest w niewoli radzieckiej. Kiedy odchodziliśmy i podziękowaliśmy im, dały nam na drogę kanapki z serem i wędliną i zaproponowały, abyśmy wybrali coś z ubrania męskiego, które przyniosły ze swoich szaf. Wziąłem tylko dwie koszule, żeby wymienić po drodze na te zawszone, Walenty wybrał jakieś stare spodnie, widocznie jej męża, a Peter – marynarkę. Serdecznie podziękowaliśmy naszym miłym Niemkom i poszliśmy do szosy.

Idąc szosą w stronę Heilsbergu, spotkaliśmy wracającego z końmi z pola do swego gospodarstwa francuskiego jeńca, który poradził nam wczoraj pójść na nocleg do samotnych Niemek. Uśmiechnął się i zapytał:

– Es war alles gut? (Czy było dobrze?)

– Ja, wir danken dir sehr (Tak, bardzo ci dziękujemy) – odpowiedziałem.

Pomachał nam ręką na pożegnanie. Doszliśmy szosą do niedużego lasu, weszliśmy głębiej i tam zrzuciliśmy z siebie nasze zawszone koszule i włożyliśmy świeże. Szliśmy teraz powoli, często zatrzymując się po drodze, siadaliśmy, odpoczywaliśmy, zjadaliśmy nasze kanapki i rozmawialiśmy.

– Teraz Niemcy całkiem się zmienili – mówił Peter – nie są to już ci sami ludzie, których kiedyś spotykałem. Gdy mnie przywieźli

tutaj na początku 1942 roku i pędzili nas do arbeitsamtu w Heilsbergu, po obu stronach ulicy stali Niemcy, starzy i młodzi, a nawet dzieci. Patrzyli na nas, jak na małpy, śmiali się, niektórzy pluli, a małe dzieci podbiegały i kopały nogami tych, którzy szli bliżej chodnika. Jakieś dziecko sypnęło w nas nawet piaskiem.

– Ocknęli się teraz i wiedzą do jakiego nieszczęścia doprowadził ich Hitler – potwierdził Walenty. Chociaż, gdy wsadzili mnie do więzienia w Königsbergu, obchodzili się ze mną gorzej niż z psem: bili po głowie i plecach. Ile wtedy wycierpiałem, tego nie można opowiedzieć słowami. Znęcali się i powtarzali: przyznaj się i przyznaj się. A do czego miałem się przyznać, jeżeli wszystkie ich oskarżenia były zmyślone? Podniósł koszulę i pokazał na swoim ciele szramy od nahajek, które do tej pory były jeszcze widoczne.

Nogi mi przestały boleć, ale zaczął dokuczać brzuch. Na ból brzucha skarżył się też Peter. Po trzech miesiącach głodówki, gdy najedliśmy się do syta tłustej jajecznicy, żołądek dał znać o sobie. Po drodze zaszliśmy na jakąś kolonię i poprosiliśmy o gorącą przegotowaną wodę. Kobieta, która otworzyła drzwi, odmówiła nam twierdząc, że nie ma. To samo powiedziała druga kobieta i tylko trzecia wyniosła z pokoju litr kompotu. Tak powoli zbliżaliśmy się do miasta. Trafiliśmy przy szosie na dosyć zamożny folwark. Walenty poszedł prosić o nocleg w stodole na sianie. Po powrocie powiedział, że w domu jest tylko Niemka z małymi dziećmi, bo mąż pojechał do miasta. Bez zgody męża nie chce nas przyjąć. Musimy na niego poczekać. Zaprasza nas do domu na zupę, którą zaraz podgrzeje. Mnie i Peterowi nie chciało się jeść, odczuwaliśmy jeszcze ból żołądków Walenty był zły, że grymasimy i odmawiamy jedzenia, które załatwił u Niemki. Na jego usilne żądanie zgodziliśmy się pójść do tego domu. Na stole stały już talerze i duży garnek z gorącą zupą. Walenty szybko zjadł dwa talerze zupy, ja z Peterem marudziliśmy i na siłę zjedliśmy tylko po jednym talerzu. Gorąca zupa pomogła nam. Ból osłabł. Kobieta, około lat 30, bardzo zgrabna i sympatyczna intere-

sowała się skąd jesteśmy i dokąd idziemy. Współczuła nam, gdyśmy jej powiedzieli, że już błąkamy się kilka dni i że nasi bauerzy mieszkają 7 km za Heilsbegiem. Po kolacji podziękowaliśmy gospodyni i wyszliśmy na szosę, aby zaczekać na powrót jej męża. Już zrobiło się ciemno, gdy się zjawił. Żona powiedziała, że czekamy na niego, bo chcemy przenocować w stodole na sianie. Skrzywił się, ale stwierdził: „Gdy moja żona wam nie odmówiła, zgadzam się."

Zaprowadził nas do stodoły na siano. Podziękowaliśmy i poszliśmy spać.

8. Ostatnia doba ucieczki

Obudziliśmy się, gdy było już całkiem widno.

– Wstajemy – powiedział Walenty – bo słyszę, że bauer już chodzi po podwórku. Do Heilsbergu zostało jeszcze cztery kilometry a do Pomehren siedem, więc dojdziemy bez pośpiechu.

Wyszliśmy ze stodoły i spotkaliśmy bauera. Był w roboczym ubraniu i widocznie karmił konie, bo na spodniach miał ziarnka owsa. Był to wysoki, łysawy, już niemłody mężczyzna, lat około czterdziestu. Idąc trochę kulał, może dlatego nie zabrali go do wojska.

– Ihr habt tief geschlafen (Mocno spaliście) – stwierdził.

– Ja, wir sind gestern müde gewesen (Tak, myśmy wczoraj byli zmęczeni) – odpowiedziałem.

Popatrzył na niebo i rzekł:

– Das Wet ter ist heute schön und meine Frau hat für euch das Frühstück gemacht. (Pogoda dzisiaj jest piękna i moja żona zrobiła dla was śniadanie). – Spoglądając na nas bauer nieśmiało ciągnął – Mam do was prośbę, czy możecie mi trochę pomóc? Potrzebuję zmłócić owies. Tylko jedną godzinę. – Popatrzyliśmy jeden na drugiego. Nie wypadało odmówić i zgodziliśmy się. Bauer zaprosił nas

do pokoju, gdzie na stole czekało na nas śniadanie: jajecznica, gorące kartofle, masło, kiełbasa, chleb i zbożowa kawa z mlekiem bez cukru. Żołądki nam przestały już boleć, więc zjedliśmy śniadanie z apetytem. Podziękowaliśmy gospodyni i wyszliśmy na podwórko.

Bauer włączył motor i uruchomił młockarnię. Walenty podawał snopy owsa bauerowi, który je wkładał do maszyny, a ja z Peterem odbieraliśmy słomę i nieśliśmy ją do stogu. Młóciliśmy około 50 minut. Potem przy pompie koło domu umyliśmy się. Żona bauera wyniosła nam na drogę kanapki w torebkach. Wyszła z domu z dwiema małymi dziewczynkami. Pożegnaliśmy się z bauerem i jego żoną i poszliśmy powoli do miasta.

W mieście od razu udaliśmy się do fryzjera, żeby nas ostrzygł. Przed trzema miesiącami strzygł nas nożyczkami jakiś Polak w stodole koło Mikołajek. Wszy mieliśmy tylko w ubraniu, ale nie we włosach. Po wyjściu od fryzjera, spotkaliśmy dwóch żandarmów, którzy kazali nam pokazać dokumenty. Żandarm, po przeczytaniu nazwiska mego bauera przypomniał mnie: „A, to tobie kiedyś rodzice w paczce przysłali wódkę."

To on kiedyś przyniósł wyciągniętą z paczki wysłanej mi przez rodziców aluminiową menażkę z wódką, której trochę wylał na podwórku obok domu, a resztę zwrócił. Pisałem o tym wcześniej. Przypomniał sobie ten incydent, oddał mi i kolegom dokumenty i puścił nas wolno.

Pokręciliśmy się jeszcze po Heilsbergu, kupiliśmy co można było kupić bez kartek i poszliśmy w stronę wsi Pomehren. Po drodze zatrzymaliśmy się w lesie, zjedliśmy kanapki, które dostaliśmy od żony bauera, zrzuciliśmy z siebie i zostawiliśmy na krzakach, nasze dolne koszule, na których zauważyliśmy jeszcze kilka wszy i założyliśmy świeże. Do Pomehren przyszliśmy pod wieczór. Pierwszy za lasem był folwark, gdzie mieszkał Walenty i on tam pozostał. Druga kolonia była Petera, a trzecia moja. Gdy mój bauer i jego żona mnie zobaczyli, bardzo się ucieszyli i zawołali Lidkę, która rzuciła mi się

ze łzami na szyję. Nikt nie spodziewał się mego powrotu. Gospodarz zauważył, że schudłem, co było prawdą. Powiedziałem mu, że nas wypuścili aż spod samego frontu. To samo oznajmili swoim bauerom Walenty i Peter. Lidka szybko zagotowała mi gorącej wody, zaniosła na strych do mego pokoju i wylała do dużej miednicy. Nareszcie mogłem dobrze się umyć. Potem zjadłem obfitą kolację i spokojnie u siebie w pokoju mogłem zmęczony zasnąć w czystej pościeli w łóżku pod pierzyną.

9. Ostatnie dni listopada i grudzień 1944 roku w Pomehren

Następnego dnia po powrocie z okopów przystąpiłem do pracy u bauera. Trzeba było rano dać koniom i krowom jeść oraz pić, wyrzucić spod ich gnój i podesłać świeżą słomę, a po śniadaniu rąbać i składać drwa na opał. Zważyłem się i zobaczyłem, że za trzy miesiące schudłem 14,5 kilogramów. Dosyć szybko zacząłem dochodzić do siebie, przybierać na wadze i sile. Lidka prawie przez miesiąc męczyła się z przyniesionymi przeze mnie wszami. Myła bieliznę we wrzątku, prasowała moją marynarkę gorącym żelazkiem, ale to nie pomagało. Gdzieś z gnid, które w zakamarkach ubrania złożyły wszy, rodziły się nowe insekty. Z każdym tygodniem było ich coraz mniej i wreszcie całkiem zginęły. Miejscowi Niemcy uwierzyli, że nas legalnie odesłali do bauerów i nikt nami się nie interesował. Z Katarzyną prawie przestałem się spotykać, a Walenty dalej spoty- kał się z Łorą.

Na początku grudnia wysłano mnie któregoś dnia do kopania okopów we wsi Launau, o jakieś trzy kilometry od mego domu. Bałagan tam był duży. Ziemia zamarznięta, kopać było ciężko. Niespodziewanie wśród kopiących okopy zauważyłem mego dobrego znajomego ze stacji Czeremchy, krawca Andrzeja Wnuczko. Przywitali-

śmy się serdecznie. Okazuje się, że przywieźli go tutaj razem z grupą innych krawców do kopania okopów na jeden dzień aż z samego Guttstadtu, oddalonego o prawie 30 km od nas. Pracował on w mieście w pracowni krawieckiej i karmili ich bardzo źle. Zapytał się mnie czy nie można tutaj kupić kiełbasy czy mięsa. Powiedziałem, żeby szedł ze mną i kupię wędzoną szynkę u syna mego bauera. Urwaliśmy się z okopów i przyszliśmy do mnie. Spotkałem na podwórku Bruno i zapytałem go, za ile marek sprzeda mi 2 kg wędzonej szynki. Podał sumę, a Andrzej się ucieszył, bo miał przy sobie dużo marek. Bruno kazał poczekać chwilę, bo musi po cichu przed rodzicami znaleźć klucz od kłódki od komina na strychu. Sam do komina wszedł, odciął i zważył kawałek szynki. Za 15 minut zjawił się z szynką i obiecał, że za pieniądze on zawsze mi może sprzedać szynkę. Andrzej powiedział , że w styczniu 1945 roku wyśle pocztą mi pieniądze, żebym kupił znowu 2 kilogramy szynki i przesłał mu pocztą. Zgodziłem się. Niestety w styczniu ofensywa radziecka pokrzyżowała jego plany. Poczta przestała działać. Szybko poszedł Andrzej do swojej grupy w Launau, która kopała jeszcze niepotrzebne okopy i z nią razem wrócił do Guttstadtu.

Prenumerowany przeze mnie tygodnik „Nowoje Słowo", który przychodził z Berlina, już od listopada zmienił nazwę na „Wola Narodu". Stał się teraz gazetą wojskową ROA, gen. Własowa. Pisali dużo o armii gen. Własowa, o generale – lejtenancie G. N. Żilenkowie i innych rosyjskich generałach. Pełno było ich zdjęć. Tygodnik zrobił się nieciekawym. Nie było felietonów. Przypuszczalnie redaktorzy poprzedniego tygodnika uciekli z Berlina, nie było komu go redagować i przekazali redakcję ROA.

Pod koniec grudnia w niemieckich gazetach (i w rosyjskiej „Woli Narodu", którą otrzymywałem) podniósł się wielki szum o niemieckiej ofensywie we Francji w Ardenach, która zaczęła się 16 grudnia. Niemcy rozpoczęli ofensywę w pagórkowatej, porosłej lasem miejscowości. Zaatakowali szerokim frontem. Alianci nie

przeczuwali niemieckiej ofensywy w tym miejscu, chociaż Niemcy rozpoczęli swój Blitzkrieg w tym samym miejscu w 1940 roku i wtedy tam rozbili Francuzów i Anglików. Dlatego 20 niemieckich dywizji przerwali front aliantów, poszli naprzód prawie 30 km. i zajęli parę ważnych miast. Gdyby u Niemców w tym czasie było więcej siły, czołgów i lotnictwa mogliby dojść do morza. Jednak sytuacja była inna. Niemcom nie starczało nawet paliwa dla czołgów, a alianci mieli liczebną przewagę nad Niemcami w powietrzu i na lądzie. Pod koniec grudnia alianci zatrzymali niemiecką ofensywę, niemieckie armie przeszły do obrony, a w niektórych miejscach nawet się cofnęli.

W grudniu Armia Czerwona na Węgrzech podeszła na południu od jeziora Balaton pod Budapeszt. W ostatnich dniach grudnia stolica Węgier była okrążona, ale broniła się i tylko 18 stycznia 1945 roku. rosyjscy żołnierze weszli do Pesztu, a dopiero 13 lutego 1945 roku zdobyli Budę. W Pomehren czas do końca 1944 roku przeszedł spokojnie, nic specjalnego się nie zdarzyło. Zima nie była mroźna, na poddaszu w swoim pokoju nie marzłem. Nabrałem sił, nie chorowałem i święta Bożego Narodzenia przeszły bez żadnych wspomnień. Czekaliśmy z niecierpliwością co przyniesie nam nowy 1945 rok.

Rok 1945

1. Styczeń 1945 roku

Pierwsze dni stycznia niczym nie różniły się od ostatnich dni grudnia 1944 roku. Taka sama praca przy krowach i koniach, a potem przy rąbaniu drzewa na opał na całą zimę i takie same spotkania z przyjaciółmi i przyjaciółkami w sobotnie wieczory i niedzielne popołudnia. Front zatrzymał się w Polsce. Linia frontu ciągnęła się od Jasła i dalej szła wzdłuż rzek Wisły i Narwi, a potem w przybliżeniu po starej granicy między Polską, a Prusami Wschodnimi. Szybko dowiedzieliśmy się z niemieckich gazet, że Armia Czerwona 12 stycznia uderzyła na południu Polski, przerwała front niemiecki koło Pinczera, sforsowała rzekę Nidę i 15 stycznia zajęła Kielce. W centrum Polski żołnierze radzieccy zaczęli ofensywę za rzeką Wisłą koło Magnuszewa i Puław 14 stycznia, skręcili na tyły Warszawy i ich lewe skrzydło weszło 16. 01. do Radomia. Na północy Polski z przyczółka na rzece Narwi 13 stycznia Rosjanie przerwali niemiecką obronę na południu Prus Wschodnich i za 5 dni wbiły się w pozycje niemieckie na odległość 45 km. 17 stycznia Niemcy oddali Warszawę, (w której nie było prawie żadnego mieszkańca, Niemcy wypędzili ich po upadku Powstania Warszawskiego) i Częstochowę, a 19 stycznia Kraków.

22 stycznia Armia Czerwona zajęła Allenstein (teraz – Olsztyn), 26 stycznia – Tolkemit (teraz – Tolkmicko) nad Zalewem Wiślanym, odcinając Prusy Wschodnie od Zachodnich, a 31 stycznia od wschodu – Heilsberg. Na wieś Pomehren oddziały radzieckie nacierały z południa od strony Wossenden.

2. Ostatnie dni przed wyzwoleniem

1 lutego 1945 roku

Wczoraj żołnierze radzieccy zajęli miasto Heilsberg, które leży 7 km na wschód od wsi Pomehren (teraz – Pomorowo). U nas było widać pożary w Heilsbergu. Wieczorem i w nocy nad lasem na wschodzie niebo było czerwone od płonącego miasta.

Dzisiaj, jak i kilka dni wcześniej, po drodze z Heilsbergu do Launau Niemcy uciekają na zachód. Na ich furmankach, jak kiedyś u Cyganów, leżą artykuły żywnościowe, nawet zabite świnie, kury i gęsi w klatkach. Za furmankami idzie pieszo wielu uciekinierów z bagażami. Po zamarzniętej piaszczystej wyboistej drodze przejeżdżają wojskowe samochody, motocykle, to w jedną, to w druga stronę. Przy tej drodze znajdują się kolonie, bauerów, u których pracują Walenty z Naścią i Peter z Konstantym. Droga biegnie jakieś 100 m od kolonii mego bauera i stąd widać ruch furmanek i samochodów, ale nie ma czasu ich oglądać.

Prostopadle do tej drogi, w pobliżu stodoły mego bauera, prowadzi droga do Wossenden. Na niej jest pusto, tylko od czasu do czasu przechodzą tam niemieccy żołnierze. Na południu w pobliżu Wossenden słychać strzały, widocznie tam trwają walki.

Jeszcze wczoraj mój bauer, załadował furmankę artykułami żywnościowymi, innymi rzeczami, klatką z żywą świnią i pojechał z żoną na zachód. Po drodze miał spotkać się z rodziną teścia i swoją trzechletnią córką, wychowywaną przez teściów, którzy też uciekali swoją furmanką. Na ich kolonii zostali tylko sami przymusowi pracownicy, Ukrainiec Wania i Białorusinka spod Białowieży, Maria.

Na naszą kolonię przyszli z Wossenden siostra bauera z mężem i trzynastoletnią ładną córką i zostali w domu bauera. Nie chcą uciekać. Z nimi został najmłodszy jedenastoletni syn bauera, Bruno,

który jeszcze niedawno chodził do szkoły w Pomehren. Jak każdego dnia, karmimy krowy i Lidka je doi. Drzewa na opał już nie rąbiemy.

Na podwórku żołnierze niemieccy ustawili kuchnię polową, a w lewym skrzydle domu, gdzie kiedyś mieszkały uciekinierki spod Berlina, rozmieścił się sztab wojskowy, którym dowodzi pułkownik. Do sztabu często przychodzą niemieccy oficerowie. Zauważyłem majora z trzynastoletnim chłopcem w wojskowym ubraniu, którzy przyjechali nie samochodem, a dwukonną bryczką. Zwróciłem uwagę na tego żołnierzyka, niedużego wzrostu, który dobrze mówił i po niemiecku i czysto, z dobrym akcentem po rosyjsku. Był on ordynansem pułkownika. Możliwie, że to syn jakiegoś rosyjskiego emigranta, który trafił do Niemiec po rewolucji 1917 roku. Chłopak dobrze znał rosyjski język literacki, często deklamował wiersze Puszkina i Lermontowa, a nawet pochwalił się, że zna na pamięć cały poemat „Jewgienij Oniegin". Na moje pytania odpowiedział tylko, że nauczył się wszystkiego w Berlinie i natychmiast zapytał mnie, czy mieszkałem wśród bolszewików.

– Tak, mieszkałem i uczyłem się w szkole w latach 1939-1941, kiedy Polskę zajęli bolszewicy – odpowiedziałem.

– Jesteś Polakiem? – zaciekawił się.

– Nie, jestem Białorusinem, ale przed wojną mieszkałem w Polsce.

– Polski już nie ma i nie będzie – odpowiedział arogancko chłopak i odwróciwszy się poszedł do sztabu.

Radzieccy żołnierze atakowali z południa, ale widocznie Niemcy ich zatrzymali. Front zatrzymał się na wschodzie i południu. Czasem gdzieś z południa nadlatywał pocisk i wybuchał w polu. Wiejską ciszę naruszały dźwięki dalekich wystrzałów i wybuchów. Nie wiem dlaczego zrobiło się cicho na wschodzie, chociaż Heilsberg był już w rękach radzieckich. A do miasta tylko 7 kilometrów.

Po obiedzie przyprowadzili na kolonię grupę własowców, chyba ze trzydzieści osób. Byli to młodzi chłopcy w niemieckich mundu-

rach z emblematami w rosyjskim języku na rękawach ROA (Russkaja Oswoboditielnaja Armija) i rozmawiali między sobą po rosyjsku. Nie pracowałem, więc chodziłem po podwórku i słuchałem o czym mówili między sobą Niemcy i własowcy. Pierwsi narzekali na swoich niemieckich żołnierzy, którzy na południu Prus Wschodnich nie dali rady utrzymać frontu i wpuścili tutaj sowieckich żołnierzy. Według ich na wschodzie Prus Wschodnich front stał na miejscu. Własowcy nie skarżą się, czasem nawet opowiadają jakieś kawały, ale czuje się w ich oczach strach przed jutrem. Nie wiedzą czy jutro nie spotka ich śmierć. Mnie szkoda ich. Nie wiem, co przyprowadzi- ło ich w szeregi armii Własowa? Czy poglądy polityczne, czy głód? Możliwe, że jedno i drugie. O bolszewikach nic tutaj nie mówią. Wi- dać, że walczą oni z Armią Czerwoną wspólnie z oddziałami nie- mieckimi.

Lidka gotuje sobie i mnie jedzenie. Niemcy z kuchni polowej dali mi menażkę zupy z koniną. Pierwszy raz spróbowałem w życiu końskie mięso, które mi smakowało.

Pod wieczór chciałem odwiedzić Ukraińca Wanię i Białorusinkę Marię na dalszej kolonii i przy okazji wracając zajrzeć do Katarzyny. Po drodze musiałem przejść przez pagórek. Gdy dochodziłem do niego z zachodu, z południowej strony zagwizdały przede mną kule. Na pagórku stałbym dobrym celem dla snajpera. Skąd oni strzelali? Czyżby Wossenden już zajęli Rosjanie? Gdzie biegnie linia frontu? Raptem kula uderzyła w ziemię w pobliżu mnie. Pobiegłem do tyłu. Nie warto było ryzykować. Wkrótce przyszedł do nas Walenty. Z Lidką porozmawialiśmy z nim i gdy zapadał zmierzch wrócił do siebie.

Lidka zostawiła swój pokoik z oknem do sadu i przeniosła się do mego pokoju na strych. Bała się tam zostać na noc. Żeby dojść do jej pokoiku, trzeba było przejść przez duży pokój, w którym na podłodze spali niemieccy oficerowie. Chociaż z ich strony nie usłyszała żadnej nieprzyzwoitej propozycji, to jednak bała się, że w nocy może

któryś z nich zechce do niej wejść. A drzwi od dużego pokoju nie były zamykane na klucz. Łóżko w moim pokoju było szerokie dwuosobowe z pierzynami, tak że nam nie było ciasno i zimno pod pierzyną, chociaż na dworze było kilka stopni poniżej zera.

2 lutego 1945 roku

W moim pokoju stał duży drewniany stół, krzesło i szerokie łóżko, w którym spaliśmy. W pokoju rano było chłodno i nie chciało się nam długo wychodzić spod pierzyny. W pokoju nie ma okna, i nie mieliśmy zegarka, więc nie wiedzieliśmy która jest godzina. Nikt już nas rano nie budził do pracy. Jednak w końcu wstaliśmy i zeszliśmy na dół. Lidka wydoiła krowy, a ja zrzuciłem im na drabinki, wiszące nad ich głowami, siano. Stały one na drewnianej podłodze i trzeba było z niej codziennie zrzucać gnój i podścielać na podłodze świeżą słomę.

Na podwórku, tak jak i wczoraj, kręcili się żołnierze niemieccy i rosyjscy z armii Własowa. Jednak byli to już inni ludzie niż wczoraj. Sztab wojskowy w lewym skrzydle domu dalej pracował. Młodziutki ordynans pułkownika chodził po podwórku, rozmawiał z niemieckimi i rosyjskimi żołnierzami, którzy byli w stosunku do niego grzeczni. Czasem wychodził do niego pułkownik i po cichu coś do niego mówił. Zrozumiałem, że to nie służbowa, a przyjacielska rozmowa. Nie miałem odwagi zapytać się go, czy pułkownik jest jego krewnym, bo wątpiłem czy on by mi odpowiedział na to pytanie.

Dwa konie, które przywiozły go z majorem bryczką, stały w chlewie i doglądali je niemieccy żołnierze. Rano czyścili, dawali im owies i wodę. Konie były gładkie i czyste. Ordynans czasem zaglądał do obory z końmi, sprawdzał czy jest tam wszystko w porządku i dawał jakieś polecenia żołnierzom.

Niespodziewanie około godziny dziesiątej wrócił bauer Spannenkrebs z końmi, częścią artykułów żywnościowych i furmanką. Jego żona z córką i świnia w klatce zostały z teściem i pojechały

gdzieś dalej. Rozprzęgłem konie, zaprowadziłem je do chlewu i postawiłem niedaleko koni pułkownika. Przywitali się z nim jego siostra ze swoim mężem i córką i jego syn Bruno. Bauer przekroczył już 63 rok życia, lekko kulał, i chodził z kijkiem. Jego siostra, jak mi powiedział Bruno, miała już ponad 53 lata, a jej mąż 65 lat. Ogromnie się zdziwili, gdy zobaczyli Josefa.

– Dokąd miałem uciekać w zimie – powiedział. – Pamiętam Rosjan z 1914 roku, kiedy na parę dni weszli do Prus Wschodnich. Byli dobrymi ludźmi. Nikomu wówczas krzywdy nie zrobili.

Wtedy nie przypuszczał, że Niemcy i Rosjanie za te 30 lat zmienili się nie do poznania. Niemieckie barbarzyństwa w Rosji i w innych republikach radzieckich i propaganda nienawiści wywołała wśród żołnierzy radzieckich chęć zemsty na całkiem niewinnych Niemcach, nawet na starcach i kobietach. Tak u jednych jak i u drugich zmieniły poglądy, ideologia faszystowska i komunistyczna oraz warunki życia.

Podwórze ze wszystkich stron było osłonięte budynkami: na wschodzie domem, z zachodu ogromną stodołą, a z południa i północy chlewami. Budynki chroniły nas przed kulami, które przylatywały z południa. Pod wieczór po stronie południowej stodoły wybuchł pocisk artyleryjski. Widziałem jak fala od wybuchu tego pocisku ledwie nie zwaliła z nóg żołnierza własowca, ale on nawet nie został ranny. Byłem metrów ze 30 od miejsca wybuchu, ale usłyszałem tylko huk, poczułem podmuch powietrza i zobaczyłem kurz.

W tym czasie podszedł młody ordynans.

– Dobrze, że nikt nie został ranny – powiedział po rosyjsku do mnie, a potem popatrzywszy dziwnie na mnie, zapytał:

– Dlaczego nie uciekasz od bolszewików?

– A dokąd mam uciekać, gdy nawet mój gospodarz wrócił? – odpowiedziałem.

– Przekonasz się później, gdy zedrą z ciebie skórę. Nie cierpią tych, którzy mieszkali w Niemczech, bo zobaczyli inne życie. – odparł.

– Niemcy zostawią im Pomehren? – zapytałem.

Złośliwie popatrzył na mnie i powiedział:

– Jeżeli zostawimy, to wkrótce wrócimy, ale ciebie już tutaj nie będzie. Wywiozą ciebie do obozu, albo rozstrzelają – odrzekł i odszedł ode mnie.

Niemcy i własowcy poszli spać na siano na poddasze nad oborami i do stodoły w słomie. W nocy do naszego pokoiku przyprowadzili do spania czterech Rosjan w czarnych mundurach. Przypuszczam, że byli to pracownicy organizacji TOD, którzy prowadzili prace przy linii frontu. Jeden z nich podszedł do naszego łóżka, poświecił elektryczną latarką i powiedział kompanom po rosyjsku:

– Zdieś spit muż z żenoj. – Położyli się spać na podłodze w pobliżu naszego łóżka. Ale wczesnym rankiem szybko wstali, wyszli i więcej ich nie widzieliśmy. Więc rano wstaliśmy, ubraliśmy się i wyszliśmy zjeść śniadanie.

3 lutego 1945 roku

Od wczoraj nic się nie zmieniło. Na dole pod nami ten sam sztab wojskowy, a na podwórku niemieccy żołnierze i własowcy. Pod dachem, gdzie rąbaliśmy drwa na opał, pracuje kuchnia polowa. Chowamy się pod dachy, bo w powietrzu często wybuchają pociski. Odłamki lecą z góry, przeważnie omijając nasze podwórko. Rzadko kiedy spadał jakiś odłamek na trawę podwórka. Nikt nigdy nie został tutaj ranny. Chociaż front jest już blisko, nie widziałem ani rannego ani zabitego żołnierza. Widocznie spod linii frontu odwożą ich gdzieś dalej.

Dzisiaj kucharz kuchni polowej poczęstował mnie kaszą z mięsem.

– To nie konina, a świnina – uprzedził kucharz. Rzeczywiście inny smak. Skąd oni wzięli świninę? Niedużą świnkę, która została w chlewie bauera Niemcy nie zabrali żołnierzom na mięso, siostra bauera chodzi do chlewa i ją karmi. Dowódcy często zbierają żołnie-

rzy, ustawiają ich w szeregi i prowadzą na drogę w kierunku Wossenden, a innych przyprowadzają na odpoczynek. Drogą do Launau jedzie już mniej uciekinierów, a czasami nikogo nie widać.

Kilometr na północ od naszego folwarku, za budynkami bauerów Petera i Walentego płynie dosyć szeroka rzeka Alein (teraz – Łyna). Z okna na poddaszu widać, jak Niemcy za rzeką przygotowują linię obrony i pędzą tam pracowników z oddziałów TOD kopać okopy. Dobrze, że nas, pracowników przymusowych nie zmuszają im pomagać.

Front chyba na jakiś czas zatrzymał się i jego linia koło nas nie zmienia się. Nie widać ani czołgów, ani maszyn bojowych. Czas płynie powoli, jak gdyby wszystko zastygło, tylko słychać dalekie strzały. Słaby mróz trzyma, i na zamarzniętej ziemi leży cienka warstwa śniegu. Pod wieczór nadleciał ze wschodu rosyjski samolot, obniżył swój lot nad drogą Heilsberg - Launau i zaczął strzelać z karabinu maszynowego po uciekinierach, czy po niemieckich żołnierzach. Zrobiło się ciemno i nie widać było od nas kto był w tym czasie na drodze. Samolot zawrócił na wschód i poleciał nisko w pobliżu naszej kolonii i nikt do niego nie strzelał nawet z karabinu. Poleciał w stronę Heilsbergu.

Po zmierzchu przyszedł do nas Walenty i zaprosił mnie z Lidką do siebie. Jego bauer z żoną pozostali na kolonii, nie chcieli uciekać na zachód. Gospodarz okazał się skromnym i spokojnym człowiekiem. Walenty żył z nim w zgodzie i nawet podpowiadał co ma robić w gospodarstwie. W latach 50-tych pisał mi do Leningradu z obwodu mołotowskiego, gdzie się znalazł., że zakopali oni przed przyjściem Armii Czerwonej dużą ilość złotych wyrobów, które bauer chciał przechować i nie wiadomo, co się z nimi później stało. Naprzeciw ich kolonii mieszkał bauer, który nie posiadał pracowników przymusowych. Miał żonę i dwie dorastające córki, które stały przy bramie i spoglądały, jak przechodziliśmy z Walentym. Na kolonii, gdzie mieszkał Walenty z Naścią i gdzie stały dziewczynki nie było

ani niemieckich żołnierzy, ani własowców. Tutaj było spokojnie. Wówczas gdyśmy tam byli, nie słyszeliśmy, żeby przed domem jechali uciekinierzy, lub jakiś samochód wojskowy. Nikt nas nie zatrzymał i nie sprawdzał u nas dokumentów. Gdy weszliśmy do pokoiku, w którym mieszkał Walenty, przyszła do niego Naścia, wyciągnął on ćwiartkę mocnego samogonu, który przysłali mu kiedyś rodzice i nas poczęstował. Wypiliśmy, zagryźliśmy wędliną z chlebem, życzyliśmy sobie szczęśliwie doczekać szybkiego wyzwolenia. Rozmawiając nie zauważyliśmy, że zrobiło się całkiem ciemno. Wracać na naszą kolonię w nocy było już niebezpiecznie i zatrzymaliśmy się u niego na noc. Walenty poszedł z Naścią do swego łóżka a ja z Lidką położyliśmy się na materacach na podłodze. Po alkoholu szybko zasnęliśmy.

4 lutego 1945 roku

Późnym rankiem wróciliśmy od Walentego. Na podwórzu u nas było niby wszystko jak wczoraj, ale widać było, że Niemcy szykują się zostawić Pomehren Rosjanom. Już nie było własowców, pozostali tylko niemieccy żołnierze. Sztab pracował jednak dalej. Młody ordynans pułkownika spacerował po podwórku, zachodził do koni do obory, podchodził do bryczki, która stała obok sadu, i sprawdzał czy w niej nic nie brakuje.

Bauer ze szwagrem już napoili i nakarmili konie i krowy, a siostra bauera wydoiła krowy. Mnie i Lidkę nie zmuszali już do pracy i traktowali nas grzecznie. Bauer dał nawet Lidce klucz od komina na poddaszu przy moim pokoju i prosił przynieść jemu i nam wędzonej szynki. Lidka przygotowała sobie i mnie obiad na kuchni z artykułów żywnościowych bauera. Po obiedzie wybuchł jakiś nieduży armatni pocisk za stodołą. Koło drugiej godziny po południu wyszedł że sztabu pułkownik, wezwał do siebie młodego ordynansa i zaczął z nim rozmawiać po francusku. Widocznie, pułkownik nie chciał, aby ktoś zrozumiał co on do niego mówi. W 1939 roku przez

krótki okres czasu uczyłem się w technikum w Brześciu języka francuskiego. Zapamiętałem ze trzydzieści słów i dlatego teraz domyśliłem się, że rozmawiają po francusku.

Po odejściu pułkownika do sztabu, ordynans dał rozkaz żołnierzom zaprzęgać konie do bryczki, co natychmiast wykonali, a on wszedł do sztabu. Za piętnaście minut wyszedł ze sztabu ordynans w płaszczu i z walizeczką w ręku, podszedł do bryczki, położył walizeczkę i czekał. Niebawem wyszedł ze sztabu pułkownik z majorem i ze sztabowym kapitanem. Ich walizki i bagaże za nimi przynieśli żołnierze. Pułkownik kazał bagaże poukładać do bryczki i pułkownik z majorem usiedli na tylne siedzenie, a ordynans z kapitanem na przednie. Ordynans uderzył lejcami konie i pomachał nam na pożegnanie ręką. Przejeżdżając obok mnie i Lidki, odwrócił się i krzyknął po rosyjsku: „My skoro wierniomsia!" Bryczka z dowództwem wyjechała na drogę za stodołą i pojechała w kierunku Launau.

Żołnierze niemieccy nie odreagowali na wyjazd oficerów. Pomyślałem wówczas: „Widocznie i oni stąd szybko wyjadą". Ale do wieczora nic się nie zmieniło. Kuchnia polowa pracowała i szykowała kolację dla żołnierzy. Zjedliśmy z nimi kolację i poszliśmy spać na poddasze.

Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze zasnąć, jak zahuczała kanonada. Pociski artyleryjskie wybuchały to z jednej, to z drugiej strony kolonii. Lidka złapała poduszkę i prosiła, żebym szedł z nią do piwnicy, zostawać tutaj było niebezpiecznie. Mógł przecież pocisk trafić w dach domu. W piwnicy było cicho. Ani bauer z synem, ani rodzina jego siostry nie chowali się, a pozostali w swoich pokojach. Posiedzieliśmy we dwoje pół godziny w piwnicy i czując, że jest już cicho, że nikt więcej nie strzela, postanowiliśmy wrócić do swego pokoju. Otworzyłem drzwi domu i wyjrzałem na podwórze. Nie było już ani żołnierzy, ani kuchni polowej. Szybko i cicho nas opuścili. W pokojach też było cicho, ale nie wypadało mi do nich zaglądać. Na poddaszu wyjrzałem przez północne okno. Było ciemno, tylko gdzieś dale-

ko za rzeką były słyszalne dźwięki wystrzałów i widać było błyski ogni.

– Na pewno już jutro przyjdą Rosjanie. – powiedziała Lidka. Poszliśmy do łóżka i szybko zasnęliśmy. Nawet nie pamiętam, aby tej nocy coś mi się przyśniło.

3. Dzień wyzwolenia

5 lutego 1945 roku

Rankiem z północnej strony naszego domu, przy samej ścianie zatrzeszczał, jak szalony, karabin maszynowy. Ja z Lidką zaspani po niespokojnej nocy, wyskoczyliśmy z łóżka i zaczęliśmy szybko się ubierać. Chociaż na dworze był nieduży mróz, w naszym pokoju na poddaszu było zimno. Usłyszeliśmy, że na dole ktoś otworzył drzwi do domu i odezwał się po rosyjsku. Przez dwie-trzy minuty usłyszeliśmy gruchot butów po schodach na poddasze. Tylko zdążyliśmy się ubrać, gdy w drzwiach ukazało się czterech rosyjskich żołnierzy.

– Wy kto? – zapytał jeden z nich.

– Jesteśmy przymusowymi robotnikami przywiezionymi tutaj – odpowiedziałem po rosyjsku.

Do pokoju weszło trzech żołnierzy w szarych szynelach z automatami w ręku, czwarty został przed drzwiami. Zaczęli pytać nas, jak tutaj żyliśmy, rozglądając się po pokoiku.

– Sami widzicie w jakich warunkach mieszkaliśmy – odpowiedziałem.

– Czy masz może papierosa? – zapytał jeden z nich. Nie paliłem tytoniu, jednak kiedyś mi ojciec przysłał z Czeremchy machorkę – samosiejkę, która od dawna leżała w szufladzie. Wyciągnąłem ją i oddałem. Żołnierze przygotowali kawałki gazety, robili skręty i palili. Potem wszyscy razem zeszliśmy na dół. Radziecki pułkownik zajął prawe skrzydło domu na swój sztab. Bauera z synem i rodzinę

jego siostry wypędzili do lewego skrzydła domu, gdzie wczoraj był jeszcze sztab niemiecki. Jeden z oficerów ujrzawszy Lidkę, kazał jej przygotować śniadanie. Zostałem w sieni z szeregowcami. Żołnierze zapytali, co tutaj robiliśmy i w jakich warunkach żyliśmy? Podszedł do nas bauer Josef Spannenkrebs.

– Kak tam Hitler? – zapytał jeden z żołnierzy.

Bauer usłyszawszy nazwisko swego wodza odpowiedział: „Hitler ist kaput!"

Żołnierze zaśmiali się z jego odpowiedzi i jeden z nich zapytał: Jak się on do ciebie odnosił?

– Jeżeli chcesz, to wyprowadzimy go i rozstrzelamy! – spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Nie chciałem tego i zacząłem im tłumaczyć, że nie był on złym człowiekiem. Niemiec patrzył na mnie i nie rozumiał, że ratuję mu życie. Gdybym tylko powiedział, żeby go rozstrzelali, bez skrupułów by to zrobili.

Raptem jeden z żołnierzy, wskazując palcem na rękę bauera, zapytał: „Ur?". Bauer, nie spodziewając się nic złego, wyciągnął z kieszonki spodni zegarek na łańcuszku, otworzył wieczko, pokazując godzinę. Żołnierz wziął zegarek do ręki, popatrzył na cyferblat, odpiął łańcuszek, popatrzył jeszcze raz na zegarek i schował go do swoich spodni. Inni żołnierze patrzyli i uśmiechali się. Widocznie dla nich to było normalne zjawisko.

Potem rozeszliśmy się. Przebywać na podwórku było niebezpiecznie, bo Niemcy zza rzeki strzelali szrapnelowymi pociskami, które wybuchały wysoko w powietrzu i odłamki leciały na dół. Wszedłem do lewej części domu. Przy ścianie zachodniej, obok okna siedział bauer z synem Bruno, siostrą bauera z jej mężem i 13-letnią córką. Było z nimi kilku żołnierzy radzieckich i dwie Polki, dziewczyny ponad dwudziestopięcioletnie, które nie wiadomo skąd się tutaj znalazły. Nie widziałem ich nigdy wcześniej. Żołnierze wchodzili i wychodzili. Niemcy jedli na śniadanie kanapki z czarnego chleba z masłem i mięsem, częstowali mnie i żołnierzy. Kuchnia,

przy której kręciła się Lidka, była zajęta dla oficerów i nie wolno tam było wchodzić. Zajrzałem tam tylko raz, żeby napić się zbożowej kawy. Lidka smażyła placki z pszennej mąki dla oficerów. W piwnicy stała w workach pszenna mąka bauera.

Żołnierze zapytali mnie, skąd znam tak dobrze język rosyjski, skoro urodziłem się w Polsce. Powiedziałem, że w latach 1939-1941 województwo białostockie było zajęte przez ZSRR i wtedy uczyłem się języka rosyjskiego w radzieckiej szkole. I niespodziewanie wtedy podszedł jeden z żołnierzy i krzyknął: „Nie słuchajcie go, to na pewno własowiec, albo niemiecki policjant!”. Tłumaczyłem mu, że nie mogę być niemieckim policjantem, bo pracuję tutaj dwa lata na przymusowych robotach, o czym może poświadczyć rodzina niemieckiego bauera, który siedzi pod ścianą.

– Czy powinniśmy wierzyć Niemcom? – Wybuchnął on i poczerwieniał ze złości. – Szkoda, że nie mam czasu z tobą się rozprawić, bo idę na pierwszą linię frontu, ale jeszcze tu wrócę. – odwrócił się i wyszedł.

Zdenerwowałem się, ale inny żołnierz, który siedział obok mnie powiedział: -Nie zwracaj na niego uwagi. Na froncie różnych ludzi można spotkać. Możliwe, że mu zrobił krzywdę jakiś policjant niemiecki.

Po obiedzie zjawił się w naszym pokoju jeszcze młody, niskiego wzrostu kapitan – oficer polityczny w ciemnogranatowym płaszczu. Podszedł do Niemców i zaczął im tłumaczyć dosyć zrozumiale po niemiecku z rosyjskim akcentem, że radziecka armia tutaj przyszła, żeby zniszczyć nie Niemców, lecz tylko niemiecki faszyzm. – Chcemy tylko was oczyścić z trucizny faszyzmu – mówił.

Uważnie przysłuchiwałem się tej propagandzie i z uwagą słuchali go Niemcy. Wówczas weszła Lidka i usiadła przy mnie na tapczanie.

– Posiedzę z tobą, bo w kuchni sprzykrzyło się piec placki. Czepiają się mnie, robią nieprzystojne propozycje. Niech myślą, że jestem twoją żoną.

Nie przypuszczałem, że z powodu Lidki spotkają mnie nieprzyjemności. Gdy usiadła obok mnie, zauważyłem, że oficer polityczny, który rozmawiał z Niemcami zaczął spoglądać niezadowolony w moją stronę. Nie mogłem zrozumieć w czym sprawa, ale on nie wytrzymał, podszedł do mnie i zapytał po niemiecku:

– Haben Sie Frau? (Czy ma pan żonę?)

Odpowiedziałem mu, że nie jestem Niemcem. Nic nie odrzekł i odszedł. Lidka nadal siedziała obok mnie. Niebawem kapitan znowu podszedł do mnie i zadał mi to samo pytanie po niemiecku, jak przed chwilą. Odpowiedziałem mu tak samo, że nie jestem Niemcem. Wtedy ze złością zapytał mnie już po rosyjsku:

– Jesteś niemieckim policajem?

– Ależ skąd! Niemcy mnie tutaj siłą przywieźli na przymusowe roboty do tego bauera. Jestem tutaj już dwa lata. Może pan zapytać Niemców. U tego bauera pracowałem cały czas.

– Ile masz lat?

– Skończyłem osiemnaście. Urodziłem się w dwudziestym szóstym roku w listopadzie – odpowiedziałem.

– Nie wierzę, jesteś starszy – popatrzył na mnie podejrzliwie.

– W moim pokoju na górze są dokumenty!

– To proszę mi pokazać – rozkazał kapitan.

Ze mną i kapitanem poszło na poddasze jeszcze trzech żołnierzy. Znalazłem swoje szkolne świadectwa z IV, V i VI klasy powszechnej szkoły i z VI i VII klasy średniej szkoły białoruskiej. Były schowane w moim pamiętniku, który zacząłem pisać od przyjazdu na przymusowe roboty do Prus Wschodnich. W nim od czasu do czasu w języku rosyjskim pisałem swoje wspomnienia, wrażenia i zdarzenia od 20 marca 1943 roku do lutego 1945 roku. Kapitan brał wszystkie moje świadectwa, patrzył na datę mych urodzin i rzucał je po chamsku na podłogę. Nareszcie wziął mój pamiętnik i zaczął przeglądać jego strony i czytać to, co napisałem. Wtedy kapitan ostatecznie upewnił się, że nie jestem policajem niemieckim i odezwał się:

– Możesz mi podarować ten pamiętnik?

Szkoda mi go było, ale nie odważyłem się powiedzieć, że się nie zgadzam. Wyraziłem zgodę. Pozbierałem z podłogi moje szkolne świadectwa i chciałem je schować, gdy kapitan powiedział:

– Wiesz dlaczego do ciebie się przyczepiłem? Nie kapujesz? Oj, jaki jesteś nierozgarnięty! Przecież wiesz, że żołnierze przez dwa-trzy lata nie żyli ze swymi żonami, a ty siedziałeś razem z dziewczyną i ich denerwowałeś. Zwróciłem ci uwagę, a ty nie zrozumiałeś i nadal byłeś z nią. Musiałem was rozdzielić.

W tym czasie do kapitana podszedł jego ordynans, chyba jakiś Uzbek, czy Tadżyk, zasalutował i ze wschodnim akcentem zapytał:

– Tawarysz kapytan, wywesty jewo i rasstrelat? (Towarzyszu kapitanie, wyprowadzić go i rozstrzelać?). – Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, ale już bez strachu.

– Niet, nie nada! – ze złością odpowiedział kapitan. Ale gdyby kapitan wyraził zgodę, on chętnie by to zrobił. Ordynans odszedł. W tym czasie jeden z żołnierzy, który był razem z nim, zainteresował się butami z cholewami na moich nogach, które przywiozłem jeszcze z Czeremchy. Kazał mi przy kapitanie je zdjąć. Żołnierz próbował nałożyć buty na swoje nogi, ale nie mógł, były za małe. Jednak mi butów nie zwrócił. Musiałem włożyć na nogi stare trzewiki.

W tym momencie niepotrzebnie zjawiła się Lidka. Martwiła się widocznie, co ze mną robi kapitan. Był to jej drugi błąd. Gdy żołnierze i kapitan zobaczyli ją, powiedzieli mi zejść na dół, a jej kazali zostać. Lidka mi mówiła, że chcieli ją zgwałcić, ale rzekomo ona wypłakała u kapitana, aby dali jej spokój. Niby jeden z żołnierzy ujął się za nią i powiedział: „Zostawcie ją, przecież wam Niemek nie brakuje". Kapitan zaś przyglądał się temu wszystkiemu i milczał. Żołnierz, który tam był, wieczorem mi powiedział, że dwóch żołnierzy ją zgwałciło. O sobie nie mówił.

Gdy wróciła z poddasza Lidka, przyszedł do nas Walenty i zaproponował, abyśmy przyszli do niego na całą noc, bo Naścia przygotowała nam kolację. Gdy wyszliśmy z domu zatrzymał nas ordy-

nans kapitana, ten sam Uzbek czy Tadżyk, który chciał mnie rozstrzelać. Zapytał się dokąd idziemy, pozwolił iść tylko Lidce i Walentemu, a mnie zawrócił do domu. Poszedłem znowu do pokoju z Niemcami i żołnierzami radzieckimi. Zrobiło się ciemno i Niemcy zapalili dwie świeczki. Nagle z krzykiem wtargnął do pokoju pijany żołnierz i zaczął domagać się, żeby dali mu 13-letnią córkę siostry bauera. Prędko ją schowali z oczu rozjuszonego pijanego żołnierza, okręciwszy dywanem, ale on wyjął nóż i zaczął krzyczeć, że porżnie wszystkich Niemców. Znalazł się jednak jakiś uczciwy żołnierz, który pobiegł do drugiej połowy domu, do sztabu i wezwał stamtąd oficera. Pijanego żołdaka aresztowali i gdzieś wyprowadzili. Zrobiło się cicho. Zgasły świece. Zasnąłem siedząc na kanapie i przespałem razem z Niemcami i żołnierzami radzieckimi aż do rana. Chociaż byłem zdenerwowany, zmęczenie przeważyło. Zresztą tak na siedząco spali wszyscy w pokoju. Nie było miejsca, żeby gdzieś się położyć, a do swego pokoju na strychu bałem się iść. Nie wiadomo, kto tam mógł w nocy być.

4. Cztery dni po wyzwoleniu

6 lutego 1945 roku, pierwszy dzień po wyzwoleniu

Było już widno na dworze, gdy obudziłem się, siedząc na tapczanie. W pokoju znajdowało się pełno radzieckich żołnierzy. Bauer z rodziną siostry i z synem jedli śniadanie i dali mi parę kanapek. Żołnierze widocznie zjedli śniadanie w kuchni polowej, która stała na podwórku. Nie zdążyłem jeszcze zjeść ostatniej kanapki, gdy przyszedł jakiś starszy sierżant i rozkazał mi, memu bauerowi i jego szwagrowi iść kopać grób dla zabitych żołnierzy radzieckich.

Poprowadził nas na kolonię bauera Petera i Konstantego. Kiedy szliśmy, wysoko w niebie wybuchały pociski, które wystrzeliwali Niemcy zza rzeki Alein. Gdy weszliśmy na ich podwórko, zastaliśmy

tam nie tylko Petera i Konstantego, ale i Walentego razem z Lidką, Naścią i Wierą. Nie było tam tylko Ukraińca Piotra i jego bauera. Jak się później dowiedziałem, bauera Rosjanie rozstrzelali, bo znał on dobrze język rosyjski. Możliwe, że Ukraińca Piotra też, bo był on sąsiadem Wiery. Tylko ją przyprowadzili do kopania grobu.

Na miejscu okazało się, że dla wszystkich nas brakowało łopat do kopania, staliśmy i patrzyliśmy, jak Niemcy kopią szeroki grób. Sierżant, który kierował pracą, podszedł do nas i powiedział:

– Niech tylko Niemcy kopią, wy już tutaj napracowaliście się. Radzę wam wracać do swoich domów. Zwalniam was! Idźcie! Niewola dla was się skończyła. Czeka was w domu rodzina.

Podziękowaliśmy i rozeszliśmy się do naszych domów, aby zabrać swoje rzeczy na drogę. Przyszliśmy z Lidką do pokoju na poddaszu, zabraliśmy wszystkie swoje dokumenty i rzeczy oraz ubraliśmy się cieplej. Spotkaliśmy się wszyscy za stodołą mego bauera. Przyszli Walenty z Naścią, Wiera, Peter, Konstanty, i razem poszliśmy w kierunku na Wossenden. Zapytałem Petera, czy jego bauer uciekł na zachód, bo nie było go przy kopaniu grobu.

– Nie, on nie uciekł na zachód, a tylko do lasu. Radzieccy żołnierze mówili, że go w lesie zastrzelili, bo uciekał i nie chciał się zatrzymać – powiedział Peter.

– Nie spodziewałem się, – odezwał się po drodze Walenty – że Rosjanie będą tak gwałcić Niemki. U sąsiada mego bauera są dwie młode córki, jedna czternastoletnia, a druga szesnastoletnia. Jedną i drugą żołnierze zabrali do stodoły i ustawili się do nich we dwie kolejki. Ogarniał mnie wstręt, gdy na nich patrzyłem.

– Dobrze, że z Lidką wczoraj wcześnie wieczorem schowałyśmy się w stodole wysoko w sianie, potem cały wieczór żołnierze biegali i nas szukali – powiedziała Naścia.

– Znaleźliby was, gdybym im nie powiedział, że poszłyście do sąsiedniego folwarku – powiedział Walenty.

– Przy mnie w łóżku całą noc leżał oficer i namawiał mnie,

abym mu się oddała, jednak nie zgodziłam się. Był on tak delikatny, że nie wziął mnie siłą. – powiedziała Wiera.

Po drodze do Wossenden spotkaliśmy grupę żołnierzy radzieckich, zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy z nimi rozmawiać. Niespodziewanie, nie wiadomo skąd, niedaleko od nas wybuchł pocisk moździerzowy. W pobliżu wybuchu jechał na rowerze żołnierz radziecki, fala od wybuchu powaliła go na ziemię, jednak ranny nie został. Szybko rozeszliśmy się, bo widocznie Niemcy w nas celowali.

Niedaleko Wossenden zatrzymał nas mój znajomy kapitan polityczny, z którym miałem wczoraj nieprzyjemności. Zapytał dokąd idziemy, przejrzał nasze dokumenty, zwrócił je i puścił nas wolno. Gdy weszliśmy do Wossenden i dochodziliśmy do szosy Heilsberg – Guttstadt z domu stojącego obok wybiegł żołnierz i zażądał, aby Lidka weszła do sztabu. Czekaliśmy na nią. Gdy ona długo nie wracała, weszliśmy do sztabu, aby dowiedzieć się, co z nią się stało.

– Nic jej nie jest. Idźcie naprzód, a ona tutaj zostanie. Nie czekajcie na nią! – powiedział nam jakiś oficer. Było nam bardzo przykro, że zabrali nam dziewczynę, ale co mogliśmy zrobić. Poszliśmy powoli szosą w kierunku na Heilsberg, żeby potem zawrócić na szosę w kierunku na Seeburg (Jeziorany). Gdy byliśmy przy szosie na Seeburg, dopędził nas samochód osobowy, który zatrzymał się. W samochodzie zobaczyliśmy radzieckiego kapitana i Lidkę. Wyszli z samochodu.

– Pożegnajcie się! – powiedział kapitan. Lidka ze łzami w oczach, każdego z nas objęła i pocałowała, a potem z płaczem weszła do samochodu i odjechała w kierunku na Heilsberg. Nikt z nas nie myślał, że z nią będzie takie pożegnanie. I dokąd ją zabrał i powiózł? Czy ona tak mu się spodobała, że zabrał ją dla siebie? Z Wierą i Naścią poszliśmy dalej. Przy szosie leżało dużo trupów, zabitych koni i przewróconych niemieckich furmanek z całym domowym majątkiem. W wielu wywróconych furmankach leżały zabite świnie, kury i gęsi, które Niemcy wieźli uciekając od Rosjan. W jednej z fur-

manek Walenty znalazł dziesiątki tysięcy papierowych niemieckich reichsmarek. Na środku szosy zauważyliśmy zabitego żołnierza z emblematem na ręku „ROA”, któremu ktoś w usta wetknął zaduszonego koguta. Widocznie z zemsty. Przyzwyczailiśmy się po drodze do widoku trupów i przestaliśmy zwracać na nich uwagę. Podjechał na koniu do nas ranny żołnierz, którego skierowano do szpitala wojskowego w Seeburgu. Jechał obok nas z godzinę, a potem skręcił w bok do jakiegoś domu, żeby zjeść obiad. Poszliśmy dalej. Pod wieczór z małego budynku, stojącego przy szosie, wyskoczyło dwóch pijanych radzieckich żołnierzy z automatami w ręku z krzykiem:

– Kim jesteście?

– My Polacy – powiedział ze strachu Walenty. – Czego od nas chcecie?

– Od was niczego nie chcemy – powiedział bardziej trzeźwy. – Idźcie sobie, tylko dziewczyny niech tutaj zostaną.

– Uciekajcie! – machnął automatem drugi żołnierz.

Szybko odeszliśmy od pijanych ze dwieście metrów dalej i zatrzymaliśmy się. Myśleliśmy, że przez jakiś czas puszczą nasze dziewczyny, gdy je zgwałcą. Ranny żołnierz na koniu, który wcześniej przy nas jechał, stwierdził, że widział nasze dziewczyny, wkrótce powinny one tutaj przyjść. Pojechał naprzód, czekaliśmy na dziewczyn chyba ze 30 minut. Robiło się coraz ciemniej, a Wiery i Naści na drodze nie było widać. Musieliśmy poszukać miejsca na nocleg. Weszliśmy do niedaleko od szosy stojącego pustego domu. Koledzy znaleźli w domu masło, chleb, mięso, jajka, a nawet dżem wiśniowy. Peter przyniósł z podwórka chrustu, rozpalił ogień w kuchni pod płytą kuchenną i zrobił gorącą kolację, kawę i jajecznicę. Było nam strasznie przykro, że nie ma z nami naszych dziewcząt. Co z nimi zrobili pijani żołdacy? Dlaczego do nas nie dotarły? Nigdy nie przypuszczaliśmy, że coś podobnego może się zdarzyć. Potem weszliśmy do sypialni, gdzie były cztery łóżka z pierzynami. Rozebraliśmy się i położyliśmy się w łóżkach pod pierzynami. Wspomi-

naliśmy nasze życie w Pomehren i nasze dziewczyny zabrane nam przez radzieckich żołdaków. Żałowaliśmy, że nie ma ich razem z nami. Mnie było szczególnie szkoda Lidki, którą na początku naszej drogi zabrał jakiś radziecki oficer. Była najładniejsza i dlatego ją zabrał.

7 lutego 1945 roku, drugi dzień po wyzwoleniu

Obudziliśmy się dosyć późno, gdy na dworze było całkiem widno. Pierwszy wyszedł z łóżka Peter i poszedł do kuchni przygotować śniadanie.

– Co ci pijani żołdacy zrobili z naszymi dziewczynami ? – martwił się w łóżku Walenty. – Jak mi ich szkoda! Gdzie one biedne nocowały? Lidka chociaż pojechała z oficerem, a Wierę i Naścię zatrzymali pijani żołdacy.

Rzeczywiście, serce ściskało się mi z żalu na myśl o losie naszych przyjaciółek. Nie martwili się tylko Peter z Konstantym, bo oni rzadko spotykali się z dziewczynami. Nie przychodzili w Pomehren do naszej kompanii, bo zły bauer im nie pozwalał.

Peter zrobił nam wszystkim smaczne śniadanie, w kuchni w bufecie było dużo artykułów żywnościowych. Widocznie w pośpiechu Niemcy, właściciele tej kolonii musieli zostawić wszystko, a że na dworze jest zimno, nic się nie zepsuło. Po zjedzeniu śniadania narobiliśmy sobie na drogę dużo kanapek z serem, mięsem i dżemem. Znaleźliśmy puste butelki na zbożową kawę, oraz kompot w słoikach i wszystko zabraliśmy do naszych toreb. To nam pomogło w dalszej podróży. Najedzeni, zabraliśmy bagaże i ruszyliśmy w dalszą podróż .

Z dwóch stron wąskiej szosy gęsto leżały przewrócone furmanki i z podartych pierzyn wiatr roznosił biały jak śnieg puch. Przy jednej furmance zauważyliśmy trupa mężczyzny z oberwaną głową i dwie prawie gołe młode kobiety. Konia przy wozie nie było, widocznie ocalał i żołnierze go zabrali. W wozie leżało dużo artykułów

spożywczych przygotowanych na ucieczkę. Spotkaliśmy również zabitą dziewczynę ze znaczkiem „P” naszytym na piersi. Obok niej leżał mężczyzna bez nogi, widocznie jej bauer i dwa zabite konie. W pobliżu był głęboki lej od pocisku armatniego. Widocznie Polka uciekała razem z bauerem i na drodze trafił ich pocisk armatni. Nikt nie zbierał zabitych. Dobrze, ze trzymał mróz.

Dopędziło nas czterech chłopców. Wszyscy byli Białorusinami ze wsi spod Kleszczel i Bielska Podlaskiego. Między nimi był nasz znajomy spod Rastenburga, z którym kopaliśmy okopy. Tam postrzelił go wachman niemiecki, gdy z głodu poszedł na pole wyrwać parę cukrowych buraków. Rannego zabrali do szpitala tuż przed naszą ucieczką. Poznał nas i był zdziwiony, że spotkał się tutaj z nami, bo wiedział, że wszystkich przymusowych pracowników spod Rastenburga Niemcy popędzili później pod Königsberg. Kiedy powiedzieliśmy mu, że zaraz po tym, jak on został ranny, uciekliśmy do swoich bauerów, jeszcze bardziej się zdziwił.

– Jak twoje zdrowie? – zapytałem.

– Teraz jestem już zdrowy, ale ponad miesiąc przeleżałem w szpitalu, a potem odesłali mnie do mego bauera pod Heilsberg i tam doczekałem się wyzwolenia – odpowiedział.

Chłopców martwiło tragiczne zdarzenie, którego byli niedawno świadkami. Razem z nimi szedł Ukrainiec Kola, którego dobrze znali, bo pracował w pobliżu u bauera. Pół godziny temu spotkał ich na drodze wojskowy samochód, który się zatrzymał. Wyszedł jakiś radziecki sierżant i zapytał skąd pochodzimy. Gdy Kola powiedział, że pochodzi ze wsi spod Winnicy, bez słowa wyjął pistolet i zastrzelił go na drodze. Potem wsiadł do samochodu i odjechał. Chłopcy bardzo żałowali Koli, bo znali go jako dobrego przyjaciela.

W takim nieprzyjemnym nastroju doszliśmy do Seeburga. Przed miastem droga była przegrodzona szlabanem. Wartownik zapytał: „Coście za jedni?”. Gdy powiedzieliśmy mu, że jesteśmy przymusowymi pracownikami wysłanymi do Niemiec i wracamy do

domu, odpowiedział: „Do domu nie pójdziecie! Tutaj jest punkt zbiorczy dla takich osób. Sprawdzą tu was, a potem może puszczą do domu".

Wszystkich nas rozdzielili. Petera odesłali do Litwinów. Ja z Walentym trafiliśmy do małego domku, a pozostałych poprowadzili do innych domków. W domku, do którego trafiliśmy mieszkali radzieccy oficerowie. Dali nam mały pokoik z dwoma łóżkami i natychmiast kazali nam umyć podłogi w ich obu oficerskich pokojach i posprzątać. Młody lejtnant patrzył na nas i dogadywał: „Niemcy źle was nauczyli pracować. Tutaj wszystko musi błyszczeć!". Potem rozkazał mi przynieść wody ze studni z pompą, która znajdowała się 50 metrów od domu. Przy pompie tej niespodzianie spotkałem Aleksieja, znajomego z okopów. Z nim nie chciałem się spotkać. Gdy wieźli nas pociągiem na kopanie okopów z Heilsberga w kierunku Bartensteina w tym samym przedziale z nami jechali jeńcy radzieccy. Strasznie narzekali na Niemców i chwalili Sowietów. Wówczas niepotrzebnie skrytykowałem radzieckie kołchozy, co ich strasznie rozeźliło. Aleksiej był w tym samym przedziale i występował w obronie kołchozów. Potem z nim kopałem okopy i chociaż często rozmawialiśmy, odczuwałem wrogi stosunek do mnie.

Zauważył on moje zdenerwowanie, gdy go spotkałem, i powiedział: „Nie bój się, nikomu nie powiem, że wypowiadałeś się przeciwko kołchozom. Przekonałem się, że nie jesteś zdrajcą". Aleksiej opowiedział, że pracuje jako tłumacz języka niemieckiego u majora śledczego. Zapomniałem go wtedy zapytać, jak on z okopów tutaj trafił. Już nie pamiętam, czy przed naszą ucieczką spod Rastenburga był on w naszej grupie przy kopaniu okopów czy go gdzieś oddzielili. Czy wcześniej zwolnili go z kopania okopów, czy tak samo, jak my uciekł?

Wróciłem z wodą i oficerowie pozwolili nam iść spać. Nic nam tutaj nie dali do jedzenia, więc w swoim pokoiku zjedliśmy część naszych kanapek zabranych rankiem z domku przy szosie i popili-

śmy je kawą zbożową i kompotem. Wtedy powiedziałem Walentemu o spotkaniu z Aleksym, o mojej obawie i o jego stwierdzeniu, że będzie milczał.

– Czy można mu wierzyć? – zmartwił się Walenty.

– Zobaczymy, co będzie jutro. Gdy doniesie na nas, to będziemy razem zaprzeczać. Twierdzić, że on to wszystko zmyślił – powiedziałem. Położyliśmy się spać, nie wiedząc, co nam przyniesie dzień jutrzejszy. Oficerowie radzieccy w sąsiednich pokojach też już spali, bo było cicho.

8 lutego 1945 roku, trzeci dzień po wyzwoleniu

Rano po umyciu się zimną wodą i po zjedzeniu wczorajszych zapasów z kanapek, wyszliśmy na podwórko, korzystając z okazji, że oficerowie spali w swoich pokojach. Znajdowaliśmy się w dzielnicy parterowych domków północnego przedmieścia Seeburga. Wszyscy mieszkańcy widocznie pouciekali, albo ich wysiedlili. Rosjanie zorganizowali tutaj punkt zbiorczy dla pracowników przymusowych.

Tych, którzy tutaj trafili podzielili według narodowości. Petera odprowadzili do Litwinów. W domach sąsiednich zostali tylko Białorusini i Rosjanie. W kilku domach mieszkali jeńcy francuscy, widziałem ich w ich wojskowych ubraniach. Łatwo można było stąd uciec, tym bardziej, że nikt nie zapisywał naszych nazwisk, ani danych skąd pochodzimy, ale żeby przedostać się na południe, trzeba byłoby przejść przez całe miasto, a tam mogli nas zatrzymać żołnierze i nie przepuścić dalej. Nie wiedzieliśmy, czy na południowej stronie drogi z miasta nie było szlabanu z wartownikiem. Wróciliśmy do swego pokoju, a oficerowie nie zmuszali już nas do pracy. Koło dziesiątej godziny wydano rozkaz, aby Białorusini zebrali się na niedużym placu. Ustawili nas w cztery szeregi, poprowadzili nas w kierunku południowym, główną ulicą miasta do dużej mleczarni. Był to długi dwupiętrowy budynek, w którym już znajdowali się Ukraińcy. Zaprowadzili nas na drugie piętro. Były tam duże kadzie

ze śmietaną i masłem. Ze względu na zimno, ani masło, ani śmietana nie zepsuły się. Kto chciał i miał jakiś pojemnik, mógł sobie nabrać masła i śmietany do pełna, ale nigdzie nie znaleźliśmy chleba. Błąkaliśmy się między tymi napełnionymi masłem i śmietaną kadziami, bo nie było nawet gdzie usiąść.

Po dwóch godzinach Białorusinom kazali wyjść z mleczarni, a Ukraińcy tam pozostali. Znowu w czwórkach poprowadzili nas z powrotem główną drogą na północ i dalej za miasto. Gdzieś ze cztery kilometry za miastem naszą kolumnę zatrzymali we wsi na kolonii jakiegoś niemieckiego bauera. W domu bauera mieszkali oficerowie i żołnierze radzieccy, a w stodole byli już Polacy i inna grupa Białorusinów, których przyprowadzili wcześniej. Nam powiedziano, że będziemy nocować w stodole na sianie. Tam niespodzianie spotkałem swego znajomego z Czeremchy, Antoniego Kierdelewicza. Miał on we wsi dwóch braci: Borysa, z tego samego roku co ja, który do tej pory tam mieszka i Michała, którego radzieckie władze w 1941 roku zabrały do Armii Czerwonej. Później trafił on do Armii Władysława Andersa, walczył pod Monte Cassino, a po wojnie znalazł się w USA, gdzie się ożenił i mieszkał na jakiejś farmie. Antoniego wywieźli do Prus Wschodnich później niż mnie. Pracował on u bauera jakieś 14 kilometrów na południe od Pomehren. Spotykałem się z nim wcześniej parę razy w 1944 roku, kiedy nam pozwalano chodzić raz w miesiącu w niedzielę do kościoła, znajdującego się we wsi, na południu od Wossenden, której nazwy już nie pamiętam.

W sadzie koło domu paliły się ogniska, na których zatrzymani tutaj Polacy i Białorusini gotowali sobie jedzenie. Postanowiliśmy zdobyć jakieś artykuły żywnościowe. Walenty z Konstantym poszli w stronę szosy, żeby poszukać czegoś w rozbitych niemieckich furmankach, a ja z Antonim rozpaliliśmy ognisko. Walenty z Konstantym wrócili nie tylko z artykułami żywnościowymi, znalezionymi w wozach, ale i z dużą metalową patelnią. Nasmażyliśmy mięsa,

placków z przyniesionej mąki pszennej i nareszcie wygłodniali najedliśmy się. Napiliśmy się gorącej wody i poszliśmy do stodoły wysoko na siano.

Wkrótce na dole zjawił się radziecki żołnierz i ogłosił, że jeżeli ktoś z Białorusinów życzy sobie pójść dobrowolnie na przesłuchanie, to oficer śledczy czeka na niego w domu. Nie poczuwałem się do żadnej winy i postanowiłem od razu pójść na przesłuchanie. Okazało się, że jestem pierwszym.

W pokoju za stołem siedział młody podporucznik. Zapisał moje imię, nazwisko, adres domowy i zaczął przesłuchanie:

– Jak tutaj trafiłeś? – zapytał po rosyjsku.

– Niemcy wywieźli mnie pod konwojem, jak innych do pracy przymusowej. Sołtys otrzymał od Niemców rozkaz, żeby zjawić się na punkt zbiorczy w Bielsku Podlaskim i stamtąd mnie wywieźli.

– Dlaczego tam pojechałeś?

– Gdybym nie pojechał, to przyjechaliby żandarmi i wysłaliby siłą do obozu pracy.

– Dlaczego nie poszedłeś do partyzantki?

– Po pierwsze, wtedy nie wiedziałem jak obchodzić się z bronią i wątpię, czy przyjęliby mnie do partyzantki, po drugie: w tym czasie nie wiedziałem nawet, gdzie szukać partyzantów. Oni byli około 30 kilometrów od mojej wsi, w Puszczy Białowieskiej, a najgorsze jest to, że gdybym uciekł do partyzantki i Niemcy nie znaleźliby mnie w domu, to rozstrzelaliby moich rodziców i siostrę. A ojciec miał wtedy ponad sześćdziesiąt lat i do partyzantki nie mógł pójść.

– Dobrze, kiedy zostałeś wywieziony?

– 16 marca 1943 roku.

– Gdzie przez cały czas przebywałeś?

– Pracowałem u niemieckiego bauera w Pomehren koło Heilsbergu. – Pokazałem podporucznikowi swój niemiecki ausweis, gdzie było zapisane od jakiego czasu u niego przebywałem, jego nazwisko i adres. Obejrzawszy dokładnie mój niemiecki dokument, podporucznik zwrócił mi go i zapytał:

– Czy może znasz kogokolwiek z tych, którzy tutaj są, kto był własowcem, albo niemieckim policjantem?

– Bardzo żałuję, ale oprócz swoich znajomych kolegów, których tak samo, jak i mnie wywieźli do pracy przymusowej, nikogo tutaj nie znam. Dookoła są tylko ludzie nieznajomi. Pierwszy raz ich widzę.

– A ilu twoich znajomych jest tutaj ?

– Tylko trzech.

– I więcej nikogo nie znasz?

– Nikogo - odpowiedziałem.

– Szkoda. W takim razie możesz już wracać do nich.

Wyszedłem i zobaczyłem, że w kolejce do podporucznika czekały jeszcze cztery osoby. Gdy wszedł po mnie następny, to jeden z czekających zapytał, jakie zadawał pytania podporucznik. Powiedziałem krótko po cichu o co mnie pytał. Gdy wróciłem do stodoły, to opowiedziałem kolegom o mojej rozmowie z podporucznikiem. Zachęcałem ich, żeby poszli, jak ja dobrowolnie, na przesłuchanie, bo ono i tak ich nie ominie. Koledzy nie zgodzili się ze mną i zaczęli przygotowywać się do spania na sianie. Gdy później trafiłem do wojska na front, żałowałem, że poszedłem pierwszy na rozmowę, bo myślałem, że kolegów odesłali do domu. Jednak po powrocie do Czeremchy dowiedziałem się, że wszystkich ich wywieźli do obozu sprawdzającego aż za Moskwę pod Kujbyszew.

9 lutego 1945 roku, czwarty dzień po wyzwoleniu

Rankiem obudził nas szum w stodole, słyszeliśmy różne dialekty polskiego i białoruskiego języka. Chociaż na dworze było zimno, na sianie pod paltem na kożuchu było ciepło. Nie chciało się wstawać. Głód wypędził nas ze stodoły. Powoli wykaraskaliśmy się z siana i zeszliśmy na dół, do sadu, gdzie paliły się już ogniska i ludzie przygotowywali sobie śniadania. Tak jak wczoraj, Walenty z Konstantym poszli w stronę szosy, żeby poszukać artykułów żywnościo-

wych w rozbitych niemieckich furmankach, a ja z Antonim rozpaliliśmy ognisko. Poza niezbyt dużym mrozem wiał wiatr z zachodu. Żołnierze radzieccy chodzili między ogniskami, przysłuchiwali się rozmowom i wybierali Białorusinów na przesłuchania. Początkowo dokładnie przysłuchiwali się, kto i co mówi i brali tych, którzy wydawali się im podejrzani, lub kto im najbardziej się spodobał. Przy naszym ognisku rej wiódł Walenty, gdyż lubił dużo gadać. Żołnierz radziecki wyznaczył go na przesłuchanie. Po dwudziestu minutach wrócił zmartwiony. Opowiedział podporucznikowi, jak go Niemcy aresztowali, jak siedział w więzieniu w Königsbergu, jak go tam torturowali, a potem z braku dowodów wypuścili i zawieźli z powrotem do bauera. Podporucznik nie bardzo chciał mu uwierzyć, bo nie mógł sobie wyobrazić, żeby Niemcy po aresztowaniu i torturach wy- puścili na wolność, a nie zesłali gdzieś do obozu pracy. Powiedział mu, że jeszcze raz wezwie go na przesłuchanie.

– Nie trzeba mi było przyznawać się, że siedziałem w niemieckim więzieniu. Byłoby lepiej – mówił potem Walenty. Natomiast Konstantego i Antoniego na przesłuchanie nie wezwali.

Około godziny dwunastej wszyscy otrzymaliśmy rozkaz, aby wyjść na podwórko z rzeczami i stanąć w szeregu w czwórkach. Przyszedł podporucznik i powiedział: Wszyscy, których nazwiska zostaną ogłoszone powinni wyjść ze swymi rzeczami i ustawić się obok, też w czwórkach, w kolejnych szeregach. Zaczął czytać z kartki nazwiska. Każdy, którego nazwisko odczytał, przechodził do innego szeregu. Usłyszałem wkrótce swoje imię i nazwisko i przeszedłem do innego szeregu. W nowych czwórkach ustawiły się 32 osoby. Pozostały podporucznik kazał wracać do stodoły, a nam nawet nie pozwolił pożegnać się z kolegami i znajomymi. Kazał iść naprzód i opuścić podwórko.

Kiedy przechodziliśmy obok małego zamarzniętego stawu, usłyszałem, jak jeden stojący żołnierz mówił do drugiego:

– Zobacz, to na pewno prowadzą własowców, żeby ich gdzieś rozstrzelać. Jednak nie przestraszyłem się tych słów, chociaż nie

wiedziałem dokąd nas prowadzą. Nie wierzyłem, żeby to było prawdą, ale możliwe, że jakieś grupy ludzi były już prowadzone na śmierć.

Wracaliśmy znowu do Seeburgu. Szliśmy przez miasto i przez godzinę doszliśmy do budynków po byłych niemieckich koszarach. Wprowadzili nas do wielkiej sali i dali rozkaz:

– Rozbierać się do naga! Pójdziecie do łaźni! – Nie była to łaźnia, lecz prysznice z letnią wodą. Potem dali nam ręczniki, żebyśmy dobrze się wytarli i wystroili nas gołych na przegląd do komisji lekarskiej. Wtedy zrozumieliśmy, że zabierają nas do wojska. W sali za stołami siedziało czterech wojskowych lekarzy. Każdego zapytali, czy jest zdrowy. Nikt nie zaprzeczył, więc wszyscy zostali przyjęci w szeregi Armii Czerwonej.

Potem wprowadzili nas do sali, w której zostawiliśmy swoje ubranie i bagaż, kazali nam tylko zabrać swoje dokumenty, pamiątki i najpotrzebniejsze rzeczy, a nasze buty i ubranie zostawić. Zaprowadzili nas do składu z wojskowym radzieckim ubraniem, dali jasnozielone bufiaste spodnie wojskowe z bluzą, szary płaszcz wojskowy, trzewiki, koszulę, kalesony, onuce, owijacze do nóg, ciepłą czapkę uszankę, mały koc, worek na rzeczy, menażkę, kubek i łyżkę aluminiową. Kazali nam przymierzyć ubranie, a gdyby nie pasowało to zamienić. Szkoda było zostawiać moje palto na kożuchu, ale nie mogłem go ze sobą zabrać. Ubrałem się i do worka włożyłem swoje dokumenty, menażkę, kubek i łyżkę. Zaprowadzili nas do innego budynku, do sali, gdzie stały przy ścianie drewniane prycze, jedna obok drugiej, bez pościeli. Kazali każdemu z nas wybrać sobie miej- sce do spania i zostawić na pryczy płaszcz i rzeczy, zabrać tylko ze sobą menażkę, łyżkę i kubek. Zaprowadzili nas do stołówki, gdzie czekał gorący obiad: dosyć smaczna zupa i kasza z mięsem. Zupa smakowała nam wszystkim, bo chyba jej nikt z nas nie jadł w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Po obiedzie wyprowadzili nas w jednych bluzach wojskowych na plac przed budynkiem, kazali stać w czterech szeregach i czekać.

Wkrótce podszedł do nas jakiś major. Podporucznik wyrecytował mu meldunek na baczność. Major wystąpił z przemówieniem. Mówił, że mamy szczęście, że ojczyzna zaufała nam i przyjęła w szeregi Armii Czerwonej, gdzie możemy pomóc jej dobić wroga w jego własnym legowisku i zemścić się za znęcanie się nad nami podczas pracy przymusowej oraz za męki, które przeżyliśmy. Podkreślił przy tym, że nie jesteśmy wcieleni do karnych oddziałów, za co powinniśmy być wdzięczni ojczyźnie. Powiedział, że za dwa dni złożymy tutaj przysięgę wojskową i będziemy pełnoprawnymi radzieckimi żołnierzami. Przestrzegł nas, żebyśmy nie pili alkoholu niewiadomego pochodzenia, bo wróg często go zatruwa i żebyśmy nie gwałcili Niemek dla własnego bezpieczeństwa, bo niektóre z nich mogą być zakażone wenerycznymi chorobami. Trzymał nas na mrozie około dwadzieścia minut i zrobiło się zimno. Major był w płaszczu wojskowym i chłodu nie odczuwał. Potem poszliśmy do składu po karabiny i do sali, gdzie nam pokazali, jak się z nimi obchodzić, jak je czyścić. Do samego wieczoru czas spędziliśmy na oględzinach, rozbieraniu i składaniu zamka karabinu. Po kolacji poszliśmy spać na gołych pryczach, przykrywając się tylko naszymi płaszczami wojskowymi.

Leżąc na pryczy żałowałem, że pierwszy poszedłem do oficera śledczego, bo przypuszczałem, że moich kolegów odeślą wkrótce do domu, gdy przekonają się, że nie służyli w niemieckiej policji i w niemieckim wojsku. Jeżeli jednak wezmą ich do Armii Czerwonej, to dużo później, niż nas.

5. Pierwsze dni w Armii Czerwonej

10-14 lutego 1945 roku

Budzili nas o godzinie siódmej rano. Od razu szliśmy się umyć pod letni ciepły prysznic. Potem biegliśmy na śniadanie do stołówki. Po jedzeniu wracaliśmy do sali i tam zapoznawaliśmy się z radziec-

kimi karabinami maszynowymi, automatami PPSz Szpagina, z PPD Dziechciarowa, oraz z PPS Sudajewa. Rozbieraliśmy, składaliśmy i ładowaliśmy je, tylko nie strzelaliśmy. Zapoznawali nas z automatycznie ładującymi się karabinami, a nawet z ręcznymi i ciężkimi karabinami maszynowymi. Po obiedzie ubieraliśmy się w wojskowe płaszcze i z automatami szliśmy 5 kilometrów do lasu, gdzie z okopów niemieckich strzelaliśmy ze swoich PPSz do tarcz odległych około 100 metrów od nas. Każdy miał swoją zrobioną z papieru tarczę, którą podporucznik zabierał i sprawdzał. Strzelałem nie najlepiej, ale i nie najgorzej.

– Sami uczcie się dobrze strzelać, bo na froncie nikt za was strzelać nie będzie – często mówił podporucznik. Uczyli nas też, jak rzucać z okopów granaty.

O zmierzchu wracaliśmy na kolację do koszar. Karmili nas dosyć dobrze rano, w południe i wieczorem. W niedzielę 11 lutego dali nam każdemu po 150 gramów wódki. Gorzej mieli ci, którzy palili machorkę, bo dawali jej mało. Swoją porcję machorki oddawałem palaczom. Oni często za to dawali mi swoją porcję cukru, którego dostawaliśmy mało. Mieliśmy wystarczająco dużo chleba, mięsa, kartofli i kaszy. Pamiętam, że w niedzielę wieczorem dali nam płytkę czekolady. Było to pierwszy i ostatni raz w moim żołnierskim życiu. Bodajże czekoladę znaleźli na jakimś składzie w Seeburgu, którego Niemcy nie zdążyli spalić i mijał termin jej przydatności.

Po kolacji podporucznik prowadził z nami rozmowę polityczną, w której podawał nam ostatnie wiadomości z frontu, czasem czytał nam jakieś krótkie artykuły z gazety frontowej, a najczęściej opowiadał o swoich przygodach na froncie. Był wesoły i sympatyczny, odnosił się do nas grzecznie, często pytał nas, jak układało się nam życie w Prusach Wschodnich, czy Niemcy znęcali się nad nami. Byli tacy pośród nas, którzy zmyślali swoje okupacyjne przeżycia, skarżyli się na głód i znęcanie się Niemców, chociaż żaden z nas, nie był ani w niemieckim obozie pracy, ani w więzieniu. Niektórzy byli u skąpych i złych bauerów i mogli głodować. Podporucznik pocho-

dził gdzieś spod rosyjskiego Brańska i przeżył w czasie wojny niejedno nieszczęście, bo był dwa razy ciężko ranny i teraz go na front na pierwszą linię nie wysyłali. Bardzo tęsknił za swoją żoną i synem, których już cztery lata nie widział i rzadko od nich przychodziły listy. Jego rodzina uciekła od Niemców i gdy wróciła, to zastała zniszczony dom, w którym mieszkała. Syn uczy się w piątej klasie. Pokazywał rodzinne zdjęcia.

Po rozmowie politycznej szliśmy spać na twardych deskach. przykrywając się żołnierskim płaszczem, a koc podkładaliśmy pod głowę. Sienników i poduszek nie mieliśmy. Nie wolno było wychodzić poza teren koszar. Widocznie obawiali się, żeby ktoś nie uciekł. Chodziliśmy ćwiczyć strzelanie z okopów i po drodze zmuszano nas do śpiewania wojskowych piosenek. Wcześniej rozdali nam nadrukowane słowa około 10-ciu piosenek i musieliśmy nauczyć się ich na pamięć. Jednego z nas, który miał mocny i ładny głos, zrobili wodzirejem, którego nazywali „zapiewajłą". On zawsze pierwszy zaczynał śpiewać nową piosenkę. Mieszkał wcześniej gdzieś za Brześciem, chyba na Polesiu.


POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 153-83-45

WARSZAWA

dn. 9 lutego 1983 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA

odznaczony/a został/a

Ob. SZATYŁOWICZ

Dymitr s. Tadeusza

MEDALEM
ZWYCIĘSTWA I WOLNOŚCI
1945 r.

PRZEWODNICZĄCY
RADY PAŃSTWA

Legitymacja odznaczenia Medalem Zwycięstwa i Wolności

Większość żołnierzy mieszkała przed 1939 rokiem na terytorium ZSSR. Z Zachodniej Białorusi było nas pięciu. Gdy „zapiewajła” dowiedział się, że przed wojną mieszkałem w Polsce, zapoznał się bliżej ze mną, przeprosił żołnierza, który obok mnie spał, aby przeszedł na jego miejsce. Wieczorem przed snem dużo opowiadał o sobie, jakie przeżył katusze w Prusach Wschodnich. Był jeszcze większym gadułą od Walentego.

Kiedyś jeden z żołnierzy spod Nowgorodu dowiedział się, że przed wojną mieszkałem w Polsce i u nas nie było kołchozów. powiedział mi po cichu:

– Wasi chłopi byli szczęśliwi. – Opowiadał mi o ciężkim życiu w kołchozach. Usłyszał to „zapiewajła”, podszedł i uprzedził, żebyśmy nie rozmawiali o kołchozach, bo gdy ktoś doniesie do oficera politycznego, to mogą wysłać nas do batalionu karnego.

Szybko minęły w Seeburgu trzy doby. 13 lutego, po śniadaniu, kazali nam wyjść na plac przed koszarami, ustawić się w czterech szeregach i czekać. Przyszedł major i za nim powtórzyliśmy słowa przysięgi wojskowej, a potem w koszarach każdy z nas podchodził po kolei do stołu, gdzie siedział nasz podporucznik i podpisywał oświadczenie, że złożył przysięgę wojskową, będzie bronić ojczyzny i nie pójdzie do niewoli niemieckiej. Od tego dnia zostaliśmy pełnoprawnymi żołnierzami Armii Czerwonej. Każdy z nas otrzymał przygotowaną książeczkę wojskową z wpisanym do niej nazwiskiem i imieniem, bez fotografii, ze stopniem szeregowy. Potem znowu poszliśmy za miasto do okopów uczyć się strzelać do naszych wywieszonych papierowych tarcz. Następnego dnia też chodziliśmy strzelać za miasto.

14 lutego rano ogłosili nam na placu przed koszarami, że po obiedzie pojedziemy na pierwszą linię frontu bić Niemców, którzy jeszcze się bronią.

6. Podróż na front i front

14 lutego 1945 roku

14 lutego, gdy ogłosili, że mamy po obiedzie jechać na pierwszą linię frontu, dali nam parę godzin na przygotowanie się do wyjazdu. Wykąpaliśmy się wszyscy pod prysznicem, każdy żołnierz otrzymał automat PPSz Szpagina, który trzeba było samemu przejrzeć i wyczyścić, trzy okrągłe dyski z kulami, dwa koce, waciak nazywany fufajką, spodnie watowane, biały płaszcz maskowniczy, spodnie, duży plecak z kociołkiem do jedzenia, aluminiową łyżkę i menażkę.

Po obiedzie przyjechały na plac przed koszarami trzy ciężarówki, przykryte nad skrzynią brezentową zasłoną. W skrzyni w poprzek leżały gładkie deski do siedzenia. Każda ciężarówka zabierała po 12 osób.

Podporucznik przekazał nas z listą porucznikowi, który przyjechał zabrać nas i zawieźć na front. Był on młody, ale srogi. Podzielił nas według nazwisk do każdej ciężarówki. Jechał ze mną były kołchoźnik spod Nowgorodu. Porucznik jechał w naszej ciężarówce razem z kierowcą. Na drogę otrzymaliśmy suchy prowiant na dwa dni.

Wyjechaliśmy dosyć późno i po drodze zatrzymywaliśmy się, gdy spotkaliśmy wywróconą lub rozbitą niemiecką furmankę z artykułami żywnościowymi i uzupełnialiśmy swoje zapasy masłem, szynką lub kiełbasami zostawionymi przez Niemców. Na mrozie artykuły żywnościowe, które leżały przy drodze, nie były zepsute. Niemcy uciekając zabierali ze sobą dużo różnych artykułów żywnościowych.

Porucznik zabrał ze sobą bak gorącej przegotowanej wody i gdy byliśmy już za Heilsbergiem zatrzymaliśmy się na kolację i wtedy każdy żołnierz otrzymał na rozgrzanie kociołek gorącej wody. Im dalej jechaliśmy, tym więcej przy drodze leżało rozbitych niemiec-

kich chłopskich wozów z artykułami żywnościowymi, z ubraniem i innymi rzeczami. Często obok furmanek leżeli zabici, kobiety i mężczyźni. Widzieliśmy też rozbite niemieckie samochody, ciężarówki, a czasami motocykle. Przyjeżdżając przez wsie, spotykaliśmy radzieckich żołnierzy. Zatrzymali nas wojskowi z NKWD i sprawdzali u porucznika papiery. Nie wolno było odchodzić daleko od drogi, gdy zatrzymywaliśmy się, nawet za swoją potrzebą. Porucznik obawiał się, że może ktoś uciec.

Jechaliśmy drogą prowadzącą na północny wschód od Wormditta (Orneta) w kierunku na Braunsberg (Braniewo). Na południowym zachodzie od nas leżał Wormditt, który posiadał dużo betonowych stanowisk ogniowych i zawzięcie się bronił. Im dalej jechaliśmy na północny wschód i byliśmy bliżej linii frontu, tym coraz częściej widzieliśmy ślady świeżych walk. Niemcy tutaj już w popłochu nie uciekali, jak w pobliżu Heilsberga i stawiali zacięty opór. Na polu w pobliżu drogi do wsi, gdzie zatrzymaliśmy się na 10 minut, zobaczyliśmy rozbite trzy niemieckie i dwa sowieckie czołgi. Obok czołgów leżały trupy popalonych niemieckich czołgistów. Radzieckich żołnierzy widocznie zabrali i gdzieś pochowali, zostawili tylko Niemców na widok publiczny. Powiedzieli nam, że przed dwoma dniami była tutaj zacięta niemiecka obrona.

Zapadał zmierzch. Jechaliśmy jeszcze około piętnastu minut i nas zatrzymali. Podróż ciężarówkami skończyła się. Wyszliśmy wszyscy na zewnątrz. Czekały tutaj ciężarówki, które przyjechały z Guttstadtu. Zebrało się nas tutaj ze 100 osób.

Zrobiło się ciemno. Niebo było przykryte grubymi chmurami. Asfaltowa droga czerniała pomiędzy polami pokrytymi śniegiem. Ustawili nas w cztery szeregi i sprawdzali nasze nazwiska z listą, podchodząc do każdego z elektryczną latarką. Wszyscy założyli plecaki na plecy. Automaty początkowo trzymaliśmy w rękach, a potem kazali założyć je na ramię. Było zimno, wiał nieprzyjemny wiatr ze wschodu.

Po sprawdzeniu porucznik rozkazał: „naprzód marsz”. Kolumna żołnierzy ruszyła do przodu, początkowo szosą, a potem skręciła w prawo, na drogę polną. Chłodny wiatr dmuchał nam prosto w twarz. Ciężki plecak ocierał plecy, a automat stukał w bok. Byliśmy już zmęczeni podróżą i chciało się nam spać, a tu trzeba było iść w paszczę zmroku. Szliśmy około czterdziestu minut. I raptem zaświeciła latarka z przodu i kolumna się zatrzymała. Staliśmy za jakimś budynkiem.

Zabierali z kolumny po 12 żołnierzy i sierżant wprowadzał ich do okopu. Wkrótce nadeszła i moja kolej, z grupą wszedłem do okopu i schylając się szliśmy za sierżantem około 150 metrów. Sierżant doprowadził mnie do miejsca, w którym miałem zamienić innego żołnierza, idącego na odpoczynek. Zrzuciłem plecak z ramion na ziemię. Zrobiło się lżej. Sierżant pokazał mi miejsce w okopie, gdzie mam stać, a żołnierz, który odchodził poprosił o łyk wody. Wyciągnąłem z plecaka butelkę i mu podałem. Wypił prawie połowę jej zawartości i zadowolony pobiegł z innymi żołnierzami do tyłu. Był wolny, a nas czekała walka z Niemcami. Wyjrzałem z głębokiego okopu, ale nic nie było widać. Sierżant, który podszedł do mnie, powiedział, że przed nami w odległości około 150 metrów jest niemiecka linia obrony, a w pobliżu folwark niemieckiego bauera, w którym siedzą niemieccy żołnierze. Teraz jest cicho i ciemno, ale nie wolno wystawiać z okopu głowy, bo może trafić jakaś szalona kula. Nie wolno też spać, bo Niemcy mogą w ciemności podejść i zaatakować. Stałem więc zgarbiony w ciemnym okopie. Było zimno, ale zabroniono głośno tupać nogami.

Pierwsza noc w okopach na froncie

Z godzinę stałem spokojnie w zimnym okopie. Nie było wystrzałów tak z jednej, jak i z drugiej strony Nie widzieliśmy Niemców, a Niemcy nas. Nagle gdzieś daleko na wschodzie usłyszeliśmy pojedyncze strzały z automatów, a potem zatrzeszczał karabin ma-

szynowy. Niemcy, a za nimi i nasi żołnierze zaczęli strzelać coraz częściej. Nad naszymi głowami, jak osy, zabzykały kule. W pobliżu odezwał się nasz ciężki karabin maszynowy. Strzelał on w ciemną otchłań, tracąc niepotrzebnie naboje, ale trzeba było dać znać Niemcom, że nie śpimy i jesteśmy gotowi do walki.

Wkrótce Niemcy zaczęli strzelać do nas z moździerzy. Pociski padały przeważnie przed nami na pole. Kilka ich wybuchło za nami. Sierżant dał rozkaz usiąść przy przedniej ścianie okopu i narzucić na głowę koc czy płaszcz wojskowy, żeby nie nasypało w oczy piasku czy żwiru, gdy w pobliżu wybuchnie pocisk.

Niespodziewanie zapłonęło za nami ognisko. Niemcy trafili pociskiem czy kulą zapalającą w stojący za nami duży stóg słomy, który stał obok stodoły. Niemieccy bauerzy, gdy młócili zboże, słomę składali często na zewnątrz stodoły w stogi. Potem słomę tę wnosili do chlewa i rzucali ją pod nogi krowom. Ogień od płonącego stogu oświetlił nasze okopy i Niemcy mogli łatwo w nas celować. Niebawem pocisk moździerzowy trafił do okopu i wybuchnął jakieś 30 metrów na wschód ode mnie. Usłyszałem krzyki rannych. Ujrzałem, jak biegli sanitariusze i za parę minut wynosili na noszach jęczących rannych. Pociski moździerzowe wciąż wybuchały przed okopem i za nami. Stóg słomy dosyć szybko spłonął i zgasł, ale Niemcy nadal w ciemności strzelali do nas z moździerzy i karabinów maszynowych.

Nagle za nami zagdakała „katiusza". Języki ognia rakietowego poleciały w stronę niemieckich moździerzy i karabinów maszynowych. Zobaczyliśmy przed sobą jasne ognie i usłyszeliśmy ogłuszające wybuchy pocisków rakietowych. Szum z niemieckiej strony raptownie ucichł. Widocznie strzelające moździerze były zniszczone. Znowu zapanowała cisza w ciemności. Można było wstać i wyprostować się. Zrobiło się nawet cieplej po przeżytym stresie.

W ciszy i ciemnościach przeczekaliśmy całą noc. Na wschodzie za chmurami zobaczyliśmy pierwsze odblaski światła, które stawały

się coraz szersze. Zobaczyliśmy także przed sobą zabudowania niemieckiej wsi, murowane chlewy, domy kryte czerwoną dachówką i wysokie drewniane stodoły kryte w większości gontem lub szarą papą. Około stu metrów z lewej strony przed nami znajdował się duży folwark. Widoczne były za drzewami sadu cztery okna, dwa na parterze i dwa na piętrze, murowanego piętrowego domu, z których przez lornetkę można było zauważyć sterczące lufy karabinów maszynowych. Obok, prostopadle do domu, z jednej i drugiej strony stały dwa chlewy, a dalej za chlewami naprzeciwko domu była duża drewniana stodoła. Pragnąc dotrzeć do domu trzeba było przebiec przez pole pokryte cienką warstwą śniegu i przejść przez sad ogrodzony drucianą siatką z żelazną bramą, do której dochodziła droga.

Sierżant zebrał nasz pluton i powiedział, że po artyleryjskim ostrzale powinniśmy przejść przez sad i zająć folwark, który jest przed nami. Z okien domu będą do nas strzelać karabiny maszynowe. Rozkazał założyć na siebie białe spodnie, na plecy wziąć plecak i założyć na siebie biały płaszcz. Każdy z nas otrzymał parę granatów ręcznych, które założyliśmy za pas płaszcza wojskowego, a automaty z nabojami mieliśmy przy sobie. Tak przygotowani czekaliśmy na ostrzał artyleryjski. Sierżant opowiedział nam o przyczynie nocnej strzelaniny. Okazuje się, że na wschodzie przed naszą linią frontu znajduje się nieduża niemiecka apteka. W nocy żołnierze przypuszczali, że w aptece może być spirytus. Zebrali pluton i po cichu napadli na Niemców, którzy byli w aptece i nie spodziewali się nocnego ataku radzieckiego. W czasie ataku nie obeszło się bez strzelaniny. Niemcy w okopach ją usłyszeli i zaczęli strzelać w stronę apteki. Radzieccy żołnierze z okopów na niemieckie wystrzały odpowiedzieli ogniem i zaczęła się strzelanina, która doprowadziła do ofiar z naszej strony. Niemcy próbowali odbić aptekę, ale im się to nie udało.

Mój pierwszy dzień na froncie

Około godziny ósmej z tyłu za nami zaczęła się artyleryjska kanonada. Widzieliśmy, jak przed nami wybuchały artyleryjskie pociski i jak do góry leciały fontanny piasku i śniegu. Kilka pocisków trafiło w sad, który był przed nami i zniszczyło parę jabłoni i grusz. Tylko jeden pocisk trafił w druciane ogrodzenie i zrobił w nim dziurę, przez którą będziemy starali się przedrzeć do sadu.

Niebawem zaczęły wybuchać pociski i powstała zasłona dymna. Czarny dym zasłonił nas od wroga i on nie widział co dzieje się przed nim. Niemcy strzelali teraz z karabinów maszynowych na oślep, a ich artyleria i moździerze milczały. Widocznie w nocy zniszczyły je pociski rakietowe „katiuszy".

Gdy ucichła kanonada porucznik dał rozkaz starszemu sierżantowi poprowadzić nasz pluton na pobliski folwark, a inny sierżant poprowadził drugi pluton na prawo, żeby zająć następne gospodarstwo, które znajdowało się o jakieś 300 m od naszego okopu. Należało się śpieszyć, żeby zająć folwark, zanim opadnie dymna zasłona.

Nasz pluton wyskoczył z okopu i zaczęliśmy biec po śniegu w stronę sadu, który ledwie majaczył w obłokach czarnego dymu. Były widoczne tylko górne gałęzie drzew. Pełzliśmy oddaleni jeden od drugiego o 2-3 metry, każdy z plecakiem na plecach, z granatami za pasem i z automatem w ręku. Kule gwizdały nad nami i padały w pobliżu nas do śniegu. Niemcy przypuszczali, że atakujemy ich i strzelali na oślep w stronę okopów, ale dobiegliśmy już do siatki i przez dziurę w ogrodzeniu weszliśmy do sadu.

Zgodnie z rozkazem starszego sierżanta, nasz pluton rozdzielił się na dwie grupy. Jedna pełzła w stronę stodoły, a druga, w której ja byłem, poszła w stronę domu. Gdy zbliżyliśmy się do piętrowego budynku, zza drzew seriami z automatów zmusiliśmy zamilczeć ciężkim karabinom maszynowym w oknach pierwszego piętra i na parterze. Bardzo niebezpieczny był karabin maszynowy w oknie na parterze. Gdy on na chwilę zamilkł, widocznie żołnierz zmieniał ta-

śmę, jeden z naszych żołnierzy wyskoczył, podbiegł do okien i rzucił początkowo do jednego, a potem do drugiego okna na parterze granaty. Nastąpiły dwa wybuchy. Wykorzystaliśmy to i rzuciliśmy się do drzwi domu.

Z dwoma żołnierzami wbiegłem do sieni domu, z kuchni wybiegł żołnierz niemiecki i kiedy nas zobaczył gwałtownie podniósł swój automat do strzału. Nacisnąłem na cyngiel swego automatu lecz nastąpiło zacięcie się. Zamarłem z przerażenia, lecz poczułem za mną serię z automatu innego żołnierza i Niemiec upadł na podłogę przeszyty kulami. Rzuciliśmy szybko granaty na dół do wejścia do piwnicy, jeden z żołnierzy tam powoli zszedł, czterech weszło do pokoi na parterze. Słychać było też wybuchy granatów i serie z automatów, gdy z innym żołnierzem wbiegłem na piętro. Dla bezpieczeństwa rzuciliśmy do dwóch pokoi granaty i tam weszliśmy, ja do jednego, a inny żołnierz do drugiego pokoju. W żadnym pokoju żywych Niemców już nie było. W moim południowym pokoju martwy Niemiec leżał oparty o karabin maszynowy w oknie, zabity seriami z sadu, a drugi martwy leżał na podłodze chyba zabity odłamkami granatów. W północnym pokoju leżało też dwóch zabitych Niemców. Wbiegło jeszcze parę żołnierzy nam na pomoc, ale już niepotrzebnie. Zeszliśmy wszyscy na dół. W piwnicy Niemców nie było. W stodole zginął jeden Niemiec. Na parterze zginęło dwóch Niemców strzelających z karabinów maszynowych z okien, jeden leżał zabity w sieni. Zginęło ośmiu Niemców. Z naszej strony został zabity w sadzie tylko jeden żołnierz, a trzech zostało rannych, których sanitariusze wkrótce opatrzyli i skierowali na tyły. Kilku Niemców uciekło na północ. Gdy ich zauważyliśmy dobiegali już do pobliskiego folwarku, który znajdował się w odległości 200 metrów od zdobytego przez nas.

Oprócz zabitych żołnierzy niemieckich w domu nikogo nie było. W chlewach stało 6 krów. Koni i świń nie było. Sierżant rozkazał, aby przenieść karabiny maszynowe z okien na pierwszym piętrze ze

strony południowej do okien na stronę północną i postawił tam żołnierzy, aby pilnowali czy z tej strony Niemcy nie spróbują kontratakować. Postawił wartę przy stodole i północnym chlewie. Potem dał rozkaz, aby zabitych niemieckich żołnierzy wynieść do sadu i położyć tam na śniegu. W sadzie została też wykopana mogiła dla rosyjskiego żołnierza i tam go pochowano. Sierżant zapytał żołnierzy, kto umie doić krowy. Zgłosił się jeden żołnierz. Zabrał on z kuchni czyste wiadro, wziął żołnierza do pomocy i poszli doić krowy. Żołnierze przynieśli do kuchni drewno, rozpalili kuchenny piec i postawili garnki z wodą. Potem znaleźli w piwnicy mąkę, w kredensach masło, kawę zbożową i nawet słoninę i zaczęli smażyć placki. Zagotowali przyniesione od krów mleko i zjedliśmy śniadanie.

Byliśmy zmęczeni, całą dobę nie spaliśmy, niektórzy żołnierze zaczęli siedząc drzemać. Około południa zjawił się porucznik z grupą żołnierzy, których przyprowadził, aby nas zamienić. Swoje zadanie wykonaliśmy. Porucznik kazał nam stanąć w czterech szeregach, podziękował za zajęcie folwarku, który dzień wcześniej mocno się bronił, i powiedział, że pójdziemy teraz na południe do wsi na odpoczynek, a nas zamienią nowi żołnierze, których przyprowadził ze sobą. Rannych już odwieźli do szpitala polowego. Zabrał książeczkę wojskową zabitego żołnierza i zapisał jego nazwisko. Z naszym starszym sierżantem poszliśmy przez sad na południe w stronę naszych poprzednich okopów, a potem do wsi na odpoczynek. Było to 16 lutego 1945 roku. Później, leżąc ranny w wojskowym szpitalu w Seeburgu, o pierwszym moim chrzcie bojowym z Niemcami napisałem trzy wiersze w języku białoruskim, które przywiozłem do domu i odnalazłem je na strychu i po korekcie umieściłem ich w swoim zbiorku „Strumienie losu” wydanym w 2005 roku.

Mój pierwszy odpoczynek na froncie

Nasz pluton odszedł 5 lub 6 km od linii frontu do niedużej wsi z kościołem czy kirchą z czerwonej cegły, budynkiem, gdzie kiedyś

była poczta i niedużym sklepem, w którym niczego już nie było. Przy szosie leżał rozbity niemiecki motocykl ze śladami krwi. Zabitego niemieckiego żołnierza już sprzątnęli. Przy wiejskich murowanych domach i chlewach krytych czerwoną dachówką chodzili radzieccy żołnierze i patrzyli na nas. Zaprowadzili nas do niedużego folwarku z białym murowanym parterowym budynkiem z dwoma murowanymi chlewami i drewnianą stodołą. Na podwórku stała zdobyta niemiecka kuchnia polowa, do której nas zaprowadzili. Otrzymaliśmy kociołek gorącej zupy z mięsem, a potem jęczmienną kaszę z mięsem i kawę zbożową z mlekiem. Jedzenia nam nie żałowali i można było podejść i otrzymać dwa razy, jeżeli ktoś miał takie życzenie.

Po sutym posiłku starszy sierżant powiedział, aby każdy szukał sobie miejsca na odpoczynek. Niektórzy żołnierze poszli do stodoły na słomę, albo na poddasze do chlewa, gdzie było pełno siana przygotowanego dla krów. Bałem się tam iść, bo jakiś palący papierosy żołnierz mógł rzucić niedopałek i wywołać pożar, wówczas ciężko byłoby stamtąd uciec. Dlatego wszedłem do domu i zacząłem szukać miejsca, gdzie mógłbym zasnąć. Na liście wartowników, zmieniających się co kilka godzin sierżant mnie nie umieścił. Tak w jednym, jak i w drugim pokoju wszystkie miejsca były zajęte, i dopiero w trzecim znalazłem wolne miejsce na tapczanie. Usiadłem, kładąc automat z tyłu, żeby nikt nie zabrał, gdy będę spał. Czwarty pokój zajęli kapitan z porucznikiem i starszym sierżantem. W pokoju tym stworzyli sztab. Kuchnia też była zajęta, bo tam przygotowywali posiłki dla oficerów. W pokoju, w którym się zatrzymałem, żołnierze, którzy przyszli po mnie, drzemali siedząc na podłodze, opierając się o ścianę. Było cicho. Oczy kleiły się do snu i wkrótce zasnąłem pierwszym mocnym snem, aż obudzili na kolację. Szybko zjadłem kolację i znalazłem w innym pokoju bardziej wygodne miejsce do spania. Zrobiło się ciemno i mocno spałem. Obudzili nas, gdy było już całkiem widno, na śniadanie.

Po śniadaniu starszy sierżant zebrał nas, ustawił w cztery szeregi, dał każdemu po dwa magazynki nabojów i poprowadził pod pobliski las do okopów postrzelać. Wróciliśmy na obiad. Mieliśmy wolny czas do kolacji. Nie wolno było opuszczać folwarku. Wychodząc z pokoju spotkałem starszego sierżanta, który zapytał czy dobrze rozumiem po niemiecku. Odpowiedziałem, że nieźle. Zaprowadził mnie do pokoju kapitana, gdzie siedziało przy stole dwóch niemieckich żołnierzy, przyprowadzonych z sąsiedniego folwarku. Znaleźli ich tam w ukryciu w jakiejś stodole. Jeden był młody, 17-letni, a drugi starszy. Kapitan zapytał, czy nie są dywersantami, przysłanymi zza frontu, żeby nam zaszkodzić. Kategorycznie zaprzeczali, twierdząc, że nie chcą walczyć i ginąć za Hitlera i zdezerterowali z niemieckiej armii. Kapitan zapytał ich dlaczego nie poddali się na froncie. Twierdzili, że bali się trafić do niewoli w ręce pierwszych oddziałów żołnierzy, bo słyszeli, że oni rozstrzeliwują jeńców na miejscu, gdyż nie mają czasu odsyłać ich na tyły do niewoli. Nie mieli przy sobie ani automatów, ani pistoletów. Kapitan zapytał co o nich sądzę, odpowiedziałem, że prawdopodobnie nie kłamią. Kapitan pomyślał i postanowił odesłać ich do wsi do sztabu, niech tam zastanowią się, co z nimi zrobić. Po wyprowadzeniu ich na podwórze, do kapitana podszedł młody żołnierz i prosił, aby mu pozwolił odprowadzić jeńców do sztabu. Kapitan zaśmiał się i stwierdził, że nigdy już mu nie przekaże niemieckich jeńców, bo on ich po drodze rozstrzeliwuje. Młody chłopak pochodził gdzieś ze wschodniej Białorusi i tam Niemcy spalili w stodole jego ojca, matkę i siostrę. Teraz on mści się za to na Niemcach. Żołnierz zapewniał kapitana , że jeńców nie zastrzeli, a odprowadzi do sztabu, lecz kapitan nie uwierzył i wydał rozkaz dwóm innym żołnierzom, aby odprowadzili jeńców do pułkownika. Kazał żołnierzom obserwować młodego mściciela, aby nie pobiegł za jeńcami i ich nie zastrzelił. Dla pewności zamknęli młodego chłopca na krótki czas w piwnicy. Nie chciał tam wejść, a gdy wprowadzono go siłą, stukał w drzwi i przeklinał. Gdy wypu-

ścili go z piwnicy, było już za późno, aby biec za Niemcami. Żołnierz przeklinał wszystkich tych, którzy bronią faszystów.

Wszedłem do pokoju i usiadłem na tapczanie. Po jakimś czasie zjawił się starszy żołnierz i pokazał, że znalazł butelkę niemieckiego denaturatu i proponował wszystkim go spróbować. Jednak żołnierze się bali, że może to być trucizna pozostawiona przez Niemców. Żołnierz długo się wahał, jednak spróbował. Pochwalił, że mocny spirytus i wypił go z wodą. Czekaliśmy co będzie dalej. Po godzinie żołnierz zaczął płakać, że nic nie widzi. Oślepł . Wezwano kapitana, który zabrał go i powiedział, że pójdzie pod sąd wojenny i będą go sądzić jak dezertera. Aresztowali go i gdzieś odwieźli. Żołnierz ten nie był z naszego plutonu.

Po zmierzchu zjedliśmy kolację, starszy sierżant rozkazał naszemu plutonowi przygotować się do wyjazdu na pierwszą linię frontu. Wydali nam po trzy dyski nabojów do automatów i po trzy granaty. Na drogę kazali nabrać w kuchni do menażek gorącej wody. Wkrótce podjechały na podwórze trzy ciężarówki z osłoniętymi brezentem skrzyniami. Oznajmili, że za dwa dni front przesunął się o ponad dziesięć kilometrów naprzód, dlatego pojedziemy tam ciężarówkami. Wkrótce starszy sierżant wydał komendę, abyśmy ustawili się w szeregach, następnie sprawdził obecność. Wtedy usłyszeliśmy na niebie dźwięk samolotu. Możliwe, że był to radziecki samolot, lecz otrzymaliśmy rozkaz, aby przeczekać aż samolot przeleci i dopiero wtedy kazano nam wsiadać do ciężarówek. Ciężarówki ruszyły naprzód. Pojechaliśmy szosą przez wieś, a potem na północ. Jechaliśmy powoli bez włączonych świateł. Po dwudziestu minutach ciężarówki się zatrzymały i wysiedliśmy. Znowu stanęliśmy w czterech szeregach, starszy sierżant sprawdził, czy nikt nie zginął i poszliśmy naprzód. Przed nami słychać było od czasu do czasu trzaski wystrzałów z automatów. Wiadomo było, że linia frontu już niedaleko. Kiedy podeszliśmy bliżej usłyszeliśmy nawet gwizdy kul nad nami.

Tak jak i wcześniej znaleźliśmy się za jakimś budynkiem i tam weszliśmy do głębokich okopów. Starszy sierżant spotkał się z innym dowódcą i zaczęli nas rozprowadzać po okopach. Tak jak i poprzednio zmieniliśmy innych żołnierzy, którzy od południa atakowali Niemców i przeszli kilka kilometrów naprzód, zajmując po obu stronach cztery wsie. O zmierzchu zatrzymali się w niemieckich okopach. Niemcy niedawno je opuścili, przechodząc do innych położonych kilkaset metrów dalej. Zmieniłem starszego, około trzydziestoletniego żołnierza. Przywitaliśmy się i, on odchodząc na odpoczynek życzył mi powodzenia. Spojrzałem w stronę niemieckich okopów, ale tam niczego w nocy nie zauważyłem.

W pobliżu z jednej i z drugiej strony stali w okopach inni żołnierze z naszego plutonu. Od czasu do czasu między sobą cicho rozmawialiśmy. Na zmianę wyglądaliśmy z okopów, obserwowaliśmy czy czasem Niemcy nie spróbują podpełznąć do nas i zaatakować. Podczas gdy jeden wyglądał, drugi na chwilę mógł usiąść na ziemi i odpocząć. Na niebie zaczęły się zapalać rakiety i widać było przed nami małe niemieckie miasteczko z wysoką prostokątną wieżą kościoła. Sierżant zebrał nas i powiedział, że otrzymał rozkaz, iż po silnym artyleryjskim ostrzale z armat i „katiusz", nasz pluton musi podejść do szosy i przedzierać się w stronę miasteczka. Nasz i sąsiednie plutony mają obowiązkowo dzisiaj w nocy wyrzucić Niemców z tego miasteczka. Za miasteczkiem jest rzeczka i musimy za nią wypędzić Niemców.

Szturm na miasteczko

Wkrótce rozpoczęła się artyleryjska kanonada z haubic za naszymi plecami, a nawet poleciało kilka serii rakiet z „katiuszy". Słyszeliśmy wybuchy pocisków artyleryjskich na linii niemieckich okopów i dalej pod miasteczkiem. Potem zaczęli strzelać dymnymi pociskami, a na niebie zabłysły na spadochronach latarnie, które oświetliły nam widok na domy i wieżę. Niemcy strzelali z moździerzy, lecz

żaden pocisk nie trafił w nasze okopy. Gdy dym zasłonił nas przy ziemi gęstymi kłębami, artyleria zamilkła. Nad naszymi głowami gwizdały kule z niemieckich karabinów maszynowych i automatów, które leciały na oślep. Niemcy nas nie mogli widzieć. Gdy zamilkła artyleria radziecka, wyszliśmy z okopów i zaczęliśmy początkowo pełznąć, a potem biec w stronę szosy. Nieprzyjemnie było biec w nocy po zaoranym, zamarzniętym, nierównym i zaśnieżonym polu. Niejeden żołnierz co jakiś czas przewracał się potknąwszy się o wypukłość gleby pokrytej śniegiem. Biegliśmy, padaliśmy, wstawaliśmy i znowu biegliśmy.

Kilka kilometrów od miasta znajdowała się ufortyfikowana niemiecka fabryka cegły, ale napadł na nią znienacka jeden z oddziałów radzieckich i zdobył ją, zabijając sporą ilość żołnierzy niemieckich i dziesiątki ich biorąc do niewoli

Dobiegliśmy prawie do samej szosy i równolegle do niej w odległości kilku metrów jeden od drugiego nacieraliśmy w kierunku miasteczka. Niemcy nie stawiali dużego oporu. Początkowo strzelali do nas na oślep z karabinów maszynowych i moździerzy, a potem widocznie otrzymali rozkaz wycofać się, zostawić miasteczko i uciekać za rzekę. Z okien wielu domów terkotały karabiny maszynowe.

Podchodząc do miasteczka minęliśmy zasłonę dymną, przestały w pobliżu nas gwizdać kule, ponieważ Niemcy już do nas nie strzelali. Powoli zajmowaliśmy dom za domem, w których nikogo nie było. Obok szosy leżało kilka przewróconych chłopskich furmanek z artykułami żywnościowymi i ubraniem. Słychać było warkot czołgów na uliczkach miasta i strzelaninę.

Dochodząc w centrum miasta do ratusza, niespodziewanie ujrzeliśmy iż zapalił się budynek. Potem dowiedzieliśmy się, że była to szkoła. Wkrótce wśród ciszy zatrzeszczał karabin maszynowy z wysokiej wieży kościoła. Chowaliśmy się za ścianami domów i biegliśmy w stronę, skąd donosiły się trzaski karabinu maszynowego. Do kościoła dobiegł pierwszy sąsiedni pluton żołnierzy. Gdy doszliśmy do metalowego ogrodzenia kościoła, karabin maszynowy zamilkł.

PATENT Nr 71278

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej
potwierdza się, że

Pan SZATYŁOWICZ DYMITR

w latach walki zbrojnej z najeźdźcami
z honorem pełnił żołnierską powinność
i uzyskał prawo do zaszczytnego tytułu:

Weteran Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny

KIEROWNIK
URZĘDU DS SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

PREZES
RADY MINISTRÓW
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, 2002 r.

BÓG HONOR OJCZYZNA

Na placu kościoła była grupa żołnierzy i leżał tam na śniegu zmasakrowany młody chłopiec w niemieckim mundurze, z ust którego ciekła krew. Na rękawie munduru widać było emblemat w języku rosyjskim z napisem ROA i pod nim w czerwonej obwódce podobnej do kubka, ,,andriejewskij" krzyż, jak litera X.

– Własowiec, sukinsyn - powiedział jeden z żołnierzy.

Z wieży kościoła zeszło dwóch rosłych radzieckich żołnierzy z karabinem maszynowym, który ściągnęli z wieży. Latarnie na spadochronach na niebie dobrze oświetlały miasteczko. Żołnierze, którzy zeszli z wieży, opowiadali, że kiedy po cichu schodami kościoła weszli na górę, zobaczyli, jak on leżał w oknie wieży i strzelał. Nawet nie zauważył, kiedy do niego podeszli. Gdy odwrócił głowę i ujrzał lufy automatów skierowane w niego, stanął natychmiast na nogi i przestraszony powiedział: „Tawarzysze, nie strzelajcie, ja jestem rosjanintm".

– Ty jesteś Rosjaninem i do nas strzelasz? – zapytał się zdenerwowany radziecki żołnierz.

– Ja strzelałem do Niemców – kłamał własowiec.

Żołnierzy to tak zdenerwowało, że wzięli go za ręce i zrzucili przez okno z wieży kościelnej. Żal mi było młodego chłopca, który leżał obok, zamiast uciekać, poległ samobójczo, bo wiedział, że go na wieży kościelnej nikt nie uratuje od śmierci.

Gdy odeszliśmy od kościoła, Niemcy strzelali do nas z moździerzy zza rzeki. Rzeka Walsch (Wałcz) nie była szeroka lecz nie zamarznięta. Usłyszeliśmy dwa mocne wybuchy, Niemcy zniszczyli dwa mosty przez rzekę: jeden samochodowy, a drugi kolejowy do Braunsberga. Przedostać się na drugą stronę rzeki było ciężko. Na szczęście rozkazu takiego nie otrzymaliśmy. Będą to robić inni żołnierze, którzy nas zamienią. Podeszliśmy jeszcze pod dopalającą się szkołę, którą podpalili cofający się Niemcy.

Prawdopodobnie w szkole był sztab niemiecki, nie zdążyli wynieść wszystkich doku- mentów i dlatego ją podpalili. Miasto nazywało się Mehlsack (Pieniężno). Ratusz już był zajęty przez oddziały NKWD. Nikogo tam nie dopuszczano.

Zajęliśmy po kolei wszystkie domy, w których nie było już ludzi i doszliśmy do domów stojących niedaleko rzeczki. Weszliśmy do jednego z nich, podciągnęliśmy do okien wychodzących w stronę rzeczki karabiny maszynowe i zaczęliśmy strzelać od czasu do czasu w stronę, skąd donosiły się wystrzały Niemców, a oni strzelali do nas. Dzisiaj w naszym plutonie było tylko kilku zabitych i dwóch czy trzech rannych. W innych plutonach były większe straty. Poległo dużo Niemców, gdyż nie spodziewali się nocnego ataku. Zniszczonych zostało kilka czołgów niemieckich. Po nocy przyszedł do miasteczka nowy pluton żołnierzy i nas zamienił. Odchodząc zobaczyliśmy że za nami zaczęły płonąć dachy dwóch domów. Chyba zapalili je Niemcy pociskami. Odeszliśmy pięć kilometrów do pustej niemieckiej wsi, a potem do folwarku, gdzie mogliśmy zjeść obiad razem z kolacją, bo na śniadanie zjedliśmy suchy prowiant, przed szturmem na miasto. Poszedłem szukać miejsca, w którym mógłbym się przespać, byłem strasznie zmęczony. Znalazłem takie miejsce w jednym z pokoi na tapczanie, gdzie mogłem oprzeć się o ścianę i na siedząco zasnąć. O śmierci własowca napisałem potem wiersz białoruski, który umieściłem w swoim zbiorku ,,Strumienie losu.”

Mój drugi odpoczynek na froncie

18 lutego obudzili nas na śniadanie, gdy było już widno na dworze. Byłem zmęczony i niewyspany. Zdziwiło mnie, ze na folwarku nie było nie tylko niemieckich bauerów, ale i wywiezionych tutaj do pracy przymusowej Polaków, Ukraińców czy Białorusinów. Widocznie Niemcy wszystkich wypędzali w stronę Zalewu Wiślanego. Zostawiali żywe krowy, świnie, kury i gęsi, a ludzi wypędzali. Żołnierze znaleźli w piwnicy zastrzeloną młodą dziewczynę ze znaczkiem „P" na kurtce. Widocznie schowała się do piwnicy, bo chciała zostać i Niemcy ją tam znaleźli i zastrzelili. Już wcześniej pochowano ją w sadzie w pobliżu radzieckich żołnierzy, którzy zginęli tutaj w ataku na ten folwark. Pamiętam, że do śniadania dali nam po sto gramów mocnej wódki i starszy sierżant powiedział, że mamy wolny czas i możemy już iść spać.

Pod wieczór otrzymaliśmy wiadomość, że dzisiaj 18 lutego zmarł od odłamka pocisku artyleryjskiego dowódca naszego 3-go Białoruskiego Frontu, generał armii Iwan Czerniachowskij. Przyjechał na inspekcję frontu niedaleko od nas i w pobliżu miasta Mehlsack, wyszedł z samochodu obejrzeć okopy. Gdy wrócił do samochodu w pobliżu wybuchł pocisk, odłamek którego przebił ściankę pojazdu i ranił go śmiertelnie. Kierowcy nic się nie stało. Generał zmarł bardzo szybko. Trzecim Białoruskim frontem zaczął kierować Marszałek Związku Radzieckiego Aleksandr Wasilewskij.

Obejrzałem wszystkie pokoje, z wyjątkiem tego, który zajął sobie starszy sierżant, a także piwnicę i strych. W pokojach stały meble, w jednej małej biblioteczce były jakieś niemieckie książki, a w kuchni w kredensach leżały talerze, garnki, łyżki i widelce. Przy ścianie znajdowała się ręczna pompa do wody. W piwnicy stała centryfuga i maselnica. Na strychu ujrzałem worki z pszenicą, żytem, owsem i jęczmieniem. Wróciłem do pokoju i razem z innymi żołnierzami zasnąłem siedząc na tapczanie w płaszczu i w butach.

Obudzili nas na obiad. Na podwórku stała wojskowa polowa kuchnia, która nas nakarmiła. Na północy, na froncie słychać było wybuchy pocisków artyleryjskich i moździerzowych. Widocznie Niemcy mocno się bronili. Zobaczyliśmy dwa radzieckie samoloty, które przeleciały nad linią frontu i widocznie zrzuciły kilka bomb, bo usłyszeliśmy mocne wybuchy. Potem ujrzeliśmy w trzech miejscach buchające w niebo pożary.

Poszedłem obejrzeć chlewy. Tam stały cztery krowy i spokojnie z góry skubały siano czy koniczynę, którą jakiś żołnierz zrzucał im ze strychu na drabinki. Krowy były spokojne, wojna je nie denerwowała. Koni w chlewie nie było. Cztery miejsca dla koni były puste. Znajdowała się tam również ręczna pompa. Niemcy nie zostawili koni Rosjanom. W drugim chlewie kwiczały dwa głodne wieprze. Jeszcze ich nie zarżnęli na mięso do żołnierskiej kuchni, ale wkrótce to zrobią. Jeszcze żywe gdakały w chlewiku kury i gęgały dwie gęsi. Za kilka dni ich już tutaj nie będzie. W stodole stała wielka motorowa młockarnia, konna kosiarka, żniwiarka i kopaczka do ziemniaków. Z boku w przegrodach leżało siano, koniczyna i słoma.

– Bogaty był Niemiec – powiedział jeden z żołnierzy. – I trzeba było rozpoczynać im wojnę? – zapytał.

Sierżant powiadomił, że zgodnie z rozkazem po kolacji pojedziemy na pierwszą linię frontu. Wszyscy muszą być gotowi. Podwiozą nas pięć kilometrów ciężarówkami, a potem pod linię frontu pójdziemy pieszo. Poszedłem jeszcze do pokoju, usiadłem na tapczanie, żeby trochę się zdrzemnąć, ale nie mogłem zasnąć. Sierżant uprzedził nas, że będzie nam ciężko, bo Niemcy teraz stawiają zaciekły opór. Trzeba ich wypędzać z każdego folwarku. Starałem się nie myśleć o tym, co może nas spotkać w nocy i jutro w dzień, ale nie mogłem.

Wezwano nas na kolację do kuchni polowej. Po kolacji kazali nam zabrać suchy prowiant, nabrać gorącej wody do menażek. Trzy ciężarówki stały już na podwórku.

Gdy zapadł zmrok siedliśmy po sprawdzeniu obecności do ciężarówek i ruszyliśmy. Przejeżdżaliśmy przez miasteczko, zobaczyliśmy cień wieży, z której wczoraj strzelał do nas własowiec, przekroczyliśmy pontonowy most na rzece Walsch, przed którą wczoraj zatrzymaliśmy się, a nas wymienił inny pluton. Wkrótce musieliśmy wysiąść z ciężarówek. Na północ od nas słychać było wystrzały z automatów. Spotkał nas porucznik i razem ze starszym sierżantem poprowadzili na pierwszą linię frontu. Szliśmy wąską dróżką dwa lub trzy kilometry. Zaprowadzili nas na niemiecki folwark. Czekał już na nas pluton, który szedł na odpoczynek. Rozstawili nas na folwarku w różnych miejscach. Trafiłem jeszcze z innym żołnierzem na poddasze domu, żeby siedzieć przy oknie, w które był wstawiony karabin maszynowy i obserwować niemieckie pozycje po stronie północnej. Gdybyśmy zobaczyli poruszających się w naszą stronę Niemców natychmiast mieliśmy do nich strzelać z karabinu maszynowego. Karabin mieliśmy naładowany, a obok leżało kilka zapasowych taśm z nabojami.

Tutaj było znacznie lepiej i cieplej niż w okopach, można nawet siedzieć na stołku w pobliżu okna, ale nie wolno zasnąć. Dlatego przez cały czas spoglądając w okno, rozmawialiśmy ze sobą. Mój rozmówca wstawał często i chodził w ciemności po poddaszu. Gdy siedział on przy oknie, ja również wstawałem i chodziłem. Od czasu do czasu w niebo wylatywały płonące rakiety i oświetlały śnieżne pole i folwarki, które były przed nami. Kilka razy przychodził do nas starszy sierżant sprawdzić, czy nie śpimy. W taki sposób przesiedzieliśmy przy karabinie maszynowym do samego rana.

Kontratak Niemców i nasza ofensywa

O świcie zobaczyliśmy w oknie 200 metrów od nas z prawej i z lewej strony dwa niemieckie folwarki. Przy każdym był nieduży sad. Za folwarkiem z lewej strony znajdowała się przy drodze o 250 metrów od gospodarstwa mała wieś, po sześć zagród z każdej

strony drogi z domami, oborami i stodołami. W tych zabudowaniach siedzieli Niemcy.

Przyszedł do nas starszy sierżant, aby uprzedzić, że nie należy pokazywać twarzy w oknie, bo mogą zabić. Przez mały otwór pod dachówką pokazał nam folwark z lewej strony, który po ostrzale artyleryjskim będziemy musieli zająć. Gdy znajdzie się on w naszych rękach trzeba będzie wspólnie z sąsiednim plutonem zaatakować i zająć małą wieś, która znajduje się za folwarkiem. Nie zdążył on od nas odejść, gdy zaczęły strzelać niemieckie moździerze i haubice.

– Widocznie, nas będą atakować fryce – powiedział on i dał rozkaz, żeby mój towarzysz do nich strzelał. A ja mam podawać mu taśmy z nabojami. Powiedział i pobiegł na dół.

Słychać było, jak pociski wybuchały koło naszego domu, na podwórzu i na ośnieżonym polu. Na polu wybuchały przeważnie pociski dymne i wkrótce kłęby dymu zasłoniły nam widok na jeden i na drugi folwark. Patrzyłem przez szczelinę na dym, czy w nim gdzieś pojawią się sylwetki niemieckich żołnierzy. Zaraz odezwała się za nami radziecka artyleria.

Słychać było wybuchy pocisków gdzieś za dymem przy niemieckich siedzibach. Po jakichś 20 minutach zauważyłem łańcuch niemieckich żołnierzy. Na dole zatrzeszczały nasze karabiny maszynowe. Wtedy kolega zaczął strzelać. Widać było jak padali na śnieg zabci Niemcy. Kilka kul przebiło dachówki naszego domu i słychać było, jak odbijały się kule od muru poddasza. Jednak żadna kula nie trafiła do okna. Lecz pełzających Niemców było coraz mniej. Kiedy pojedyncze osoby doszły prawie na odległość 30 metrów od naszego folwarku, nagle zawróciły, zaczęły uciekać i wkrótce schowały się całkiem w kłębach dymu, który powoli zaczął robić się rzadszy. Wtedy kolega przestał strzelać, zamilkły też karabiny maszynowe na dole. Czekaliśmy około 30 minut czy Niemcy drugi raz nas nie zaatakują. Przyszedł starszy sierżant i rozkazał zostawić karabiny maszynowe i schodzić tylko z automatami na dół. Zeszliśmy na podwórko naszego domu, zobaczyliśmy tylko jednego

zabitego radzieckiego żołnierza, a dwóch rannych sanitariusze gdzieś nieśli na noszach. Kuchnia polowa stała na podwórku. Kazali nam zjeść śniadanie i przygotować się do ataku. Wydali nam po trzy granaty i po dwa dyski nabojów do naszych automatów. Po dziesięciu minutach odezwała się nasza artyleria. Ostrzeliwała ona folwarki i wieś. Na polu zaczęły wybuchać dymne pociski artyleryjskie. Gdy dym zasłonił wszystko, starszy sierżant poprowadził nas do ataku na folwark leżący z naszej lewej strony Rozciągnęliśmy się i powoli szliśmy w stronę zabudowań. Na śniegu ujrzeliśmy trzech zabitych Niemców. Jeden niemiecki żołnierz leżał ciężko ranny i dawał oznaki życia, lecz nasz żołnierz strzałem w głowę odebrał mu życie.

– Niech się nie męczy – powiedział.

Powoli podeszliśmy od strony sadu do folwarku. Wtedy przez dym zobaczyliśmy, że w gospodarstwie tym paliła się drewniana stodoła. Odezwały się z folwarku serie z karabinów maszynowych. Zagwizdały nad nami kule. Starszy sierżant rozkazał, abyśmy się położyli i pełzli w stronę ogrodzenia sadu. Ogrodzenie było zrobione z drewnianych sztachet. Podpełzliśmy do nich i zaczęliśmy zrywać je i przez dziury przechodzić do sadu.

Znalazłszy się w sadzie zobaczyliśmy w kłębach dymu sylwetki domu i chlewów. Pełzliśmy i strzelaliśmy. Niemieckie karabiny maszynowe terkotały z okien domu. Zobaczyłem jak żołnierz, który był około trzech metrów ode mnie znieruchomiał. Podpełzłem do niego i stwierdziłem, że jest martwy. Starszy sierżant dał mi znak ręką, żebym się nie zatrzymywał. Nagle krzyknął do mnie, żebym podczołgał się do niego, bo kula trafiła go w lewą rękę. Poprosił mnie, abym ściągnął zakrwawiony płaszcz i koszulę z jego lewej ręki, wyciągnął bandaż z jego torby i mocno zabandażował. Kula przeszła mu przez mięsień ręki i z tyłu wyrwała większy otwór. Krew płynęła mocno i ciężko było ją zatamować. Udało mi się zabandażować rękę, przywiązać do ciała, aby była nieruchoma.

W tym czasie, gdy bandażowałem rękę starszego sierżanta, żołnierze z plutonu podbiegli pod dom, rzucili granaty do okien i weszli

do środka. Gdy zamilkły karabiny maszynowe, wziąłem starszego sierżanta pod rękę i podeszliśmy do zajętego przez żołnierzy domu. Policzył on nasze straty: czterech naszych żołnierzy poległo, a siedmiu, razem ze starszym sierżantem było rannych. W domu zginęło czterech niemieckich żołnierzy, jeden leżał za chlewem. Inni uciekli w kierunku wsi. Stodoła już prawie spłonęła.

Nagle z obory wyszło dwóch niemieckich żołnierzy z podniesionymi rękami bez automatów. Starszy sierżant i radzieccy żołnierze byli w tym czasie na podwórku. Jeden z żołnierzy na rozkaz starszego sierżanta podszedł prędko do nich i przeszukał. Pistoletów nie mieli. Powiedzieli, że swoje automaty zostawili w oborze. Żołnierze weszli tam i wynieśli niemieckie automaty. Niemcy drżeli ze strachu i powtarzali: Hitler kaput! Starszy sierżant wziął jedną ręką ich dokumenty, które przekazał mu rewidujący ich żołnierz. On też pomógł otworzyć starszemu sierżantowi torbę, do której zostały schowane dokumenty. Niemcom związali z tyłu ręce sznurem i zaprowadzili do domu. Byli to dwaj młodzi chłopcy, którzy niedawno ukończyli po 16 lat i według dokumentów w grudniu 1944 roku wzięli ich do Wehrmachtu. Starszy sierżant poprosił abym wszedł do domu i tłumaczył zeznania Niemców. Na pytanie, ilu niemieckich żołnierzy było w tym folwarku odpowiedzieli, że dwunastu. To znaczy, ze pięciu z nich uciekło.

– A więc wy nie zdążyliście uciec? – zapytał starszy sierżant.

– Nie, myśmy nie chcieli uciekać, bo nie chcemy już walczyć za Hitlera – odpowiedział jeden z nich.

– Szkoda, bo przez was mam tylko kłopoty – powiedział po cichu sierżant. Słów tych im nie przetłumaczyłem.

W trakcie rozmowy z Niemcami, przyszedł żołnierz i powiadomił, że z piwnicy wyszli 20-letni Polak i 17-letnia Polka, którzy byli pracownikami przymusowymi u bauera. Przyprowadzili ich do nas. Powiedzieli, że cała rodzina bauera, u którego pracowali uciekła parę dni temu, oni schowali się w przygotowanej wcześniej kryjówce

w piwnicy, której niemieccy żołnierze w rozgardiaszu, jaki tutaj panował nie zauważyli. Gdyby ich znaleźli, to mogliby rozstrzelać. Starszy sierżant sprawdził ich ausweisy, napisał coś na papierku, dał im do ręki ten papierek i kazał uciekać na południe, informując, że tutaj wkrótce może być niebezpiecznie. Polacy zabrali wszystkie swoje rzeczy i poszli. Niemieccy żołnierze pod konwojem zostali odesłani do sztabu.

Wkrótce przyszli do nas sanitariusze, obejrzeli rękę starszego sierżanta. Lepiej mu ją zabandażowali i powiedzieli, żeby szedł do wojskowego szpitala polowego, ale on się nie zgodził. Sanitariusze wynieśli na noszach wszystkich rannych żołnierzy do ciężarówki, która stała gdzieś na drodze. W sadzie wykopane zostały dwie jamy. W jednej pochowano zabitych radzieckich, a w drugiej niemieckich żołnierzy.

Nas było zbyt mało, żeby atakować Niemców we wsi. Wkrótce przyszedł do nas porucznik i przyprowadził drugi pluton do pomocy. Starszemu sierżantowi coraz bardziej bolała ręka i porucznik zażądał, żeby ciężarówką jechał on do wojskowego szpitala polowego, bo w przeciwnym wypadku może stracić rękę. Sierżant pożegnał się z nami i odjechał. Więcej z nim nigdy się nie spotkałem.

Porucznik przeliczył nas zgodnie z listą przekazaną mu przez starszego sierżanta i powiedział, że po artyleryjskim ostrzale wsi pójdziemy do ataku na Niemców. Przed nami pójdzie pluton, który znajduje się bliżej wsi i który ma do pomocy czołg. Żołnierze będą atakować z tyłu za czołgiem.

W chlewie stały trzy krowy. Trzej żołnierze poszli z wiadrami, wydoili krowy i każdy żołnierz otrzymał po kubku świeżego mleka. Zjedliśmy swój suchy prowiant i popiliśmy mlekiem. Niektórzy żołnierze nie lubili mleka, a może bali się go pić i dlatego oddali innym.

Po jakimś czasie zagrzmiała nasza artyleria. Na wieś poleciała krótka seria ognistych pocisków rakietowych z ,,katiuszy”, a po niej zaczęły na polu wybuchać dymne pociski artyleryjskie i kłęby dymu

zasłoniły wieś. Gdy artyleria ucichła wówczas tyralierą poszliśmy w kierunku wsi. Nie było słychać gwizdu niemieckich kul, słyszeliśmy tylko wystrzały z automatów naszych sąsiednich plutonów z lewej i prawej strony. Nie strzelaliśmy, bo porucznik nam nie pozwolił, żeby nie marnować naboi. Kiedy dym na polu zrobił się rzadszy, zauważyliśmy niedaleko pierwsze domy, chlewy i stodoły wsi. W jednym miejscu paliła się stodoła i obok niej stóg słomy. Wieś już zajmował z lewej strony inny pluton. Z prawej strony jechał strzelając z karabinu maszynowego czołg, za którym biegli żołnierze. Wypędzili oni Niemców za wieś.

Niemcy bronili się słabo i odchodzili na północny zachód. Przy domach zauważyłem zabitych dwóch niemieckich żołnierzy. W piwnicy domu leżała martwa kobieta, obejmowała ją mała dziewczynka, która płakała i krzyczała: Muter! Muter! Z piwnicy domu wyszli staruszek i kobieta z dziećmi. Z nimi stało dwóch Polaków, ze znaczkami „P" na piersiach i kilku przymusowych pracowników innych narodowości. Pojawił się kapitan NKWD i kazał im wszystkim wejść do jednego domu, możliwe, że na przesłuchanie. Poszliśmy dalej pod budynek niemieckiej szkoły. Porucznik przeliczył nas. Nie było strat, nikt nawet nie został ranny. Inne plutony poniosły nieduże straty, byli zabici i ranni. Wkrótce przyjechali sanitariusze i pozbierali z pól rannych żołnierzy, załadowali do ciężarówek i powieźli do polowych szpitali. Pozbierali też zabitych i powieźli gdzieś, aby pochować w zmarzniętej ziemi. Pożary wkrótce same zgasły.

Zapadał zmierzch, gdy zjawił się na zmianę nowy pluton. Przyprowadził go inny porucznik. Poszedł on na pierwszą linię frontu, a my wróciliśmy do folwarku, który rankiem zajęliśmy. Na podwórku stały już cztery ciężarówki, które zabrały nas i odwiozły pięć kilometrów na południe od frontu. Rozmieszczono nas w trzech sąsiednich folwarkach. Nasz stary pluton trafił do gospodarstwa, gdzie byli już inni żołnierze, ale tam znajdowała się też wojskowa kuchnia polowa. Czekała już przygotowana kolacja, którą zmęczeni i głodni

zjedliśmy z apetytem. Folwark ten niczym się nie różnił od innych niemieckich gospodarstw.

Pamiętam, że dom był duży, miał sześć pokoi i kuchnię. W pokojach stały tapczany i łóżka. W kuchni była pompa do wody Nalałem sobie do miski wody, rozpaliłem kuchnię, podgrzałem wodę i dobrze się umyłem. Do kuchni nikt nie zaglądał, bo wszyscy żołnierze byli tak zmęczeni, że spali. Na podwórku stał tylko wartownik z automatem i obserwował. Żołnierze położyli się spać nie myjąc się. Znalazłem w jednym z pokoi wolne miejsce na tapczanie, gdzie mogłem usiąść i położyć głowę. Zasnąłem snem kamiennym do ranka

20 lutego 1945 roku.

Mój ostatni odpoczynek na froncie

Na śniadanie obudzili nas o godzinie siódmej. Po śniadaniu wezwał mnie lejtnant. Zapytał, czy dobrze znam język niemiecki. Odpowiedziałem, że rozmawiam po niemiecku, ale popełniam błędy.

– Czy mógłbyś przetłumaczyć z języka niemieckiego na rosyjski niektóre niemieckie dokumenty, mając do pomocy słownik rosyjsko-niemiecki?

– Nigdy tego nie robiłem –odpowiedziałem.

– A w szkole? – popatrzył mi w oczy.

– W szkole tłumaczyłem tylko teksty z podręcznika niemieckiego z 6 i 7 klasy – uśmiechnąłem się.

– Polecił, abym poszedł do sztabu we wsi. Tam pokażą mi te dokumenty, a ja mam ocenić, czy będę mógł przetłumaczyć je na język rosyjski. Taki otrzymałem rozkaz i papierek z jego podpisem.

Poszedłem do wsi, która znajdowała się około 300 metrów od naszego folwarku. Wartownika, który chodził przy domach zapytałem, gdzie jest sztab, pokazując mu papierek, otrzymany od lejtnanta. Wartownik powiedział, że mnie zaprowadzi do sztabu. Przy sztabie, który znajdował się w niemieckiej szkole, poprosił o oddanie

automatu. Wszedł ze mną do pokoju i zameldował, że mnie przyprowadził. W pokoju zasalutowałem majorowi, który siedział za stołem i powiedziałem, że wysłał mnie tutaj lejtnant, żeby przetłumaczyć jakieś niemieckie dokumenty na język rosyjski.

– Dobrze, dam ci te dokumenty. Na sąsiednim stole leży papier, obsadka z piórem, atrament. Tam też jest „Duży niemiecko-rosyjski słownik" i „ Niemiecko-rosyjski słownik z techniki wojennej". Siadaj i tłumacz. Jeżeli jakiegoś słowa nie znajdziesz w słowniku, to napisz go po niemiecku. – Pokazał mi gdzie mam usiąść i tłumaczyć. Usiadłem przy stole i otrzymałem osiem niemieckich wojskowych dokumentów napisanych na maszynie do pisania.

Powoli zacząłem tłumaczyć te dokumenty, zaglądając od czasu do czasu do jednego, lub drugiego słownika. Były to dokumenty sztabowe z frontu. Nie widziałem w nich nic ciekawego, ale dla majora widocznie przedstawiały jakąś wartość. Męczyłem się ze trzy godziny nad tłumaczeniem. On po kolei odbierał ode mnie przetłumaczone dokumenty i nie wyraził żadnego zastrzeżenia. Gdy przetłumaczyłem mu ostatni dokument, podziękował mi i zapytał, czy palę papierosy. Odpowiedziałem, że jeszcze się nie nauczyłem. Wtedy wyjął z bufetu butelkę wódki, nalał mi jeden kieliszek i podał. Wypiłem i podziękowałem. Powiedział, że może jeszcze kiedyś mnie zawoła. Oddał mi mój automat, który zostawił mu wartownik. Zasalutowałem i wyszedłem. Wróciłem do folwarku na obiad.

Żołnierze powiedzieli, że mi się udało, bo lejtnant wyprowadził ich w pole i przez trzy godziny kazał biegać, pełzać po śniegu, wstawać, maszerować i śpiewać. Na obiad wrócili zmęczeni. Starszy sierżant był lepszy od lejtnanta, skarżyli się.

Po obiedzie lejtnant rozkazał, abyśmy się zebrali w pustej stodole. Tam przeczytał z gazety wiadomości z frontu. Pamiętam, że powiedział, iż Niemcy we wschodnich Prusach bronią się zaciekle w Königsbergu, gdzieś nad morzem i tutaj, gdzie jesteśmy. Na zachodzie zaś Armia Czerwona doszła już do Odry i znajduje się 70 km

od Berlina, a na południu już zajęła Budapeszt. Powiedział też, że Wojsko Polskie pod dowództwem Michała Roli-Żymierskiego walczy razem z Armią Czerwoną przeciwko niemieckim okupantom. Na zakończenie stwierdził:

– Wierzę, że za 2-3 miesiące nastąpi kapitulacja Niemiec i kto do tego czasu dożyje, wróci szczęśliwie do domu. A teraz jesteście wolni i po kolacji, oprócz tych co są w pierwszej kolejności wyznaczeni na wartę, możecie iść spać. Następnych będą budzić. Rozkład warty jest u starszego szeregowca. Proszę sprawdzić!

Sprawdziłem: mnie na tę noc na warty nie wyznaczono. Byłem wolny. Obszedłem dookoła cały folwark, a po kolacji, nagrzałem w kuchni wody, umyłem się i poszedłem spać już drugą noc w tym gospodarstwie.

Mój ostatni dzień na froncie

Obudzili nas rano. Zdążyłem jeszcze umyć ręce i twarz ciepłą wodą, którą ktoś przygotował na kuchni. W kuchni polowej otrzymaliśmy śniadanie i suchy prowiant. Godzinę po śniadaniu na podwórze przyjechały trzy ciężarówki przykryte brezentem i po sprawdzeniu obecności wsiedliśmy do nich. Pluton nasz uzupełnili kilkoma nowymi żołnierzami. Dziś mamy w dzień jechać w kierunku linii frontu. Szybko ruszyliśmy naprzód.

Po 15 minutach zatrzymaliśmy się, wyszliśmy z ciężarówek i weszliśmy gęsiego do okopu, który ciągnął się prawie kilometr w stronę folwarku, do którego doszliśmy. Z przodu szli przewodnik i porucznik. Weszliśmy na podwórko niemieckiego gospodarstwa z dużym piętrowym domem stojącym z południowej strony, dwoma dużymi oborami od północy i stodołą od zachodu. Spotkał nas odchodzący na odpoczynek pluton. Dowódca tego plutonu przywitał się z naszym lejtnantem, pokazał, gdzie ma rozstawić nasz pluton i gdzie jest wróg. Dał mu plan naszej ofensywy na następny folwark,

położony jakieś 300 metrów od naszego z północno-zachodniej strony i odszedł ze swoim plutonem do okopu.

Nie zdążył jeszcze lejtnant rozstawić wszystkich żołnierzy z naszego plutonu do obrony, jak zaczęła się niemiecka kanonada. Pierwszy artyleryjski pocisk wybuchł w pobliżu stodoły, obsypał ziemią zmieszaną ze śniegiem mnie i innych żołnierzy. Blisko mnie stał duży konny wóz, instynktownie rzuciłem się pod niego i w tym momencie w pobliżu mnie wybuchł drugi artyleryjski pocisk. Poczułem mocne uderzenie w lewy bok i krew zalała mi lewe oko. Myślałem, że straciłem to oko, lecz prawą ręką namacałem i ucieszyłem się, że oko jest całe, a odłamek przeciął mi tylko lewą brew nad okiem. Gdy chciałem podnieść lewą rękę poczułem ostry ból i na krótki czas straciłem przytomność. Wtedy usłyszałem wybuch trzeciego pocisku, ale już dalej ode mnie. Potem wszystko przycichło i usłyszałem stękanie i krzyki. Wkrótce zjawili się na podwórku sanitariusze. Dwóch podeszło do mnie, zakleili plastrem brew, zdjęli ze mnie płaszcz i pod koszulą zobaczyli, że mój cały bok jest siny od uderzenia zamarzniętą grudą ziemi.

– Nic strasznego się nie stało, żołnierzu, będziesz żył, jesteś tylko kontuzjowany. A tutaj zginęło dwóch żołnierzy – powiedział jeden z sanitariuszy.

Okręcili mi cały bok bandażami, bo nie wiedzieli, czy od uderzenia nie mam złamanego żebra, założyli płaszcz i na noszach zanieśli mnie do ciężarówki. Leżało już tam dwóch żołnierzy, jeden był bez nogi i on najbardziej płakał i krzyczał. Szybko zawieźli nas do szpitala polowego na jednym z niemieckich chutorów, tam obejrzała mnie lekarka wojskowa i kazała przenieść do drugiej ciężarówki i zawieźć do szpitala wojskowego.

Otrzymałem jakieś tabletki na uśmierzenie bólu i z czterema innymi rannymi żołnierzami zostałem przewieziony do wojskowego szpitala. W ciężarówce obok leżał żołnierz z oberwaną nogą. Na drogę dali mu uśmierzające ból zastrzyki, bo przez całą drogę spał.

Wieźli nas długo i pod koniec podróży moje tabletki przestały już działać i czułem, że mój bok zaczyna coraz bardziej boleć. W nocy dowieźli nas do ogromnego murowanego budynku, widocznie niemieckiego szpitala i zanieśli do pokoju, gdzie stało pięć łóżek. Dawno już nie leżałem w łóżku, ale wolałem spać na siedząco niż leżeć w łóżku z bólem boku. Potem dowiedziałem się, że szpital znajduje się w tym samym mieście Seeburgu, skąd zabrali mnie kiedyś na front. Przywieźli mnie do szpitala 22 lutego 1945 roku.

7. Pobyt w wojskowym szpitalu w Seeburgu

Na następny dzień zanieśli mnie na rentgen i stwierdzili, że nie mam złamanych żeber. Na jednym zdjęciu widoczna była tylko cienka rysa. Lekarka kapitan, która obejrzała moje zdjęcia powiedziała:

– Za trzy tygodnie będziesz już dobrze chodził.

Kierownikiem szpitala był podpułkownik Borys Biegoulew, bohater ZSRR. Tytuł bohatera Związku Radzieckiego otrzymał jeszcze w 1938 roku na froncie japońskim za wynoszenie rannych z pola walki przy jeziorze Chasan. Mówili, że sympatyczna lekarka kapitan, która mnie badała, była w tym czasie jego wojskową żoną.

Rannym okiem widziałem, ale dużo gorzej niż prawym. Lekarz okulista powiedział, że od uderzenia odłamkiem nastąpiło „zmętnienie szklistego ciała” w oku. Nikt tam nie leczył ani mego oka, ani kontuzji. Dawali tylko leki uśmierzające ból. Mój młody organizm powoli przezwyciężał ból, a rany się goiły. Na drugi tydzień zacząłem już wstawać z łóżka, chodzić i nawet pomagać rannym.

5 marca zrobili mi drugi raz prześwietlenie i stwierdzili, że rysa na żebrze zginęła, siny bok zrobił się błękitny, a potem biały. 15 marca przyszła znowu lekarka kapitan i powiedziała, że musi mnie wypisać ze szpitala. Lecz ze względu na oko na front nie skieruje i dlatego proponuje mi, abym został w szpitalu jako pomocnik sanitariuszy, bo i tutaj ludzie są potrzebni do pracy. Stwierdziła po-

nadto, że będę jeszcze w szpitalu pięć dni, a od 20 marca zostanę zarejestrowany jako sanitariusz.

20 marca zaprowadzono mnie do poniemieckiego domu. Tam z lewej strony były trzy pokoje i w każdym z nich stało po 5 łóżek. W pierwszym pokoju otrzymałem swoje łóżko, gdzie w czasie wolnym od pracy spałem. Zapoznałem się z innymi żołnierzami, którzy tak jak ja pracowali jako sanitariusze w szpitalu. Mieliśmy dyżury w szpitalu na zmianę, częściej w dzień, a czasami i w nocy. Pracy już dużo nie było, bo front oddalał się i rannych przywożono coraz mniej.

W szpitalu pracowały też młode Niemki, które mieszkały w naszym domu, z jego prawej strony, lecz do ich pokoju było inne wejście, obok naszego. Kiedy dowiedziały się, że rozmawiam po niemiecku, często zapraszały mnie i kolegów do siebie. Były sympatyczne. Zdarzało się, że czasem pijani żołnierze dobijali się do nich, żeby je zgwałcić. Często ratowaliśmy je, wzywając na pomoc ludzi, którzy pijanych żołnierzy odpędzali od naszego wspólnego domu.

Naszym dowódcą był wyjątkowo sympatyczny starszy sierżant (starszyna), z którym nie mieliśmy nigdy zadrażnień. Wyznaczał nam czas dyżurów, co i gdzie mamy robić. Gdy szedłem do szpitala z innym zaprzyjaźnionym sanitariuszem spod Mogilowa, z którym mieszkałem w jednym pokoju przyczepił się do nas pijany oficer NKWD. Powiedział po niemiecku, że jesteśmy szpiegami niemieckimi, zerwał z nas naramienniki i trzymając w ręku pistolet nas aresztował. Zabrał nas do swego urzędu NKWD i zapędził do małego pokoju w piwnicy, gdzie spali na podłodze aresztowani Niemcy. Potem przeprowadził nas do innego pokoju, gdzie też na betonie spali aresztowani Niemcy. Strasznie tam śmierdziało, bo uryna od śpiących Niemców płynęła po podłodze aż do drzwi. Przyjaciel, który urodził się w Związku Radzieckim strasznie się zdenerwował i zaczął ze strachu drżeć. Akurat nie mieliśmy przy sobie naszych wojskowych dokumentów, bo zostawiliśmy w swoim pokoju. Wkrótce jed-

nak przyszedł jakiś trzeźwy pracownik NKWD. Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy żołnierzami i pracujemy w szpitalu, lecz zostawiliśmy w naszym pokoju dokumenty. Wyprowadził nas z piwnicy do widnego pokoju na piętrze z oknami na ulicę. Zostawił nas i powiedział, że wkrótce zawoła nas do wyjaśnienia sprawy. Usłyszeliśmy, że ktoś gra na fujarce i podeszliśmy do okna. W tym momencie zobaczyliśmy naszego starszego sierżanta idącego ulicą do szpitala. Zaczęliśmy mocno stukać w okno, starszy sierżant spojrzał do góry i nas zobaczył. Zdziwiony machnął nam ręką, wszedł do naczelnika NKWD z pretensją, że aresztował jego podopiecznych. Uwierzyli mu i nas od razu wypuścili. O tym incydencie napisałem wiersz po białorusku, który umieściłem w zbiorku „Strumienie losu".

Inny incydent z NKWD mieliśmy pod koniec marca. Sanitariusze z nocnej zmiany odpoczywali w swym pokoju. Gdy wróciliśmy wieczorem z pracy dowiedzieliśmy się, że odpoczywający żołnierze, zostali zabrani przez grupę NKWD bez porozumienia z kierownictwem szpitala i wywiezieni w niewiadomym kierunku. Zawiadomiliśmy o tym naszego starszego sierżanta, a on kierownictwo szpitala. Przez pół godziny wrócił do nas starszy sierżant i nas pocieszył, że kierownik szpitala, podpułkownik Borys Biegoulew zainteresował się tym i będzie rozmawiał z naczelnikiem NKWD. Nie zdążył starszy sierżant odejść od naszego domu, gdy zauważył, że pod dom podjechała ciężarówka z pracownikami NKWD, którzy przyszli i kazali nam wychodzić z rzeczami do ciężarówki. Zawieźli nas daleko poza miasto. Na nasze pytanie dokąd nas wiozą, w końcu wycedzili, że wyślą nas na front walczyć z Niemcami. Zaprowadzili nas do pokoju w jakiejś zagrodzie we wsi i kazali czekać. W pokoju siedzieliśmy może pół godziny, a potem zdecydowali, że mamy wyjść i siadać do ciężarówki. Przez okna zobaczyliśmy, że wracamy do Seeburga. Przywieźli nas pod dom i kazali iść spać. Podpułkownik Borys Biegoulew uratował nas od frontu, bo nadal pracowaliśmy w szpitalu, ale zmiana, którą zabrali w dzień, do szpitala już nie wróciła. Co z nimi się stało – nie wiadomo.

W marcu napisałem list do rodziców w Czeremsze i wysłałem go pocztą polową. Odpowiedzi nie otrzymałem. Gdy wróciłem do domu w styczniu 1946 roku, dowiedziałem się, że moja matka i siostra otrzymały ten list dopiero w czerwcu 1945 roku, gdy byłem już w innym miejscu. Jednak moja matka dowiedziała się, że żyję, bo w Czeremsze ktoś rozpowszechniał plotkę, że zginąłem. W wolnym czasie w pokoju, gdy nikogo nie było, dokładnie zapisałem w zeszycie moje frontowe perypetie, napisałem też parę wierszy, które przywiozłem do Czeremchy.

Na początku kwietnia w szpitalu nie było już ani jednego rannego żołnierza. Wszystkich gdzieś zabrali. Na 3 kwietnia był wyznaczony termin wyjazdu całego wojskowego szpitala. Część urządzeń ze szpitala wywieźli gdzieś ciężarówkami, a resztę załadowali na wozy konne. Rankiem karawana konnych wozów, kierowanych przez żołnierzy i sanitariuszy ruszyła na północ. Jeden taki wóz, który ciągnęły dwa konie dali mnie. Jechaliśmy powoli. Na wozie miałem miękką pościel, toteż w nocy, gdy zatrzymywaliśmy się gdzieś na nocleg, mogłem spać wygodnie na wozie.

Jechaliśmy zdaje się przez trzy doby i 6 kwietnia przyjechaliśmy do byłego niemieckiego wojskowego szpitala, nie mniejszego niż w Seeburgu, w niedużym miasteczku Wehlau. Był on już gotowy do przyjęcia rannych żołnierzy. Wehlau znajduje się 40 kilometrów na wschód od Königsberga przy rzece Alein (Ława). Obecnie miasto to znajduje się w Kaliningradzkim obwodzie w Gwardiejskim rejonie i nazywa się Znamiensk.

8. W szpitalu wojskowym w Wehlau

Gdy przyjechaliśmy do szpitala wojskowego w Wehlau, w pobliżu szpitala czekał na sanitariuszy mężczyzn duży brezentowy namiot, w którym stały przygotowane dla każdego z nas metalowe łóżka z materacami, czystą pościelą z kołdrami oraz z małymi szafkami nocnymi obok łóżek. Była też duża szafa wspólna dla naszych płasz-

czy i ubrań. Kobiety sanitariuszki mieszkały w przeznaczonych im pokojach szpitala. Razem ze mną w namiocie mieszkało około 20 osób. Murowany szpital był duży i na całym białym dachu miał wymalowany czerwony krzyż, znak dla samolotów wroga, których tutaj nigdy nie widzieliśmy. W szpitalu było dużo różnych sal.

Zaraz na drugi czy na trzeci dzień po naszym przyjeździe do szpitala przywieźli dużo rannych żołnierzy z walk pod Königsbergiem. Byli lekko i ciężko ranni. Na zmianę chodziliśmy na dyżury do pokoi, w których leżeli ranni żołnierze. Mieliśmy dyżury w dzień i w nocy. Przy dyżurach w nocy byliśmy zawsze razem z sanitariuszkami, młodymi dziewczynami, a w oddzielnych pokojach mieli dyżury lekarze i lekarki. Rany były różne. Jedni ranni leżeli spokojnie, a wielu z nich stękało, krzyczało, płakało. W dzień było lżej, ranni chcieli, żeby przy nich posiedzieć, porozmawiać z nimi, sami lubili opowiedzieć o sobie, o swojej rodzinie, którą gdzieś zostawili, o swoich przygodach na froncie. Na ich żądanie dawaliśmy im wodę do picia lub inny napój, sanitariuszki przynosiły im tabletki i inne lekarstwa. Tym, którzy nie mogli chodzić należało podawać „kaczkę" na mocz i wynosić ją do toalety.

Było już ciepło i nie marzłem w namiocie pod watowaną kołdrą. W wolnym od dyżurów czasie mogliśmy chodzić po mieście. Niemców w nim nie spotkaliśmy. Albo pouciekali wszyscy, albo ich stąd gdzieś wywieźli. Jednak często spotykaliśmy tutaj Polaków, byłych pracowników przymusowych, którzy teraz swobodnie wracali do domu. Widocznie niepotrzebni już byli im do pracy w ZSRR i pozwolili im wracać do Polski. Nie spotkaliśmy wracających swobodnie do domów Białorusinów, Ukraińców i Rosjan. Widocznie brali mężczyzn do wojska, a kobiety do pracy w wojskowych gospodarstwach pomocniczych.

Wyżywienie mieliśmy w szpitalu. Jedzenie było dobre, nie głodowaliśmy. Koszule nasze też prali w szpitalu i co tydzień kazali nam je zmieniać. Myliśmy się w łazienkach szpitalnych. Czas leciał

dosyć szybko. 9 kwietnia niemiecki garnizon w Königsbergu skapitulował, ale do 25 kwietnia broniła się forteca na półwyspie Pilau, (Bałtijsk) i stamtąd przywozili do nas rannych żołnierzy. Półwysep Pilau był ostatnim punktem obrony Niemców we Wschodnich Prusach.

Niespodzianie szpital otrzymał rozkaz, żeby 19 kwietnia odesłać wszystkich sanitariuszy do Allensteina (Olsztyn). Wszystkich nas załadowano do ciężarówek i zawieźli nas na dworzec kolejowy w Allensteinie, gdzie czekały zakryte wagony towarowe z pryczami w długim pociągu. Wszystkich z Wehlau zmieścili w jednym wagonie, w innych wagonach byli już żołnierze przywiezieni z innych miejsc. Niektóre wagony doładowano później. Gdy wszystkie wagony były zapełnione powiedziano nam, że pojedziemy na front pod Berlin. Wyjechaliśmy głęboką nocą, gdy w naszym wagonie większość osób już spała na gołych pryczach.

9. Droga do Berlina

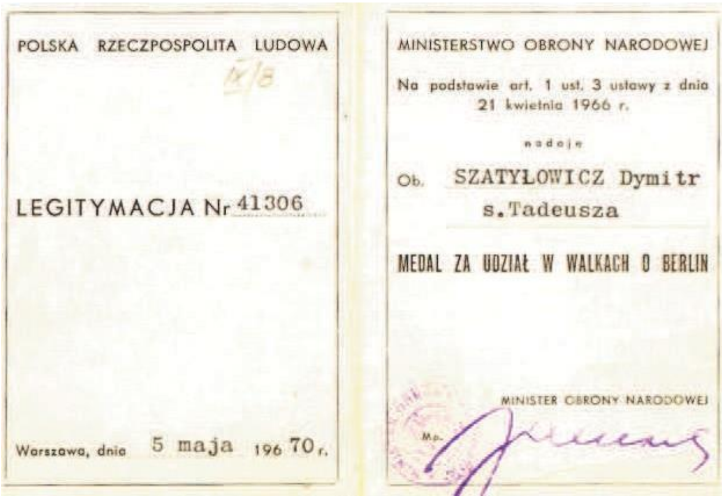
Trzy dni i trzy noce wieźli nas do jakiejś stacji przy obecnej granicy polsko - niemieckiej. Nie pamiętam już na jakim dworcu 22 kwietnia kazali nam wyjść z wagonów i zaprowadzili do jakichś poniemieckich koszar, gdzie nas nakarmili, i gdzie mogliśmy przenocować. 23 kwietnia po południu plutonami kazali nam iść po szosie z automatami w kierunku Berlina. Powiedzieli nam, że w pobliżu Berlina prowadzone są ciężkie walki z Niemcami, bo Niemcy chcą bronić swojej stolicy tak, jak Rosjanie bronili Stalingradu. Doszliśmy pod wieczór do miasteczka Seelow, które niedawno było zdobyte przez Armię Czerwoną. Miasto było strasznie zniszczone przez artylerię i lotnictwo. Stało tam dużo rozbitych czołgów i armat. Zajęliśmy jakiś wolny dom i przespaliśmy w nim do rana. Rano otrzymaliśmy rozkaz, aby jeździć ciężarówkami po mieście i zbierać zabitych Niemców, żeby nie dopuścić do epidemii. Kierowcy wywozili trupów ciężarówkami na jakiś cmentarz. Widzieliśmy, jak starzy

Niemcy i Niemki wycinali z zabitego konia kawałki mięsa i nieśli do domu. Wieczorem zajęliśmy kilka pustych domów i tam, gdzie kto mógł, położył się spać. Słyszeliśmy przez całą noc dalekie wybuchy na zachodzie. Zawiadomili nas, że Berlin jest już otoczony przez Armię Czerwoną.

25 kwietnia rano po drodze na południe przejechało dziesiątki radzieckich czołgów, armat i moździerzy. Gdzieś tam Niemcy zrobili kontruderzenie. Potem słyszeliśmy z tej strony kanonadę i widać było dalekie ognie pożarów. Pod wieczór przeszliśmy do miasta Wriezen i tam zatrzymaliśmy się. Miasto to 20 kwietnia było zajęte przez Rosjan i widać było pełno zniszczonych domów, armat i karabinów maszynowych. 26 kwietna wieczorem podeszliśmy prawie pod sam Berlin. Przenocowaliśmy w ocalałych od pożaru domach. 27 kwietnia weszliśmy na przedmieścia Berlina. Zgodnie z rozkazem przez dwa dni przeszukiwaliśmy wszystkie domy od piwnic do wyższych pięter z gotowymi do strzału automatami, sprawdzaliśmy czy nie ukrywają się gdzieś młodzi Niemcy, którzy zmienili ubranie wojskowe na cywilne. Mieliśmy obowiązek brania ich do niewoli. Jednak nie znaleźliśmy nikogo. Byli tylko staruszkowie, dzieci i kobiety, które drżały ze strachu, spoglądając na nas. Zdarzało się, że żołnierze z pierwszej linii frontu gwałcili kobiety. 29 kwietnia skierowali nas na pomoc innym żołnierzom w jednej z dzielnic miasta, gdzie Niemcy mocno się bronili. Żołnierze wciągnęli na pierwsze piętro domu moździerze, wstawili je w okna i w ciągu trzech godzin zniszczyli wszystkich broniących się w sąsiednim domu. Wtedy musieliśmy strzelać z karabinów maszynowych i automatów z okien domu do broniących się Niemców. 30 kwietnia Rosjanie zajęli Reichstag, zawiesili na nim czerwoną flagę. Niemcy poszli do niewoli. Potem dowiedzieliśmy się, że Adolf Hitler popełnił samobójstwo.

1 maja otrzymaliśmy rozkaz wycofania się na wschód. Po drodze kilka razy nocowaliśmy idąc piechotą w kierunku Odry. 4 maja nas znowu załadowali do wagonów towarowych w pociągu, i po-

wieźli na wschód. 8 maja zawieźli nas z powrotem do Allensteina i zaprowadzili do poniemieckich koszar. Byłem zdziwiony, po co nas wieźli z Allensteina do Berlina, żeby przez krótki okres czasu odesłać nas z powrotem. Przypuszczalnie dowództwo radzieckie obawiało się, że Berlin będzie się bronił tak długo jak Stalingrad, lecz potem uznali, że byliśmy tam niepotrzebni i zawrócili nas znowu do Allensteina.



POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

IX/8

LEGITYMACJA Nr 41306

Warszawa, dnia 5 maja 1970 r.

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

Na podstawie art. 1 ust. 3 ustawy z dnia 21 kwietnia 1966 r.

nadaje

Ob. SZATYŁOWICZ Dymitr s. Tadeusza

MEDAL ZA UDZIAŁ W WALKACH O BERLIN

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

Mp.

Legitymacja o otrzymaniu medalu za udział w walkach o Berlin

10. W 202 zapasowym pułku piechoty w Allensteinie

Z 8 na 9 maja 1945 roku w nocy obudzono nas, żeby ogłosić wiadomość, iż dowództwo Niemiec zgodziło się jutro podpisać w Berlinie w obecności przedstawicieli ZSRR, Stanów Zjednoczonych i Anglii akt kapitulacji, że wojna w Europie z Niemcami została zakończona. Wszyscy się ucieszyli i położyli się spać. 9 maja, w środę, mieliśmy święto, wolny dzień. Świętowaliśmy pierwszy Dzień Zwycięstwa i odpoczywaliśmy. Obejrzałem nasze wojskowe ponie-

mieckie koszary. Dookoła dużego placu było kilka gmachów zbudowanych z czerwonej cegły. Znajdowała się tutaj stołówka, punkt medyczny i umywalnia, gdzie rano i wieczorem chodziliśmy się myć zimną wodą pod kranami i prysznicami. W stołówce, dokąd nas wprowadzali po kolei, jedzenie było dobre. Jednak w koszarach na pryczach nie było pościeli. Spaliśmy na gołych deskach, przykrywając się wojskowymi płaszczami, nie mieliśmy nawet koców. Zostałem przydzielony do plutonu, którym dowodził starszy sierżant.

Rankiem nas musztrowali na placu przy koszarach i wyprowadzali daleko za miasto, a po obiedzie mieliśmy jakieś teoretyczne lekcje z wojskowej taktyki. 19 czerwca wysłali mnie z grupą kilku osób do niemieckiej wsi, oddalonej o 5 kilometrów, do wojskowego gospodarstwa pomocniczego. Kierował tą gospodarką major. Moim kierownikiem był lejtnant.

11. W wojskowym gospodarstwie pomocniczym

Major, przeglądając wykształcenie przydzielonych mu żołnierzy zobaczył, że ukończyłem 7 klas radzieckiej szkoły. Zawołał mnie do siebie i zapytał, czy mam przy sobie świadectwo ukończenia tej szkoły. Miałem wszystkie szkolne świadectwa i mu pokazałem. Wyznaczyli mnie na dowódcę 12 żołnierzy w wojskowym gospodarstwie pomocniczym znajdującym się o 5 kilometrów na wschód od Allensteina. Była to niewielka niemiecka wieś z murowanymi domami, znajdującymi się obok drogi do miasta. W pobliżu jej przechodziły tory kolejowe, po których zaczęły już jeździć pociągi w kierunku Szczytna. W jednym z domów niedaleko stołówki otrzymałem oddzielny nieduży pokój z łóżkiem, stołem, szafą i piecem kaflowym, z jedynym oknem wychodzącym na podwórze. Obok mego pokoju były dwa duże pokoje dla moich żołnierzy, w każdym po 6 łóżek, trzy szafy, duży stół i piec kaflowy. Jedne drzwi z mego pokoju wycho-

dziły do pokoju żołnierzy, a drugie na korytarz. Z przeciwnej strony korytarza były podobne pokoje i mieszkał tam sierżant ze swymi żołnierzami. Obok mego stały podobne domy, w których mieszkali żołnierze. W dalszych domach mieszkali Niemcy, przeważnie starsi mężczyźni i kobiety. Trzy domy już zajęli przyjezdni Polacy. Stołówka była wielka z oddzielnymi pokojami dla spożywania posiłków dla oficerów, sierżantów i duża sala dla żołnierzy. Jadłem posiłki w sali dla sierżantów.

Rozłożyłem w swoim pokoju przyniesione rzeczy. Przyszedł od porucznika starszy sierżant i powiedział, abym wszystko zostawił i szedł z nim. Chce mi pokazać, gdzie i co jest zasiane, co rośnie na naszym gruncie, z którego moi żołnierze przy pomocy niemieckich kobiet i polskich najemnych pracowników będą później zbierać urodzaj dla wojska. Obeszliśmy duży obszar ziemi na zachodzie wsi po północnej stronie drogi. Tam rosły już kartofle, owies i pszenica. W jednym miejscu stały trzy długie szklarnie, gdzie uprawiano warzywa, które zabierano do naszej stołówki, a resztę wywożono do koszar w mieście. Przy trzech szklarniach trzeba będzie stawiać żołnierską wartę z bronią i zmieniać ją w dzień i w nocy, żeby ktoś nie wszedł i nie zniszczył nic wewnątrz. Szklarnie obsługiwały dwie młode dziewczyny w wojskowych mundurach, one podlewały warzywa, a to co było potrzebne zbierały i odsyłały do stołówki i miasta.

W czasie obchodu zaszedłem ze starszym sierżantem i jeszcze z jednym żołnierzem do domu, w którym mieszkały Polki pracujące w gospodarstwie. Znajdowały się tam trzy starsze kobiety i jedna młoda, bardzo sympatyczna dziewczyna. Gdy zacząłem rozmawiać z nimi po polsku, były zdziwione, że znam język polski. Młoda Polka zaproponowała mi, żebym wpadł do niej wieczorem na herbatę. Niestety wieczorem porucznik wezwał mnie na naradę, która skończyła się dosyć późno i nie mogłem skorzystać z zaproszenia. Poszedłem do niej następnego dnia, ale starsze kobiety mi powiedziały, że dziewczyna rano spakowała rzeczy i uciekła. Pół roku później

w ośrodku zdrowia w Bobrujsku dowiedziałem się, że z jej propozycji skorzystał inny żołnierz, który zamiast mnie przyszedł do niej wieczorem. Zapomniałem o wszystkim, lecz będąc w Bobrujsku w grudniu na komisji lekarskiej i starając się o demobilizację, spotkałem w ośrodku zdrowia tego żołnierza. Wyznał mi, że poszedł zamiast mnie do tej dziewczyny, a teraz leczy chorobę weneryczną i musi tutaj przychodzić. Po jakimś dłuższym czasie po wizycie u niej zauważył chorobę, więc się zaraził od niej, bo oprócz jej z żadną inną kobietą się nie spotykał. Penicyliny wtedy w ZSRR nie było, a on do grudnia jeszcze choroby nie wyleczył.

W gospodarstwie pomocniczym było więcej niż 30 krów, które Niemki pod kontrolą naszych żołnierzy doiły i mleko zdawały do stołówki, gdzie odciągali z niego śmietanę i wytwarzali masło. Była też stajnia, w której stało ponad 20 koni. Codziennie zaprzęgano je do wozów i wożono różne rzeczy z pola i z miasta.

W czerwcu pracy nie było dużo. Żołnierze tylko przy pomocy konnych kosiarek skosili na łące trawę, wysuszyli i zwieźli do stodół. Prędko poznałem tutaj Niemki i Polki pracujące w gospodarstwie. W jednym poniemieckim domu mieszkała polska rodzina. Mąż z żoną mieszkał na parterze, a dwie ładne siostry żony wraz z młodą Niemką, która już dobrze mówiła po polsku, spały na strychu. Lubiły one kochać się z żołnierzami radzieckimi, którzy chodzili do nich na zmianę co nocy.

Niektóre z pracownic były Mazurkami, dobrze mówiły po polsku z akcentem mazurskim. Poznałem jedną starszą Mazurkę wdowę z dwojgiem dzieci, która u mnie pracowała, a mieszkała sama na kolonii. Mąż jej zginął na froncie, zmobilizowany do wojska niemieckiego. Rozmawiałem z nią tylko po polsku.

W pobliżu naszych szklarni w niedużym pustym poniemieckim domku osiedlił się Polak około lat 40 z żoną mniej więcej w tym samym wieku. Byli bezdzietni. Nie pracowali w naszym gospodarstwie, tylko obrabiali przydzielony im kawałek ziemi. Zaprzyjaźni-

łem się z nimi. Często zapraszali mnie na obiady. Wracając z egzaminów na Politechnikę Gdańską w 1948 roku zatrzymałem się u nich na kilka dni.

W mojej grupie radzieckich żołnierzy było dwóch Ukraińców. Przyjaźnili się ze sobą. Oni też dobrze mówili po polsku. Widocznie przed wojną mieszkali w Polsce. Przypuszczalnie ich Niemcy wywieźli do pracy przymusowej do Prus Wschodnich. Możliwe, że mieli wcześniej kontakty z UPA i bali się wracać do domu na Ukrainę. We wrześniu dogadali się z mieszkającymi tam Polakami, którzy dali im cywilne ubranie i żołnierze ci zdezerterowali z Armii Czerwonej.. Zauważyłem, że przestali przychodzić na nocleg. Myślałem, że nocują u jakichś dziewczyn, lecz potem zorientowałem się, że uciekli. Zawiadomiłem lejtnanta. Szukali ich, jednak trudno ich było znaleźć. Mogli wcześniej podać fałszywe nazwiska, albo zmienili je później. Zostali w Polsce. Nie wiem, czy wywiad radziecki ich potem szukał.

W sąsiedniej wsi zapoznałem się z rodziną polską spod Nurca, którą Niemcy wywieźli do pracy przymusowej w Prusach Wschodnich razem z piękną młodą córką. Początkowo myśleli, żeby zostać na tym terenie, ale dowiedzieli się, że ich dom i gospodarstwo na wsi ocalało. Postanowili więc w październiku 1945 roku wrócić pociągiem Olsztyn - Białystok do domu. Gdy im powiedziałem, że jestem ze wsi Czeremcha i że tam powinni mieszkać moi rodzice i siostra, od których dawno nie mam wiadomości, zaproponowali, żebym napisał list do rodziny i oni go przekażą. Tak też zrobiłem. Przesłali do mojej matki mój długi list, o czym dowiedziałem się dopiero po powrocie do domu. Gdy matka otrzymała mój list, ucieszyła się i pojechała do tej rodziny. Dowiedziała się, co robię i jak żyję w wojsku. Niestety odpowiedzi od matki nie mogłem otrzymać, gdyż wszystkich nas w listopadzie wywieźli pociągiem do Bobrujska.

Przyjaźniłem się też z sierżantem Wojska Polskiego, który służył w pobliżu naszej jednostki. Często, gdy miałem wolny czas, chodziłem z nim na długie spacery do sąsiednich wsi.

W październiku, przed wyjazdem do Bobrujska, byłem świadkiem wysiedlania niemieckich rodzin z tej miejscowości, w której mieszkaliśmy. Przyjechali rano polscy żołnierze i kazali wszystkim Niemcom wyjść na szosę z tobołkami w rękach. Ustawiło się ich tam około 50 osób. Widocznie wcześniej Niemcy otrzymali zawiadomienia, że mają w tym dniu opuścić domy i wyjść na szosę. Widziałem w tej grupie i Niemkę, która spała na strychu z siostrami polskiej rodziny, do których przychodzili rosyjscy żołnierze. Później widziałem jak na piechotę pod konwojem wojskowym poszła cała ich kolumna szosą w stronę miasta, chyba na dworzec kolejowy w Olsztynie. Zostawili Polacy tylko tych, którzy podali, że są Mazurami. Nie wiem, czy przed władzami polskimi musieli oni udowodnić w jakiś sposób, że mają pochodzenie mazur- skie czy tylko wystarczyła znajomość języka polskiego. Moja dobra znajoma Mazurka z dwojgiem małych dzieci została i nadal miesz- kała w swoim domu w folwarku. Później w 1950 roku, gdy pojecha- łem ze znajomą ze wsi Czeremchy odwiedzić wieś Pomehren, wtedy nazwaną już Pomorzem, gdzie kiedyś pracowałem u bauera, to wracając pociągiem do Białegostoku zatrzymałem się w Olsztynie. Wieczorem odwiedziliśmy Mazurkę z dziećmi i u niej przenocowaliśmy. Zapłaciłem jej za nocleg. Powiedziała mi, że jest bardzo wdzięczna, że ją odwiedziłem w cywilu. Jej dzieci już podrosły i ładnie rozmawiały po polsku. W tej wsi już potem nigdy więcej nie byłem.

12. Wyjazd na wschód

Pod koniec października większą część żołnierzy z wojskowego gospodarstwa pomocniczego wysłano na wschód do ZSRR. Przyszedł czas i na mnie. Wyjechałem pociągiem na początku listopada razem z lejtnantem, kapitanem i dwoma innymi sierżantami i pięcioma rosyjskimi dziewczynami, które pracowały w gospodarstwie

w punkcie sanitarnym i w kancelarii. Przeznaczono dla nas towarowy wagon z pryczami z desek. Każdy z nas miał swoją pryczę z pościelą.

Wyruszyliśmy z Olsztyna pociągiem, który wiózł nasze rzeczy z gospodarstwa pomocniczego, w kierunku na Wilno, a potem na Mińsk białoruski. W Mińsku staliśmy od rana do wieczora i udało mi się trochę zobaczyć zniszczone miasto. Pamiętam chodziłem z jakimś staruszkiem na dworzec po wrzącą wodę i do miasta. Wtedy na każdym dworcu w ZSRR można było otrzymać wrzącą wodę za darmo w dowolnej ilości. Staruszkowi, który mnie oprowadzał, wręczyłem bochenek chleba. Ucieszył się i bardzo mi dziękował. Był on tak głodny, że na moich oczach skubał chleb palcami i łapczywie jadł. W sklepach w Mińsku nie było chleba.

Sierżanci wzięli ze sobą dużo samogonu i po drodze pili. Nie mogłem pić, bo organizm mój śmierdzącego samogonu nie przyjmował, co ich cieszyło, bo więcej zostawało dla nich. Z Mińska wieczorem wyjechaliśmy i nad ranem byliśmy na dworcu kolejowym w Bobrujsku.

13. Pod Bobrujskiem

Z dworca kolejowego w Bobrujsku zawieźli nas ciężarówkami do lasu leżącego dziesięć kilometrów od miasta. Dziewczyn zabrali gdzieś w inne miejsce. Nie spotkałem się z nimi nigdy więcej. Oficerów i sierżantów zaprowadzili do baraku z pryczami, a żołnierzy ulokowali na noc w ziemiankach. Na pryczach nie było pościeli, ale zimno nie dokuczało. Rano nas obudzono i zaprowadzono do łazienki, gdzie umyliśmy się pod bieżącą zimną wodą z kranów. W baraku w prowizorycznej stołówce zjedliśmy skromne śniadanie. Potem mnie i 30 innych żołnierzy załadowano do ciężarówek, zawieźli nas do wsi leżącej około 8 kilometrów od Bobrujska i przekazali nas

do batalionu samochodowego. Znalazłem się w jednym z kilku drewnianych baraków, które stały obok białoruskiej wsi. Oficerów umie- ścili w domach chłopów pracujących w kołchozie. W jednym domu był sztab, którym dowodził major.

50 metrów od naszych baraków przy ogrodach stały wielkie autobusy– warsztaty, w których pracowali żołnierze tokarze, ślusarze oraz inni specjaliści na różnych obrabiarkach, tokarkach. Stało tam dużo samochodów, ciężarówek, autobusów wojskowych i przeprowadzano tam kapitalny remont samochodów wojskowych. Wszystkie te autobusy i warsztaty zostały przywiezione z Niemiec w ramach reparacji. W nocy przy tych autobusach stała wojskowa warta i pilnowała, żeby nikt do nich nie wszedł. W tych warsztatach wyrabiano różne detale do samochodów, ciężarówek i autobusów wojskowych.

W baraku, w którym dali mi łóżko z pościelą, była duża sala z dwoma rzędami łóżek dla żołnierzy. W pierwszej części baraku były wydzielone dwa duże pokoje, w jednym znajdowała się kancelaria, a w drugim stały dwa łóżka, stół i dwie szafy. Następnego dnia kazali mi przenieść się z dużej sali do tego oddzielnego pokoju. Na drugim łóżku spał sierżant, który kierował kancelarią. Dowiedziałem się, że miał on być w ciągu trzech tygodni zdemobilizowany. Przydzielili mnie do sierżanta, abym nauczył się prowadzenia kancelarii. Pokazał mi, jak wypisuje się wszelkie zlecenia na wykonanie w warsztatach różnych detali do samochodów, jak zapisuje się to wszystko do odpowiednich ksiąg i wypisuje inne zaświadczenia. Każdego ranka przychodzili do naszej kancelarii kierownicy warsztatów, żeby otrzymać zlecenia na to, co mają wykonać w ciągu dnia. Przez trzy tygodnie opanowałem te umiejętności. Praca nie była ciężka, a po wyjeździe sierżanta do domu sam prowadziłem kancelarię. Po otrzymaniu zapotrzebowania trzeba było wypisać zlecenia odpowiednim kierownikom warsztatów, a w następnym dniu po pokwitowaniu odbioru te zlecenia im wydawać i zanotować to

wszystko w odpowiedniej książce. Potem miałem czas wolny. Obok znajdowała się duża biblioteka, gdzie można było wypożyczać różne książki w języku rosyjskim. W wolnym czasie dużo czytałem.

Sierżant Iwanow z Moskwy, z którym się zaprzyjaźniłem, często zabierał mnie do znajomych mu domów kołchoźników ze wsi. Przychodziły tam wiejskie młode dziewczyny, z którymi miło spędzaliśmy wieczory.

Moim zadaniem było także, wyznaczanie na nocną wartę przy samochodach-warsztatach żołnierzy mieszkających w naszym baraku. Wybierałem też kierownika, który co dwie godziny budził żołnierzy na wartę. Od czasu do czasu zjawiał się major i szliśmy sprawdzać wartowników. Pewnej nocy zdarzył się wypadek, że wartownik wszedł do autobusu, położył się i zasnął mocnym snem. Wtedy właśnie przyszedł major sprawdzić wartę. Major krzyczał, wystrzelił dwa razy z pistoletu, a żołnierz spał w autobusie i nie słyszał. Major był bardzo zły i groził, że żołnierza odda pod sąd wojskowy. Szybko wystawiłem innego wartownika i gdy z nim przyszedłem, żołnierz się obudził i wyszedł z autobusu. Major tylko pogroził mu, ale sprawy do sądu nie przekazał.

W drugiej połowie listopada usłyszałem przez radio, że wyszedł dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, że żołnierzy, którzy mają ranne jedno oko, należy demobilizować. Zgłosiłem się wtedy do lekarza wojskowego i poprosiłem, aby wysłał mnie na komisję lekarską. W grudniu poszedłem piechotą do Bobrujska ze skierowaniem lekarskim do kliniki okulistycznej, gdzie okulista po zbadaniu skierował mnie na wojskową komisję lekarską. Tam wojskowy okulista, z wyglądu podobny do Żyda, bardzo długo zaglądał mi do lewego oka i niezbyt chętnie wydał zaświadczenie, że należy mnie demobilizować z Armii Czerwonej.

Major był strasznie niezadowolony i przysłał mi żołnierza, którego musiałem nauczyć prowadzenia kancelarii. Zajął on drugie łóżku w moim pokoju. Do końca grudnia nauczyłem go wszystkiego,

czego mnie nauczył wcześniej sierżant. W końcu grudnia otrzymałem kartę demobilizacyjną. W tym czasie takie karty otrzymało sześciu innych żołnierzy z batalionu samochodowego. W Nowy Rok pożegnaliśmy się ze znajomymi. Otrzymałem na drogę nowe wojskowe ubranie ze składu, płaszcz, skórzane buty, spodnie i koszulę. Czekałem na dzień, kiedy nas zawiozą na dworzec kolejowy w Bobrujsku i pozwolą jechać do domu. Dopiero 7 stycznia 1946 roku wieczorem odwieźli nas do miasta.

Wsadzili mnie do pociągu Bobrujsk-Homel i pojechałem z perypetiami do domu. Spojrzałem z okna wagonu na małe domki Bobrujska i z nimi na zawsze się pożegnałem. Nigdy już w Bobrujsku w życiu nie byłem.

Jechałem całą noc san w wagonie, siedząc przy oknie, do Homla. Wyszedłem rano z wagonu na dworcu kolejowym w Homlu. W dużym budynku dworca kolejowego spojrzałem na rozkład jazdy pociągów i dowiedziałem się, że pociąg na Brześć odjeżdża pod wieczór. Wyszedłem na dziedziniec dworca kolejowego, spojrzałem na zniszczone wojną miasto i z bagażem nie miałem zamiaru go oglądać. Przesiedziałem czas do przyjazdu pociągu do Brześcia na ławce koło dworca kolejowego. Nie było zimno. W Homlu potem byłem dwa razy z polską wycieczką, jako kierownik wycieczki zagranicznej z „Orbisu". Ostatni raz byłem w Homlu latem 1989 roku.

Gdy wieczorem przyjechał pociąg do Brześcia, udało mi się mimo tłoku zająć górną półkę w sypialnym wagonie. Na półce zasnąłem i budziłem się tylko na dworcach w Pińsku i w Kobryniu. Rankiem 9 stycznia dojechaliśmy do Brześcia. Wysiadłem na znanym mi już dworcu kolejowym w Brześciu i zobaczyłem w rozkładzie jazdy kolejowej, że pociąg do Czeremchy odjeżdża dopiero wieczorem. Znowu musiałem czekać na pociąg na dworcu kolejowym w Brześciu cały dzień. Brześć znałem dobrze, bo od października do końca listopada 1939 roku uczyłem się w Brześciu w Technikum Kolejowym i mieszkałem tam na prywatnej kwaterze i z powodu trudności

z dojazdem do Czeremchy przeniosłem się do szkoły średniej w Bielsku Podlaskim. Gdy siedziałem na dworcu i powiedziałem komuś, że jadę do Czeremchy, to on mi powiedział, iż mnie w Wysokim nie przepuszczą, bo dalej jest polsko-radziecka granica państwowa, że mi nie pomoże moja karta demobilizacyjna.

Doczekałem się pociągu do Czeremchy, wsiadłem do wagonu. Były to stare polskie wagony z miejscami do siedzenia. Podróżnych było mało i po każdym przystanku coraz mniej. W Wysokim zostałem tylko ja z jakimś młodym chłopcem. Zapytałem go, dokąd on chce dojechać. Odpowiedział mi, że jest z Downiewa koło Białegostoku. Gdy mu powiedziałem, że pracował ze mną na przymusowych robotach w Prusach Wschodnich Walenty Kozłowski z Downiewa, on stwierdził, że go dobrze zna i pytał się mnie, gdzie on teraz jest. Niestety wtedy nie wiedziałem, co z nim się stało. Raptem przyszło dwóch radzieckich żołnierzy, powiedzieli nam, żeby wyjść z wagonu, i poszli. A my dalej siedzieliśmy. Po kilku minutach znów zjawili się ci sami żołnierze z krzykiem, dlaczego nie wyszliśmy z wagonu. Powiedziałem mu, że mam kartę demobilizacyjną do Czeremchy.

– Proszę mimo to wyjść i zgłosić się z tą kartą do starszego lejtnanta w baraku i, gdy on wyrazi zgodę na wyjazd, to wtedy wrócisz do wagonu – powiedział mi.

Wyszliśmy z wagonu? Było ciemno. Niedaleko od torów stał mały drewniany barak. Weszliśmy do niego. Przy stole przy lampie naftowej siedział starszy lejtnant. Podszedłem do niego, pokazałem mu moją kartę demobilizacyjną i książeczkę wojskową. Długo je oglądał i na karcie demobilizacyjnej u dołu drobnymi literkami napisał po rosyjsku: „wyjezd". Podszedł do niego chłopak z Downiewa i pokazał mu dokumenty, że pochodzi z Polski z Downiewa. I starszy lejtnant nie wyraził zgody mu na wyjazd do Polski. Sam w ciemności podszedłem do pociągu. Zatrzymało mnie dwóch żołnierzy. Pokazałem im moją kartę demobilizacyjną. Przy latarce znaleźli na niej zgodę na wyjazd i wpuścili mnie do wagonu. Byłem w wagonie sam jeden.

Wkrótce pociąg ruszył i sam w wagonie dojechałem do Czeremchy. Wysiadłem. Na peronie nie było ludzi i zobaczyłem, że w miejscu, gdzie był wcześniej piękny duży budynek dworca kolejowego, zbudowanego jeszcze za czasów carskich, jest pusty plac. Przy drodze zauważyłem drewniany czarny barak, na którym był napis Czeremcha. Wewnątrz baraku było ciemno. Nie widać było ludzi. Ja z moim tobołkiem w ręku podszedłem wzdłuż torów na południe 50 metrów, zobaczyłem, że tory są puste, przeszedłem je na zachód na drogę do wsi Czeremchy. Na drodze było pusto. Nikogo nie spotkałem. Sam doszedłem drogą do wsi Czeremchy. Nie chciałem iść przez wieś, nie chciałem, żeby ktoś mnie spotkał w radzieckim szarym płaszczu. A był trzeci dzień prawosławnego święta Bożego Narodzenia. Dlatego przy szosie do miasteczka Kleszczele skręciłem na północ na drogę za stodołami. Gdy przeszedłem metrów 200, zauważyłem duże zmiany. Wielu stodół, których pamiętałem z 1943 roku, nie było, a te, które stały, były nowo zbudowane. Zrozumiałem, że wieś w czasie wojny musiała być spalona. Stodoły mego ojca też nie było, był pusty plac. Spojrzałem na południe i zobaczyłem nasz dom i chlewy. Stodoła, chlewy i dom sąsiada Doroszkiewicza były całkiem nowe. Podszedłem do naszego domu. W oknie za firanką było widać światło lampy naftowej. Zastukałem w okno. Moja matka odsunęła firankę, spojrzała na mnie i poznała mnie. Wykrzyknęła moje imię. Szybko otworzyła drzwi. Wszedłem do oświetlonego dużego pokoju mieszkania. Pocałowałem się z matką i siostrą i czekałem, że wyjdzie ojciec z drugiego pokoju. Ale nie wychodził. I wtedy mi matka powiedziała smutną wiadomość, że ojciec mój zginął w czasie wojny przy ratowaniu domu od pożaru. Gdy zapalił się dom sąsiada, to ojciec z wiadrem pobiegł do studni po wodę po drugiej stronie ulicy. Gdy wracał z wodą trafiła go kula w nogę. Leżał sam i umarł z upływu krwi. A dom i chlewy ocalały. Dom był pokryty płytkami azbestowymi, a chlewy papą.

Tak zakończyło się moje prawie trzyletnie błąkanie się po labiryntach niewoli.



Rocznica 80-lecia urodzin Dymitra Szatyłowicza 08.11.2006 r. obchodzona w księgarni Jana Zabrockiego w Warszawie. Przy stole prof. Bazyli Białokozowicz i Dymitr Szatyłowicz, a obok chór z Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach.



D. Szatyłowicz w kwietniu 1945 r.

EPILOG

W nocy 9 stycznia 1946 roku wróciłem do domu, w którym zastałem tylko moją matkę i siostrę Marię. Dowiedziałem się, że w lipcu 1944 roku w czasie walk między Armią Czerwoną, a Wehrmachtem we wsi Czeremcha, gdy paliła się prawie cała wieś, zginął od kuli, przypuszczalnie niemieckiej, mój ojciec, Tadeusz. Zakończył życie niedaleko studni, z której niósł wiadro wody, by ratować dom od pożaru. A dom ocalał, bo dach domu był pokryty płytkami azbestowymi.

Nie wrócił do rodzinnej Czeremchy Antoni Kierdelewicz, z którym rozstałem się w stodole pod Seeburgiem 9 lutego 1945 roku. Mnie zabrali do Armii Czerwonej, a Antoniego wraz z Walentym Kozłowskim i innymi wywieźli aż za Moskwę pod Kujbyszew do obozu kontrolnego, z którego potem po sprawdzeniu go, wypuścili. Przyjechał do Brześcia, ale do Polski nie pozwolono mu wrócić, bo oświadczył w obozie, że jest Białorusinem. Mieszkał przez cały czas w Brześciu. Dwa razy spotkałem się z nim, gdy wracałem w czerwcu 1949 r i w 1950 r. do Czeremchy na wakacje ze studiów w Leningradzie. Z czasem pozwolono mu odwiedzić w Czeremsze swego rodzonego brata, Borysa, ale zostać w Polsce nie mógł. Już nie żyje.

Moje przyjaciółki z Prus Wschodnich ze wsi Pomehren i Launau, Katarzyna i Łarysa wróciły do Kleszczel na początku czerwca 1946 roku, pięć miesięcy po moim przyjeździe do domu. Spotkałem się z nimi. Opowiedziały, że razem z Lidką, Wierą, Naścią, Klaudią i Ukrainkami Tanią i Naścią trafiły do radzieckiego wojskowego gospodarstwa pomocniczego i tam pracowały. Co wcześniej przeżyły nie chciały mówić, bo się wstydziły. Wróciła z nimi do domu i Wiera. Rodzice Łarysy wraz z córką wyjechali potem do pracy na Ziemie

Odzyskane. Katarzyna mieszkała w Kleszczelach, kiedyś spotkałem ją tam przypadkowo przy cerkwi. Nie znam dalszego jej losu. Nie wiem, co się stało z Marią, która mieszkała we wsi Pomehren w majątku teścia mego bauera wraz z Ukraińcem Wanią. Nie wróciła ona do domu, widocznie zginęła. Możliwie, że z Wanią, bo o jego losie nikt nigdy nie wspominał.

Długo nie wiedziałem, co się stało z Lidką, po jej powrocie, z którą półtora roku mieszkałem w jednym domu u bauera w Pomehren. Gdy wróciłem do Czeremchy w 1946 roku napisałem list na jej adres domowy we wsi pod Sokółką, ale odpowiedzi nie otrzymałem. W czerwcu 1948 roku jechałem z kolegą szkolnym Mikołajem Kierdelewiczem na egzaminy wstępne na Politechnikę Gdańską. Czekaliśmy w Białymstoku na pociąg osobowy do Gdańska. Zobaczyłem wtedy na peronie dziewczynę podobną do Lidki z półtorarocznym chłopcem, którego trzymała za rękę, a obok stał mężczyzna w ubraniu milicjanta. Specjalnie wsiedliśmy do tego samego wagonu, ale do sąsiedniego przedziału. Gdy milicjant wyszedł, wszedłem do jej przedziału i przywitałem się z nią. Zrozumiałem, że poznała mnie wcześniej na peronie, ale krępowała się do mnie podejść. Powiedziała, że jest żoną tego milicjanta, który był przy niej, a obok jest ich syn i że mieszkają w Bartoszycach, dokąd teraz jadą. Dała mi swój adres domowy i prosiła, abym ją kiedyś odwiedził. Niestety nie zdołałem nic dowiedzieć się o jej losie po naszym rozstaniu na szosie Heilsberg - Guttstadt 6 lutego 1945 roku, bo przyszedł jej mąż. Gdy ona przedstawiła mnie, spojrzał na mnie ze złością i powiedział po chamsku:

– Co, spotkali się starzy kochankowie?

Zdenerwowałem się i wyszedłem z ich przedziału. Widziałem, jak wysiedli w Olsztynie, przesiadając się do innego pociągu. Wysiadając z wagonu ona machnęła mi ręką, kiedy mąż na nią nie patrzył. Bała się do mnie podejść i pożegnać się ze mną. Z Leningradu napisałem do niej list, ale odpowiedzi nie otrzymałem.

Będąc na studiach w Leningradzie korespondowałem z Ukrainką Tanią, która mieszkała w Kijowie. Adres otrzymałem od Katarzyny z Kleszczel. Tania pisała, że wyszła za mąż, ale się rozwiodła i wychowuje samotnie córkę z nieudanego małżeństwa. Naścia gdzieś koło niej mieszkała w Kijowie. Po przyjeździe z Leningradu do Warszawy korespondencja się urwała. Gdy w latach 70-tych byłem kilka razy w Kijowie nie mogłem jej znaleźć, bo zmieniła adres zamieszkania.

Mój znajomy Andrzej Wnuczko, krawiec ze stacji Czeremchy trafił też do obozu kontrolnego pod Kujbyszewem. Opowiadał mi straszne rzeczy o tym, jak prowadzili ich z Guttstadtu pod Ostrołękę. Po drodze, gdy ktoś nie miał siły iść dalej został rozstrzelany przez konwojujących radzieckich żołnierzy Na jakiejś stacji załadowali ich do pociągu towarowego i wieźli jak zwierzęta. W pociągu dużo osób umarło z pragnienia i głodu, a w obozie ginęli oni, jak muchy, z głodu i wycieńczenia. Widział on, jak na terenie obozu umarłych młodych ludzi setkami wrzucali do wykopanych głębokich rowów i zasypywali ziemią. Razem z nim szedł pod Ostrołękę mój kuzyn Jan Szatyłowicz, syn Doroteusza, brata mego ojca. Zmarł on w obozie, bo do domu nie wrócił. Naczelnik obozu zainteresował się Andrzejem Wnuczko, ponieważ był on krawcem. Zabrał go do siebie i on szył mu bezpłatnie ubrania. Dlatego nie głodował. Gdy go zwolnili, dojechał pociągiem do Brześcia, a potem do Wysokiego, a do Czeremchy nie chcieli go puścić, pomimo że była tam jego żona i dzieci. Wpadł na pomysł, aby w nocy przywiązać się pod wagonem pociągu, który jechał do Czeremchy. W czerwcu 1946 roku przekroczył granicę i wrócił do Czeremchy do żony i dzieci. Niestety już nie żyje, umarł na raka prostaty.

Walenty Kozłowski z obozu pod Kujbyszewem już nie wrócił do wsi Downiewo w pobliżu Królowego Mostu, pomimo usilnych starań w Ambasadzie ZSRR w Warszawie jego ojca Andrzeja. Zmusili go w Rosji do pracy przy wydobywaniu ropy naftowej. Ożenił się

z Rosjanką, z którą miał dwoje dzieci. Korespondowałem z nim, będąc na studiach w Leningradzie. Po 1956 roku pozwolili mu odwiedzić ojca, matkę i brata, ale musiał znowu wracać za Moskwę do żony.

W 1950 roku ze znajomą ze wsi Czeremcha, Eugenia Szatyłowicz pojechałem do byłej wsi Pomehren, gdzie pracowałem w czasie okupacji. Przyjechaliśmy do Lidzbarka Warmińskiego i piechotą przeszliśmy 7 km do byłego majątku mego bauera. Gdy przyszliśmy okazało się, że w domu Josefa Spannenkrebsa mieszka polska rodzina. Właścicielem jego majątku jest sołtys wsi, ale już nie Pomehren. Nazwa wsi została zmieniona na Pomorze. A potem zmienili nazwę na Pomorowo. Dowiedziałem się od sołtysa, że w marcu lub kwietniu 1945 roku, zjawili się u Josefa Spannenkrebsa i jego siostry i szwagra, którzy z nim mieszkali, przedstawiciele z NKWD i chcieli zabrać nie wiadomo dokąd jego 12-letniego syna Bruno i córkę jego siostry. On ze swoją siostrą i szwagrem sprzeciwiali się temu, więc wyprowadzili ich do sadu i rozstrzelali. Jego syna i córkę siostry zabrali i gdzieś wywieźli. Sołtys poradził mi pójść do Niemki we wsi Pomorze, u której pracował Ukrainiec Piotr, żebym otrzymał tam bardziej dokładne wieści. Poszliśmy do niej. Jej mąż, jak już pisałem, znał dobrze język rosyjski, bo kiedyś mieszkał na Ukrainie. Za to go Rosjanie natychmiast rozstrzelali. Żona mieszkała tylko z córką. Zastaliśmy ją, jak kosiła owies, bo córka na dwa dni gdzieś wyjechała. Ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła. Pomogłem jej skosić owies, za co zaprosiła nas do mieszkania, dała kolację, nocleg i rano śniadanie. Dowiedziałem się od niej, że żona mego bauera ze swoją córką, ojcem, matką i siostrą mieszkali w tym czasie gdzieś w byłej NRD.


— 11 —

3. Mianowania na wyższy stopień wojskowy

stopień Podporucznik

Rozkaz Posl R R P

Nr 10/11/2001 z dnia 15.06.2001

M. p.

podpis

Stopień

Rozkaz

Nr .... z dnia ....

M. p.

podpis

Wyciąg z książeczki wojskowej
Dymitra Szatyłowicza

Spis treści

ROK 1945

Redaktor i korektor
Elżbieta Korczakowska

© Copyright by Dymitr Szatyłowicz, 2016

Wydanie sponsoruje Irena Pacewicz

ISBN 978-83-7657-200-0

WYDAWNICTWO PRYMAT

Mariusz Śliwowski
ul. Kolejowa 19; 15-701 Białystok
tel. 602 766 304, e-mail: prymat@biasoft.net
www.prymat.biasoft.net